

A woman wearing a red sequined dress and a pearl necklace is holding a stack of black and white photographs tied together with a red ribbon. The background is a close-up of the red sequined fabric.

SKLEP PARYŻU

MÀXIM HUERTA

WYSTARCZY CHWILA,
BY ZACZAĆ WSZYSTKO OD NOWA



SKLEP
PARYŻU .w

MÀXIM HUERTA

PRZEŁOŻYŁA AGATA OSTROWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Bibliografia

Przypisy

Tytuł oryginału: UNA TIENDA EN PARÍS

Przekład: AGATA OSTROWSKA

Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN

Redakcja: DOROTA KOMAN

Korekta: DOROTA KRAJEWSKA, DOROTA KOMAN

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: ANNA POL

Łamanie: Agencja Poligraficzna SŁAWOMIR ZYCH

Zdjęcie na okładce: © Joana Kruse / Arcangel Images

Zdjęcie Autora: © Rai Robledo

Una tienda en París

© 2012, Màxim Huerta Hernández

© 2012, Ediciones Martínez Roca, an imprint of Editorial Planeta, S.A.

Copyright © for the translation by Agata Ostrowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015

Warszawa 2015

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-64700-83-5

Wydawnictwo Marginesy

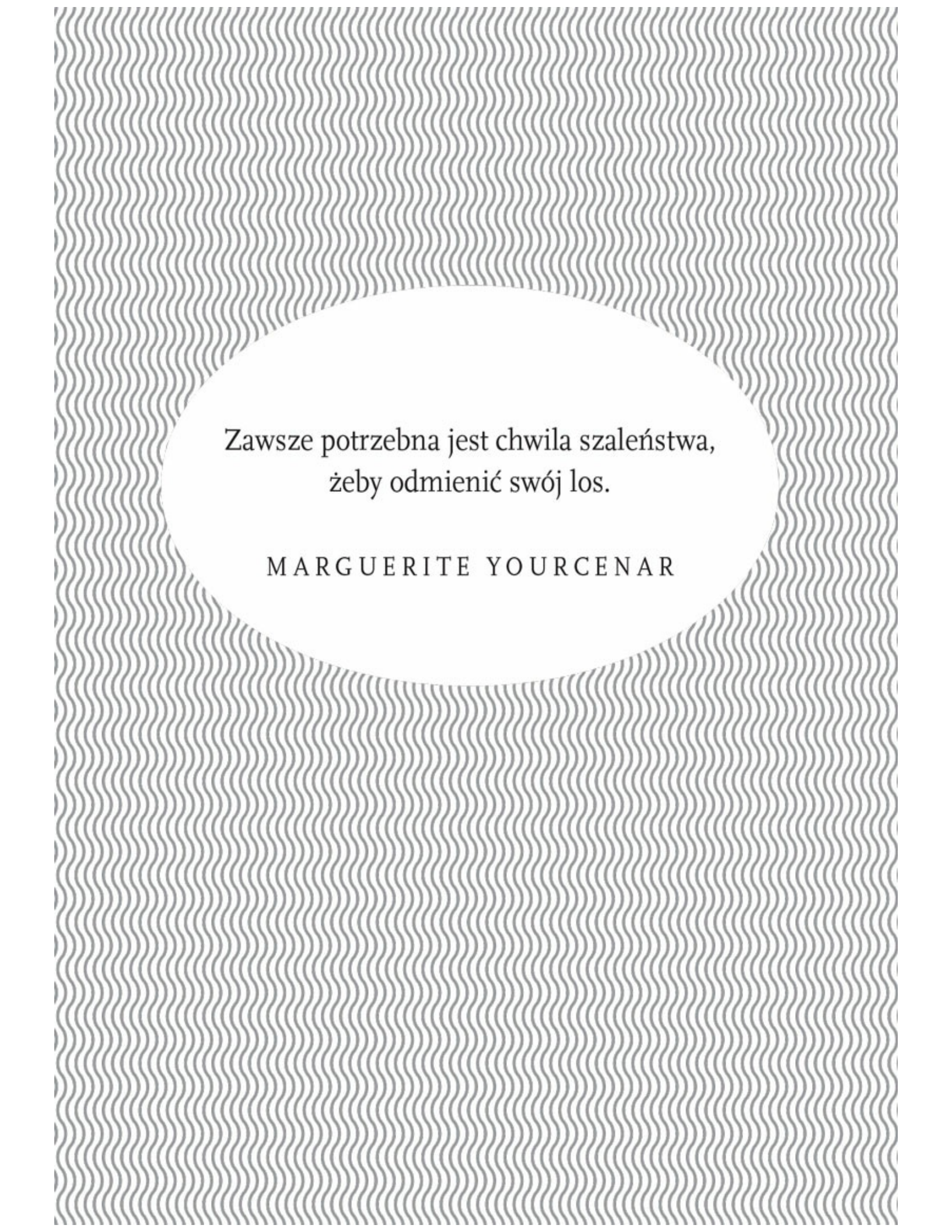
ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)



Zawsze potrzebna jest chwila szaleństwa,
żeby odmienić swój los.

MARGUERITE YOURCENAR

Dla Ciebie – za Twoje marzenia o lataniu





To historia niemal prawdziwa.

ROZDZIAŁ 1

Przez lata w moim życiu nic się nie działo. Miałam tylko jeden dość niecodzienny zwyczaj. Otóż w specjalnej walizce zbierałam ścinki materiału z każdej sukienki, jaką kiedykolwiek nosiłam. To absurdalne przywiązanie do ubrań towarzyszyło mi od najmłodszych lat i nie walczyłam z nim – wręcz przeciwnie, wkrótce ta walizka stała się nieodłączną częścią mnie. Kiedy ciotka kazała mi oddać jakąś sukienkę biednym, natychmiast sięgałam po nożyczki i wycinałam skrawek materiału – na tyle mały, aby nikt nie zauważył – a potem ukrywałam go w walizce wśród pozostałych ścinków. Z czasem zauważyłam, że noszę ubrania w coraz bardziej smutnych, zgaszonych barwach.

– Wciąż ubierasz się na szaro.

– To niebieski, ciociu.

– Mnie będziesz uczyła rozróżniać kolory?

– Ale to naprawdę niebieski.

– Jak ty się do mnie odzywasz! Taka młoda, a już bezczelna. Narzuć przynajmniej na siebie coś bardziej kobiecego. Ja w twoim wieku... No, chodźmy. Załóż tę apaszkę, którą dostałaś ode mnie na imieniny, może trochę ożywi ten ponury strój. Wisi w przedpokoju. Wyglądasz, jakbyś nadal nosiła żałobę.

Mama zmarła na krótko przed moimi ósmymi urodzinami. Ciężar opieki nade mną wzięła na siebie ciotka Brígida, jej siostra bliźniaczka. Już wtedy była od niej silna woń koniaku i perfum, i nic nie zmieniło się przez te dwadzieścia kilka lat. Postanowiła wychować mnie na swój obraz i podobieństwo – to ona decydowała, co i kiedy mam mówić, jak się ubierać. Nie mogło być mowy o jakichkolwiek odstępstwach od z góry ustalonego planu zajęć. Musiałam uczyć się pilnie, ale najtrudniejszym zadaniem okazało się znalezienie drogi ucieczki. Udało mi się to dzięki mojej niezwykłej umiejętności – wstrzymywania oddechu na dwie minuty. Mogłam zrobić to zupełnie niepostrzeżenie, nawet podczas eleganckich proszonych kolacji dla „ludzi z towarzystwa”.

Tak mijały lata.

Tak żyłam przez lata. Wstrzymywałam oddech. Aż do teraz.

Miasto budziło się do życia po długiej, wyjątkowo srogiej zimie. Śnieg stopniał, przymrozek odpuścił, a w powietrzu czuć było wiosnę i nadzieję na przyszłość. Ja zaś, wciąż samotna, żyłam – a raczej wegetowałam – w najwspanialszym mieszkaniu w Madrycie. Zajmowałam poddasze należące kiedyś do moich rodziców, pracowałam w odziedziczonej po nich fundacji, a popołudniami czytałam książki – wybrane ze względu

na okładki – albo włóczyłam się po antykwariatach w poszukiwaniu starych pocztówek z Paryża. Ktoś mógłby uznać mnie za wyjątkowo zorganizowaną, uporządkowaną czy systematyczną, ale ja sama nazwałabym to raczej ostrożnością. W końcu, po wielu latach, stałam się panią swojego czasu i mogłam gospodarować nim tak, jak mi się żywnie podobało. Samotność? Raczej samodzielność.

Tamtego wiosennego wieczoru wracałam z lekcji rysunku. Dwa razy w tygodniu – we wtorki i czwartki – uczęszczałam na trzygodzinne zajęcia wraz z czterema innymi kobietami. Takimi jak ja, a więc dysponującymi wystarczającą ilością czasu i pieniędzy, aby spędzać nudne popołudnia w oszklonej sali w dzielnicy Chamberí w towarzystwie osiemdziesięcioletniego malarza. Traktowaliśmy go nie tylko jak nauczyciela, ale i psychologa, zajęcia stanowiły formę terapii. Na początku szkicowaliśmy węglem owoce, butelki i wyszczerbione dzbanki, ale potem sięgnęliśmy po ołówki o miękkich rysikach – bardziej elastyczne i dające większą możliwość ekspresji – i zaczęliśmy stawiać bardziej odważne kreski. Wszystkie miałyśmy jednak więcej zapału niż umiejętności, szybko więc wróciłyśmy do szkiców węglem – cienie ukrywają wszelkie niedoskonałości. To samo można powiedzieć o życiu.

Węgiel pozwala rysować szybko i płynnie, a po nałożeniu wystarczy jeden ruch ręki, gąbki czy fiszorka, żeby naprawić każdy błąd. Iluzja kunsztu i sprawności. Też jak w życiu.

Zaczęłyśmy właśnie pracować nad nudnymi aktami – przerysowywałyśmy je z grafik przechowywanych przez malarza w wąskich szufladach podzielonych na kategorie: rośliny, przedmioty, ludzie, pejzaże i martwe natury. Wszystkie chciałyśmy zacząć używać już kolorów, ale życie skazało nas na długie miesiące pracy tylko w czerni i bieli. Dwie z moich koleżanek zawsze przychodziły na zajęcia razem, pod ramię, z wyrazem twarzy właściwym osobom, które przywykły do znoszenia wszelkich przeciwności losu, gotowe spędzić całe popołudnie na stołkach tak niewygodnych, że trzeba było siedzieć na nich sztywno, jakby się kij połknęło. Jedna miała na imię Rosa, druga – Mirabel, niemal identyczne, prawie nieodróżnialne w tych swoich sweterkach i w tym samym tempie pokonujące ostatnie stopnie prowadzące do pracowni. Rozmawiały cicho, głosami niemal niesłyszalnymi dla reszty, i wymieniały przy tym porozumiewawcze spojrzenia typowe dla kobiet – przyjaciółek czy krewnych – zmęczonych wszystkim, co w życiu przeszły. Trzecią uczestniczką zajęć była Isabel – prawdopodobnie moja rówieśniczka (nie wiem, czy już wspominałam, że zbliżałam się wówczas do czterdziestki). Jej subtelna obecność przywołała na myśl motyla. Szczupła, sprawiała wrażenie kruchej, z wystającymi łokciami i kościstymi kolanami, zawsze uśmiechnięta, a zarazem melancholijna. Świetnie radziła sobie z węglem; stary malarz oceniał jej rysunki jako wybitne, a my nie czułyśmy ani grama zazdrości, bo przychodziłyśmy tam dla towarzystwa i zabicia czasu. Malowała delikatnie, niemal bezszelestnie przesuwała węglem po papierze, prześlizgiwała nim po kartce i właściwie nie pozostawiała śladu, bo kreśląc jedną ręką, czubkami palców drugiej

jednocześnie rozmazywała kontury. Nie potrzebowała szkiców czy wersji próbnych, rysowała od razu niezwykle precyzyjnie. Mogę się założyć, że bez problemu odtworzyłaby kontury mapy Europy bez konieczności zaglądania do atlasu. Z jakiegoś powodu zawsze nazywałam ją Inés. „Dzień dobry, Inés. Podoba mi się twój rysunek”.

– Mam na imię Isabel.

– Przepraszam, znów się pomyliłam, Inés. To znaczy Isabel.

Bardzo przejmowałam się tą nagminną pomyłką, jak gdyby lada moment w drzwiach miała stanąć, gotując się ze złości, moja ciotka. Często popełniałam ten błąd i czasem chciałam nawet zapytać: „Czy mogę mówić do ciebie Inés?”, ale pomysł wydawał mi się absurdalny. Isabel zazwyczaj nie odzywała się podczas lekcji, podobnie jak czwarta uczestniczka, najstarsza z nas wszystkich Inmaculada. Jak sama mówiła, wdową była od zawsze: jej mąż zmarł wkrótce po ślubie, w domu. Pewnego dnia wróciła i zastała go śpiącego na kanapie. Nie chciała mu przeszkadzać, więc niczego nieświadoma spędziła kilka godzin z nieboszczykiem. Kiedy nadeszła pora kolacji, postanowiła w końcu obudzić męża, podeszła więc do niego i potrząsnęła za ramię. „Spadł na podłogę”, mówiła, zawsze gdy wypływał temat wdowieństwa. „Przyzwyczaiałam się już, tak mi się życie potoczyło. Czasem myślę, że urodziłam się jako wdowa; nie pamiętam, jak to jest mieć męża, po moim małżeństwie pozostało kilka zdjęć schowanych w szufladzie. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”, opowiadała bez emocji.

– Pamięta go pani? – zapytałam. Siedziałam wyprostowana na krześle i próbowałam narysować butelkę koniaku i dwa opróżnione przez malarza kieliszki.

– Pamiętam tylko, że był mężczyzną – odparła i wróciła do swojego rysunku. Poprowadziła długą, czarną kreskę na szkicu, który miała przed sobą, rzuciła kątem oka na martwą naturę i odwróciła się w moją stronę. – Był jakimś mężczyzną, i tyle, jego twarz należy już do innego świata. Dziwnie mi nawet myśleć o nim czy o naszym związku. Nie próbuję zapomnieć, nie robię tego umyślnie, po prostu to już minęło.

– Nie pamięta pani nawet zapachu jego perfum?

– Wszystko wyrzuciłam, z domu i z pamięci. A zresztą z nas dwojga tylko ja się perfumowałam.

Opowieść Inmaculady wyraźnie poruszyła Inés, Isabel, czy jak tam ona się zwała. Zmrużyła oczy, wyraz jej twarzy zmienił się i teraz malowało się na niej trochę przerysowane współczucie. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że słuchaczki przeżywały tę historię dużo bardziej niż sama narratorka – jej wspomnienia były tak odległe, że przez słowa nie przebijał nawet cień smutku. Gdzieś w tle unosiła się jednak niesłyszalna muzyka, coś jak ścieżka dźwiękowa do tej opowieści, wciąż przypominająca o śmierci, tragedii, samotności. Same. Byłyśmy same. Obrazy i my. Rosa, Maribel, Isabel, Inmaculada i ja.

Jeszcze chyba się nie przedstawiłam: mam na imię Teresa i kiedyś kochałam malarza

imieniem Laurent.

ROZDZIAŁ 2

– Tajemnica egzystencji leży w pewności siebie. Wyobraźcie sobie, że płótno to wasze życie...

To płótno bez wątpienia symbolizowało moje życie – czysta, biała powierzchnia, *tabula rasa* – a ja gorączkowo zastanawiałam się, czym ją wypełnić. Niektórzy po prostu malują, a dopiero potem tłumaczą wybór tematu, ale ja potrzebowałam uzasadnienia nawet dla decyzji o pionowym albo poziomym ustawieniu obrazu. Stary malarz z trudem poruszał się po pracowni o lasce, jak niewidomy szukający drogi, szybko się męczył i raz po raz musiał przystanąć, oprzeć się o siedzenie którejś z nas, żeby złapać oddech i móc dalej prowadzić zajęcia. Miał surowy wyraz twarzy i z początku zdawał się ponury i zamknięty w sobie, ale wrażenie to ginęło bez śladu, gdy tylko zaczynał mówić. Odwracał się wtedy tyłem i niewidzącym wzrokiem wpatrywał gdzieś w horyzont; prawdopodobnie nie chciał oglądać naszych bohomazów. Zanim wygłosił jakąś uwagę czy instrukcję, dwukrotnie klaskał, żeby przyciągnąć naszą uwagę. Wszystkie podnosiłyśmy wtedy głowy jak spłoszone gołębie. Zawsze poruszał mnie widok resztek jedzenia wplątanych w jego brodę, ślad wiecznego wdowieństwa, symbol pustki pozostawionej przez samotność.

Przemawiał z pasją i zaangażowaniem. Innymi razy tłumaczył wszystko bardzo powoli, kiedy docierało do niego, że brak talentu i zapалу nadrabiamy niewyczerpanymi zasobami wolnego czasu.

– Powinny panie bardziej wierzyć w swoje umiejętności. Należy rozcierać węgiel aż do uzyskania pożądanego odcienia szarości, poprawić pociągnięcie bawełnianą szmatką albo palcem.

Gestykulował przy tym żywo, prawą ręką kręcąc młynki w powietrzu.

– Białej kredy używamy tylko dla podkreślenia najjaśniejszych elementów rysunku. Na przykład tutaj, żeby w pełni oddać błyszczącą skórkę jabłka, musimy użyć odrobiny kredy, wydobyć ten blask. To jak zapalenie lampy w mroku. Ale światło zostawmy sobie na później.

Zostawmy światło na później.

Zostawmy światło na później.

Zostawmy światło na później...

Wszystkie zaczęły malować, oprócz mnie. To określenie wytrąciło mnie z równowagi: „zostawmy światło na później”. Trafiało wprost w moje lęki, kolejne zdanie do kolekcji zdominowanej dotychczas przez zakazy i nakazy ciotki. „Nie bądź taka ospała. Uczesz porządnie włosy, kucyk ma być gładki! Podnieś głowę, wyglądasz jak obdartus. Ubierz się

schludnie. Nie wolno trzymać łokci na stole! W ogóle nie przypominasz matki...”.

Ona, choć bliźniaczka, też wcale nie przypominała mojej matki.

Liczyła się tylko ona i jej stosunek do mnie. Bezustannie śledziła moje poczynania, musiała wiedzieć, co robię i jak. Z czasem stałam się lustrem, które miało odbijać ją taką, jaka chciała być. Dorastałam zmuszona bezustannie grać, bo wzrok ciotki wciąż kierował się na mnie. Przyzwyczyłam się do tego uczucia bierności i odrętwienia, niezdolna do bycia sobą, jeśli ona nie podejmowała wszystkich decyzji.

Patrzyła wzrokiem sfinksa. Niezwykłą przyjemność sprawiało jej przemawianie ze szczytu schodów – jedną ręką opierała się o balustradę i emanowała przy tym niepokojącym opanowaniem i gracją. Wówczas – jestem wszak tylko człowiekiem – oddałabym wszystko za jej sposób chodzenia. Ześlizgiwała się w dół z wdziękiem, sztywno wyprostowana, zdawała się unosić w powietrzu jak podczepiona do sufitu na niewidzialnych sznurkach.

– Czas na lekcję fortepianu, Tereso. No, już.

To oznaczało, że musiałam się przebrać, mocniej niż zwykle ściągnąć włosy do tyłu i pójść z nią do biblioteki. W olbrzymim pomieszczeniu roiło się od pajaków i tylko ich imponująca liczba przytłaczała bardziej niż obecność mojej ciotki. Wyjmowałam partytury z konsoli i rozkładałam je na stojaku.

– No, dalej, Tereso.

Fortepian wyczuwał mój strach, każdy klawisz dobrze znał drzenie moich palców. Ciotka siedziała w skórzanym fotelu ze złowieszczą miną, ubrana na czarno, i raz po raz obracała się tyłem, żeby ukradkiem dolać sobie koniaku. Jej ramiona poruszały się jak u dyrygenta orkiestry, a głowa delikatnie spoczywała na oparciu. Wyprostowana, żeby nie zepsuć fryzury, przymykała oczy i pogrążała się w drzemce.

Tak dorastałam. Dyrygowała mną, jakbym była jednym z utworów na fortepian. Do przesady podkreślała swoją subtelność i kobiecość, których miałam się od niej uczyć. Dlatego też zapisałam się na lekcje rysunku.

– Z początku będziemy używać tylko czerni i odcieni szarości. Nie muszę chyba tłumaczyć, są panie bardzo pojętne. W przypadku pomyłki wystarczy rozetrzeć kreskę opuszką palca, na szaro zacienić odpowiedni obszar. No, proszę – nalegał. – Zacieramy wszystkie błędy.

Jak zareagowałby Laurent? Sam zupełnie inaczej mówił o kolorach, z charakterystycznym zdecydowaniem używał tylko wielkich słów. Bez odcieni i półtonów. Największą przyjemność odczuwałam dopiero teraz, po latach, kiedy myślałam o nim i tylu rzeczach, które tak późno w życiu zrozumiałam. Cóż, najlepiej było wrócić na ziemię, do lekcji rysunku, i nie zastanawiać się nad tym, co mogłoby się wydarzyć. Zaakceptować rzeczywistość. Akceptacja – to słowo tak wcześnie pojawia się w słowniku i tak trudno

potem się go pozbyć.

„Zacieramy, zacieramy...”. Wszystkie automatycznie przytaknęłyśmy na te słowa, z głowami pochylonymi jak słoneczniki na polu w podmuchu wiatru.

– To żaden problem – mówił, rozcapierzając wykręcone przez artretyzm palce. – Drobne pomyłki można bez trudu naprawić. Jeśli zaś trafi się większa, wracamy do początku. Do początku. Po-cząt-ku.

A cóż to za logika? Nienawidzę zaczynać od nowa. Przez całe życie wolałam raczej zacierać błędy niż podrzeć kartkę i wrócić do początku. Pierwszy etap wydawał mi się zawsze najgorszy. Właściwie ta cecha chyba najlepiej mnie definiuje. Kiedy chodziłam do szkoły – jeszcze zanim zmarli rodzice i trafiłam do domu ciotki, z niekończącą się sztafetą śniadań, szkoły, lekcji fortepianu, mszy i gorączek – nie znosiłam ciągle od nowa deklamować tabliczki mnożenia. Wolałam nauczyć się jej od początku do końca, stanąć przed tablicą i wyrecytować całość bez potknięcia, byle tylko nie zaczynać od nowa.

Początek, początek, początek. Nie, nie, nie.

„Musisz zacząć wiersz od początku”, powiedziała nauczycielka podczas jednej z tych ostatnich lekcji przed wakacjami, kiedy czas do końca czerwca ciągnie się niemiłosiernie.

Z zaskakującym spokojem odparłam:

– Nie.

Profesorka zamarła przy tablicy. Zaczęły trząść mi się nogi ze strachu przed reakcją ciotki Brígidy, gdyby dotarła do niej wieść o moim postępku. Na ustach nauczycielki pojawił się fałszywy uśmiezek i na głos, przy wszystkich, powiedziała: „Jesteś niemożliwa”. Byłam niemożliwa. Za niemożliwe uważałam podjęcie się jakiegokolwiek zadania, które wymagałoby cofnięcia się do początku. Okazuje się, że to cecha ani szczególnie dziwna, ani niespotykana. Wcale zresztą nie zależało mi na wyjątkowości czy niepospolitości. Wiele osób ogarnia paraliżujący strach przed rozpoczęciem dowolnego przedsięwzięcia, a lęk objawia się kołataniem serca, wysypką i nadmiernym poceniem, najczęściej zaś – niezdolnością wydobyć dźwięku. Uznałam więc, że milczenie nie jest w tym zestawie najgorsze.

– Za pomocą fiszorka można zatrzeć pomyłkę lub wydobyć jakiś szczegół. Bawcie się odcieniami, drogie panie, niech nieprawidłowe pociągnięcia węglem posłużą do nadania rysunkowi głębi. I jak? Jest pani zadowolona?

Mówił do mnie. Zdołałam wydusić z siebie jedynie kłamstwo.

– Podoba mi się.

– Nieprawda, wcale się pani nie podoba. Ale uparcie pracuje pani dalej, kreśli zapamiętałe węglem w jedną i drugą stronę. Proszę zacząć od nowa.

– Nie chcę marnować papieru.

Zaśmiał się serdecznie.

– Na co pani czeka? – zapytał najspokojniej na świecie. – Proszę podrzeć tę kartkę!

Czułam się bardzo nieswojo. Stał za moimi plecami i nalegał, żebym zaczęła od początku. Pod pozornym spokojem tego mężczyzny czaiła się potężna siła, zdolna powstrzymać atak armii idącej ławą na twierdzę obronną. „Cierpisz, nie wymazując pomyłek, ale w głębi serca najbardziej cierpisz, nigdy nie zaczynając”, mówił łagodnie. Powoli zbliżył się do mnie i wyczuł moje drżenie. Krew boleśnie pulsowała mi w skroniach. Wyciągnął rękę i potrząsnął kartką tuż przed moim nosem.

„Już!”.

– Czuję się upokorzona – powiedziałam.

– Nie. Czuje pani ulgę. Sama nie była pani w stanie tego zrobić.

Zamarłam. Powietrze smakowało inaczej, bo ktoś podjął za mnie decyzję – nie pierwszy raz. Prawdziwy cios zadał mi weterynarz, kiedy powiedział nam, że trzeba uspić psa. Użycie słowa „uspienie” w pewnym sensie rozmywało rzeczywistość – mieli go zabić i to mnie kazali podjąć decyzję. Weterynarz długo walczył o życie mojego pupila. Szorstkowłosy jamnik przetrwał i guza, i upadek z okna – poturbowany pies długo dochodził do siebie, bo choć upadek zamortyzowały liście, połamał tylne łapy. Gdy wieczorem przychodził do mnie przed snem, już mnie nie poznawał, ale musiało go to w jakiś sposób uspokajać, bo zasypiał u moich stóp, zawinięty w koc pozostawiony przez ciotkę pod łóżkiem. Oddałabym za niego życie. Kiedyś tryskał energią, biegiem pokonywaliśmy razem schody, a teraz patrzyłam, jak powoli gaśnie. Oboje graliśmy w tej farsie napisanej przez weterynarza i straciłam już resztki nadziei. Od tej pory moja rozpacz wysunęła się na pierwszy plan. Wychodziłam do szkoły z myślą, że po powrocie zastanę go martwego. Mały jamnik czekał jednak na mnie, wykończony bólem, wypatrując ostatecznego rozkazu. Gdyby zmarł śmiercią naturalną, znaczyłoby to, że wygrałam. Pamiętam, jak pewnego dnia po powrocie znalazłam go w korytarzu, wyciągniętego w kałużę moczu, i ucieszyłam się. Zdjęto ze mnie ciężar decyzji.

– Nie żyje! Wilczek zdechł!

Ciotka wyszła do przedpokoju, ofuknęła mnie za niepotrzebne krzyki i lekko szturchnęła go kijem od szczotki. Smród moczu przypominał odór śmierci. Moje nadzieje okazały się jednak płonne.

– Ciągnie już resztkami sił. Powinnaś skrócić biedakowi cierpienia – orzekła i obróciła się na pięcie.

Pies ciągle żył. Uciekłam do swojego pokoju. Kiedy jakiś czas później przyczołgał się do mnie, chciałam zabić go jednym litościwym ciosem, ale tylko płakałam, czując na sobie jego błagalne spojrzenie. W zmętniałych źrenicach malowała się zapowiedź śmierci, ledwo widział mnie przez zaćmę, a nadal chciał polizać, pocałować. Zdawał sobie chyba sprawę, że tylko ja mogłam położyć kres jego udękom.

– Dosyć tego. Tak dłużej być nie może – stwierdziła stanowczo ciotka Brígida.

Następnego dnia znalazłam na stole w bibliotece skórzaną smycz z wygrawerowanym na plakietce imieniem Wilczka. Ciotka wstała o świcie i zadzwoniła do weterynarza jeszcze przed śniadaniem – podjęła decyzję za mnie. Dowiedziałam się o odejściu psa po powrocie do domu. Nie odezwałam się ani słowem. Po raz drugi zostałam sierotą. I nie miałam w tej kwestii nic do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 3

Na szczęście tamtego wieczoru wyszłam z zajęć bez mojej wielkiej teczki – nie miałam ochoty pracować nad rysunkiem w domu. Zostawiłam ją razem z pracami innych uczennic w wykuszu, gdzie stary malarz trzymał wszystkie materiały, opartą o okrągły postument. Czasem jedna z nas musiała się na niego wdrapać, a pozostałe cierpiały niewysłowione męki, próbując sportretować koleżankę. Wystawianie się na widok publiczny – z wszystkimi kompleksami i świadomością, że nasze niedoskonałości, przeniesione na papier za pomocą węgla, mogą zostać wyolbrzymione – to najbardziej krępujący element tych zajęć. Pierwszy dzień pozowania upływał pod znakiem śmiechu, drugi – gniewu, trzeci – ciszy, czwartego zaś modelce z przymusu było już wszystko jedno: czy na rysunkach wyjdzie niedoskonała, gruba, brzydka, wstrętna, dziwaczna, czy po prostu zupełnie niepodobna do siebie.

To wszystko miało miejsce w galerii z oknami wykuszowymi, pod kopułą budynku, w którym odbywały się zajęcia. Poniżej, po obu stronach chodnika, rosły olbrzymie platany – przy najłżejszym podmuchu wiatru ich liście szeleściły, a gałęzie gwałtownie uderzały o balkony. Wykuszowa pracownia starego malarza stanowiła kapryśne wykończenie narożnika secesyjnego budynku o siedmiu piętrach. Galerię wieńczyła – niczym latarnia morska w środku miasta – ośmiokątna kopuła pokryta błyszczącymi łupkami, wsparta na kolumnach oddzielających od siebie wysokie okna. Dzięki nim do pomieszczenia przez cały dzień wpadało światło – od świtu aż do chwili, gdy słońce chowało się za górami. Z pracowni rozciągał się piękny, ale i zatrważający widok. Powietrze w sali przesiąknięte było ciężkim zapachem farb olejnych i terpentyny. Tę ostatnią malarz przechowywał w puszkach na niskim stoliku pod południowym oknem i lubiłam zerkać w ich stronę. To samo robiłam kiedyś z toaletką ciotki pod jej nieobecność – próbowałam znaleźć cokolwiek, co uczyniłoby tę kobietę choć trochę ludzką. Oprócz napoczętej butelki koniaku znalazłam pachnący kwiatami różaniec. Sama udzielała sobie błogosławieństwa.

Jej osobowość skrywały nowenny do świętej patronki naszej rodziny i odurzająca woń perfum wydobywająca się z każdej szuflady, spośród płaszczy, apaszek i rękawiczek. Znałam każdy cal tych szaf, komód i półek. Z sercem w gardle zanurzałam się w jej pokoju w poszukiwaniu tajemnicy kryjącej się za podłym charakterem i potęgującą się z wiekiem surowością. Wsuwałam ręce pomiędzy stosy porządnie poskładanych prześcieradeł i czułam dudnienie w klatce piersiowej. Musiałam podjąć to ryzyko. Kiedy już myślałam, że trafiłam na jakiś stary bilet, okazywał się świętym obrazkiem. Pod palcami wyczułam paciorki – to znowu różaniec.

W pokoju znajdowało się stare zwierciadło powleczone zniszczoną warstwą rtęci.

Odbijało rzeczywistość zdeformowaną, fantasmagoryczną. Natykałam się na nie zaraz przy wejściu, stało tam wiernie jak stróż i donosiciel. Zawsze przechodziły mnie ciarki. Na co dzień ciotka używała małego lusterka – ustawiała je pod kątem na złocistym stoliku o marmurowych nogach, żeby, jak sama mówiła, „podkreślić onyksową czerń oczu”. Mnie przypominały raczej karaluchy.

Myślę, że nigdy nie przyglądała się swojemu ciału w całości.

Z całych sił starałam się przezwyciężyć strach, kiedy wysuwałam jedną z szuflad na biżuterię. Pośpiesz się, poganiałam się w myślach. Otwierałam kolejne przegródki i patrzyłam na wyściełane aksamitem pudełeczka z pierścionkami i kolczykami należącymi niegdyś do mojej matki. Ciotka wszystko sobie przywłaszczyła.

Szybciej.

Zdecydowanym gestem sięgnęłam po kolczyki, które zawsze nosiła mama. W domu panowała podejrzana cisza i bałam się, że lada chwila zjawi się ciotka. Kiedy tylko dotknęłam klejnotów, odprężyłam się, jak gdybym poczuła na ramieniu uspokajającą dłoń matki. Serce zaczęło mi walić jak szalone, a oczy wypełniły się łzami. Dokładnie pamiętałam datę jej śmierci, tak bolesną... A nawet godzinę. I słowa ciotki: „Musisz być dzielna i nie płakać, kiedy przyjdzie rodzina”. Rodzina!

Rzuciłam się jej na szyję, szukając pocieszenia. Po chwili powiedziała: „Pognieciesz mi sukienkę”. Odsunęła mnie, odsunęłam się i resztę dnia spędziłam w swoim pokoju, odosobniona, zamknięta, zanurzona w ciemności i ciszy, przytłoczona rzeczywistością. Raz po raz wycierałam oczy, żeby nie dostrzegła moich łez. Co jakiś czas wchodziła do pokoju, zapalała lampę, obrzucała mnie wzrokiem i z powrotem gasiła światło. Serce zamarło mi w piersi – po raz pierwszy, ale nie ostatni.

Powykręcane tuby z farbami olejnymi stary malarz przechowywał bez ładu i składu w wiecznie otwartej skrzyni, tak uwalanej, jak gdyby służyła również za paletę. Każda próba wyjęcia jednego ze zlepionych w brudną całość opakowań groziła poplamieniem. Uwielbiałam egzotyczne nazwy kolorów farb marki Charvin, takie jak sjena palona, ugier, indygo, róż indyjski, ultramaryna, cyklamen, ochra, błękit królewski, umbra, marengo, palisander, eozyna...

– Mam już dość czerni i bieli. Potrzebuję kolorów – powiedziałam mu pewnego wieczoru po wyjściu pozostałych uczestniczek zajęć.

– Na kolory trzeba zasłużyć, wiedzieć, jak poprawnie ich używać. Umiejętne mieszanie kolorów to duża sztuka. Wszystko w swoim czasie. Zaczniemy od barw podstawowych, potem dodamy biel, a następnie brązy, błękity, zielenie, pomarańcze... – Nagle zatrzymał się i wskazał mi wiszący na jednym z filarów niewielki obraz, o wymiarach może dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów. – Wie pani, kto go namalował?

W milczeniu przyjrzałam się płótnu, przykuta do podłogi, nieruchoma jak drapieznik

czyhający na ofiarę.

– Pańskie dziecko? – odparłam.

Zmarszczył brwi.

– Nie, pani Tereso. To mój pierwszy obraz. Miałem jakieś czternaście lat i wszystko, co niezbędne malarzowi.

– Jest piękny.

– Dziękuję za komplement, ale to nieprawda. Miałem wszystko to, co niezbędne, ale nie oznacza to jeszcze, że umiałem malować. To zły obraz. Nie chodzi tylko o perspektywę czy kompozycję, ale przede wszystkim o fatalny dobór kolorów. Nie współgrają.

– Po co więc go tu trzymać? Skoro się panu nie podoba...

Patrzyłam, jak na jego czoło znów występują bruzdy i zdaje sobie sprawę, że zawsze muszę mieć na wszystko odpowiedź. On jednak – tak żywo, jak kiedy odrzucał pędzel i poprawiał nasze błędy w slalomie między sztalugami – powiedział:

– Trzeba umieć cierpliwie czekać, trzeba umieć czekać, umieć czekać... – powtórzył jak mantrę. Odwrócił się do okna i szukał na horyzoncie punktu, na którym mógłby zawiesić wzrok i mówić dalej. – Wie pani, ja też się śpieszyłem, zawsze wszystko chciałem zrobić jak najszybciej. Jak najprędzej zjeść, zacząć biegać, prowadzić samochód, dorastać, obchodzić kolejne urodziny! To ostatnie wydaje mi się najbardziej absurdalne. Teraz, z wcale nieprzyjemnej perspektywy starości, mogę pani przysiąc, Tereso, że pośpiech jest nic niewarty. Trzeba umieć cierpliwie czekać...

– No... – odziedziczona po rodzicach obsesja, żeby zawsze mieć ostatnie słowo, kazała mi dorzucić coś od siebie. W tym tempie miną jeszcze długie lata, zanim namaluję pierwszy obraz. Nie znałam dobrze starego malarza. Tak naprawdę mało kto go znał. Być może to dlatego chciałam z nim rozmawiać więcej, niż z kimkolwiek innym. Podczas tych niewinnych pogawędek nie poruszaliśmy kwestii osobistych.

Jego pierwszy obraz przedstawiał pejzaż: dwa szczyty i nieproporcjonalny dom, utrzymane w barwach Van Gogha i namalowane prostą, nieco napiętą kreską Fabresa. Nauczyciel był ciekawym, skomplikowanym człowiekiem. Choć z pozoru szorstki, rozmowa z nim potrafiła poprawić nastrój lepiej niż wypita w samotności filiżanka gorącej herbaty. Wyjął z kieszeni zegarek na popękany skórzany pasek i zbliżył do oczu, żeby odczytać godzinę. Robił to często, zwłaszcza kiedy rozmowa na chwilę zamierała. Dzięki temu nie czuł się tak niezręcznie. Schował zegarek i powiedział:

– Kolor to coś potężnego. Najpierw musi pani opanować czerń i biel, nie bać się mroku, ale znaleźć światło w najgłębszej czerni, bawić się cieniem, sprawić, by biel błyszczała mocniej niż żółć, pomarańcz czy błękit. Dopiero gdy będzie pani zadowolona ze wszystkich szkiców węglem, przyjdzie czas na wypełnienie ich kolorem.

– Mam już dość czerni! – wykrzyknęłam z irytacją.

Myślałam o czerni onyksu, czarnych karaluchach, domowym fortepianie...

– Proszę zostawiać plamy bieli.

Odchrząknęłam i wylałam z siebie frustrację:

– Ale czuję się nieswojo na widok tak smutnych obrazów. Owoce wcale nie przypominają owoców, ludzie wyglądają jak martwi, pejzaże są ponure... Moim rysunkom brakuje lekkości, proszę tylko spojrzeć. Te ptaki nie fruną, to jakieś czarne szkarady.

Stary malarz słuchał z malującą się na twarzy irytacją.

– Proszę posłuchać – wyrzucił z siebie autorytatywnym, trochę uroczystym tonem, bardziej jak kapłan niż nauczyciel. – Ambicja to nic złego, ale najważniejsze to przestać tak uważnie wsłuchiwać się w siebie i pozwolić ponieść się natchnieniu. Ten etap może wydawać się długi i nudny, cała ta gra z czernią i szarościami. Tymczasem zewsząd otaczają nas barwy, wszystko ma jakiś kolor. Proszę słuchać uważnie, pani Tereso. Niech pani sięgnie wzrokiem nieco dalej, wyjrzy za okno...

Popołudnie pełne było światła, dachy i tarasy Madrytu błyszcząły w pełnym słońcu. Widziałam poważne budynki o uporządkowanej, sztywnej architekturze, fantazyjnie wygięte, czarne balustrady z kutego żelaza, rozety, zaś na najbardziej spektakularnych fasadach – solidne balkony żółcące się kwiatami. Niżej – dwuskrzydłowe bramy, afisze, sklepy z pasiastymi markizami, ludzi, ubrania, buty, chodniki o lśniących krawężnikach. Cały świat koloru, od góry do dołu, w którym oświetlone popołudniowym słońcem budynki stanowiły jeden z najważniejszych elementów.

– Cegły są pomarańczowe – zauważyłam.

– Zaskakuje mnie pani – stwierdził, patrząc w tym samym kierunku. – Potrafi pani daleko sięgać wzrokiem. Proszę jednak przyjrzeć się niebu.

– Niebieskie.

– Co się dzieje, pani Tereso? Proszę się dobrze przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka widać niebieski, potem pojawia się biały, odrobina turkusowy z domieszką indygo, róż, żółć, fiolet, trochę czerwieni, inny odcień niebieskiego, trochę bardziej intensywny, ciut delikatniejszy, granatowy tuż przy kominach, tam kobaltowy, w głębi znów indygo, tam ponownie fiolet...

Przyglądałam się malarzowi, gdy tak rozkładał niebo na czynniki pierwsze. W końcu westchnął.

– Proszę jeszcze trochę wytrzymać – powiedział z naciskiem. – Trudno od razu wszystko dojrzeć, ale często w zasięgu naszego wzroku leży dużo więcej, niż nam się wydaje. Co możemy zrobić? Nauczyć się patrzeć – stwierdził stanowczo. – Ludzie nie potrafią patrzeć, przemykają ulicami, omijając latarnie, krzywe płyty chodnikowe, siebie nawzajem. Markizy wyciągają się w naszą stronę, czasem bardzo subtelnie, rzucają na ziemię cień, gdy pali słońce, osobne obrazy tworzą nawet kosze na śmieci, liście, drzewa – są brązowe, beżowe, brunatne, waniliowe... Asfalt nie jest po prostu czarny, czasem ma odcień sjeny palonej, innym razem niebieskawo-szary, jeszcze kiedy indziej popielaty. Proszę się przyjrzeć. Bramy tworzą nowe światy, w środku i na zewnątrz. Pani czerwony płaszcz

może być śliwkowy, wiśniowy, w kolorze dojrzałych brzoskwiń... Barwy nigdy nie zostają takie same, zmieniają się nieustannie, z każdym naszym krokiem. Kolory same w sobie stanowią osobliwe zjawisko. Nawet te tak znieawidzone przez panią czerń i szarości. Na kolor przyjdzie czas, ale musi pani być gotowa, nauczy się pani patrzeć...

– Skąd pan wie? – spytałam nieśmiało.

– Mówi się – odparł nieco ciszej – że z wiekiem wiemy więcej. Jest nawet takie powiedzenie: diabeł więcej wie dzięki temu, że jest stary, niż dlatego, że jest diabłem. Wiem, wiem, pani życie wypełnia czerń i biel, ma pani dość czerni, zmęczenie znieczuła panią na wszystko inne, ale wydaje mi się, że pani żyje w tej szarości. Proszę poczekać. Musi się pani nauczyć cierpliwości. Na razie niech pani spróbuje dojrzeć światło w tych czarnych plamach, które kreślimy węglem. Na kolor przyjdzie czas. Nie trzeba się śpieszyć.

„Na kolor przyjdzie czas...”.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły okoliczne budynki i wpadły przez okna pracowni, nadając słowom malarza barwę ochry. Z rozdziawionymi ustami wpatrywałam się w przestrzeń, on zaś dokuśtykał do komody z farbami olejnymi. Gdy zapadł zmierzch, odwróciłam się i zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Stary mistrz zapalał fajkę, a żarzący się tytoń wyglądał jak mały zachód słońca.

– Cierpliwości – powtórzył i zaciągnął się mocno. – O to właśnie chodzi.

ROZDZIAŁ 4

Zbliżała się przełomowa chwila. Tamtego dnia wyszłam z pracowni bez niewygodnego pakunku pod pachą. Czułam się wolna i miałam trochę czasu do umówionych odwiedzin u ciotki, pozwoliłam więc sobie na spacer bez celu ulicami miasta. Jak zwykle kupiłam paczkę czekoladowych herbatników, jej ulubionych słodyczy i jedynej rzeczy zdolnej na kilka chwil złagodzić surowy wyraz twarzy tej kobiety; od lat uciekałam się do tego wybiegu, rozpaczliwie próbując choć trochę ją udobruchać. Z irytującą cierpliwością sięgała po kolejne ciastka i w nieskończoność przedłużała podwieczorek, a ja grałam na fortepianie i zapewniałam jej rozrywkę.

Byłam już pod jej domem, gotowa przecierpieć tradycyjną wizytę, kiedy zadzwoniła.

– Siedzę dziś do późna w fundacji.

Odetchnęłam. Udało mi się. Ruszyłam w drogę. Uroczyście, niemal nabożnie przemierzałam ulice Santa Bárbarę i wśliznęłam się do baru, gdzie kelner Tomás przynosił mi zawsze do stolika – to inny mój rytuał – gin z tonikiem, a potem zabawiał mnie rozmową. Czekałam przy witrażowym oknie, przez które moje życie wyglądało jak w kalejdoskopie, pocięte na kwadratowe kawałki. Tego wieczoru Tomás jednak nie pracował, więc wyszłam.

Z naprzeciwka wolnym krokiem szła w moją stronę jakaś kobieta. Obładowana tobołami, na smyczy ciągnęła starego, ciężko dyszącego psa i co dwa kroki musiała przystanąć. Otworzyłam opakowanie ciastek dla ciotki i nakarmiłam nimi zwierzaka. Przy okazji przeszłam przez ulicę. Zatrzymałam się na chwilę przed kwaciarnią, żeby nacieszyć się pięknym zapachem, i nagle poczułam, jak wyostrajają mi się wszystkie zmysły. Dziwne.

Wtedy właśnie znalazłam się przed wejściem do prowizorycznej galerii, gdzie wśród milionów towarów wystawiono na sprzedaż starą drewnianą tablicę z napisem: *Aux tissus des Vosges, Alice HUMBERT, nouveautés.*

Weszłam do środka.

Przypadkowo napotkany antykwariat przy ulicy Fernando VI oferował szeroki wybór mebli jakby przeniesionych wprost ze starych paryskich parków: chybotliwe rozkładane krzesła – niegdyś białe, teraz pokryte warstwą rdzy – obok poobijanych drewnianych ławek, świetnie nadających się do scenografii filmu, którego akcja rozgrywa się w epoce dekadencji, kryzysu XVII wieku. Stały tam horrendalnie drogie, ogromne stoły z toczonymi nogami, zastawione dziesiątkami kryształowych wazonów z bukietami róż. Różne przedmioty, mniej lub bardziej cenne, wypełniały przestrzeń sklepu i wystawy co do centymetra, moje serce zabiło jednak mocniej pod przemożnym wpływem wiszącego

w głębi szyldu – dojrzałam go już od drzwi.

Górujące nad półkami z zegarkami dwa wielkie żyrandole podzwaniały w rytm podmuchów wiatru wpadającego z ulicy. Niżej stało gigantyczne, połączone łoże – aż zachęcało do tego, by skakać po nim jak dziecko po wizycie Mikołaja – a obok kilka starych, metalowych łóżeczek. Wzdrygnęłam się. Nic nie mogę na to poradzić. Widok artykułów dla dzieci budzi we mnie niewytłumaczalny wstręt, mam tu na myśli na przykład porcelanowe lalki czy staroświeckie mosiężne zabawki, również wystawione w antykwariacie. Szczególnie odrażający wydał mi się przedpotopowy regał pełen wytrzeszczających oczy lalek – uciekłam do części sklepu poświęconej akcesoriom kuchennym, niepraktycznym, ale jakże uroczym. Wśród towarów znaleźć można było kandelabry i lampki nocne, delikatne szkatułki z masy perłowej pełne starej biżuterii – również na sprzedaż – a także fortepian z powyłamywanymi klawiszami. Służył już tylko za stół pod partytury, chętnie wykorzystywane przez dekoratorów wewnątrz w charakterze tapety.

W antykwariacie czas zatrzymał się dawno temu. Z głośników płynęła muzyka klasyczna – niemożliwa do zidentyfikowania, bo mieszała się ze szmerem rozmów klientów grzebiących w skrzyniach i olbrzymich kufrach pełnych szkieletowatych parasoli o eleganckich rączkach. Wyściełane krzesła, fotele i otomany pokryte wyświeconym aksamitem najwyraźniej cieszyły się szalonym powodzeniem, jeśli sądzić po otaczających je tłumach. Dłuższą chwilę zajęło mi dotarcie do tabliczki, mojej tabliczki. Zafascynował mnie jej symetryczny układ i krój liter. I tak stałam jak wryta przed kawałkiem malowanego drewna, niezdolna wybrać jakiegokolwiek innego przedmiotu.

Coś zmieniło moje utarte ścieżki, a tym czymś okazał się stary szyld ze sklepu w Paryżu. Absurd.

Napis głosił *Tkaniny z Wogezów. Nowinki*. Bardzo spodobało mi się imię i nazwisko właścicielki: Alice Humbert. Przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie w ukryciu przed ciotką wycinałam fragmenty sukienek i chowałam do walizki. Tablicę wykonano z drewna, teraz już starego, ale wzmocnionego przy zaczepach, na których musiała wisieć. Zapewniono mnie, że szyld pochodzi z początku dwudziestego wieku – bez podania konkretnego roku – ale barwy nadal robiły wrażenie: jasne, szaroniebieskie tło, turkusowa czcionka w pierwszej i ostatniej linijce, „Alice HUMBERT” zaś zapisane na różowo czy też czerwono (kolor trochę zbladł przez te wszystkie lata, ale litery pozostawały wyraźne). Znak był na tyle duży, że bez trudu dojrzałam go od wejścia, gdzie zatrzymałam się, zaciekawiona uschniętą bugenwillą porastającą bramę.

Bez słowa wpatrywałam się w tablicę.

Kosztowała dwieście euro. Położyłam pieniądze na stole i przyjrzałam się sympatycznemu młodemu sprzedawcy. Obdarzyłam go uśmiechem, bo sprawiał dziwne wrażenie, jakbym kupowała coś więcej niż stary drewniany szyld. Kilkakrotnie powtórzył, szczególnie akcentując przymiotniki, że to „oryginalny paryski szyld”, niezwykle dobrze zachowany, a do tego „wyjątkowo barwny”, jeśli wziąć pod uwagę, że przez lata wisiał na

świeżym powietrzu, wystawiony na „ulewne deszcze i siarczyste mrozy Paryża”, i tak dalej, i tak dalej. Ostrożnie zapakował mój nabytek w brązowy papier i folię bąbelkową, żeby – jak sam powiedział – „zapobiec uszkodzeniu liternictwa”. Dmuchięciem odgarnął grzywkę z czoła i mówił dalej:

– Wszystkie towary sprowadzamy z Paryża, ze starych składów, które gromadzą...

– Historie – dokończyłam, gdy obwiązywał pakunek sznurkiem.

– Tak, bez wątpienia wiele historii. Szczerze mówiąc, kupiła pani najładniejszy przedmiot w całym sklepie. Jeśli coś jeszcze wpadło pani w oko, możemy odłożyć. Zostajemy tu do niedzieli, to wyjątkowa wystawa mebli, zabawek i innych drobiazgów.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy. Dlaczego pani pyta?

– Z ciekawości.

Patrzyłam, jak wiąże sznurek na wiele mocnych supłów i próbuje ukryć ciekawość, jaką wzbudziło w nim moje pytanie. Wygładził rękami papier, pomarszczony w rogach, gdzie wzmocnił pakunek taśmą klejącą i tekturą, aby zabezpieczyć go na wypadek ewentualnego uszkodzenia w drodze do domu.

Przerwałam ciszę.

– Robisz wszystko niezwykle uważnie.

Zamilkłam, mówiłam więc dalej:

– Niepotrzebnie, mieszkam niedaleko.

– Proszę się nie przejmować, to mój obowiązek. Dzięki temu paczka będzie bezpieczna.

Chłopak opowiedział mi historię antykwariatu, wyraźnie unikając moich odpowiedzi, i zaofiarował się znaleźć kogoś, kto dostarczy zakup do domu: „jest dość ciężki, mogę zorganizować transport” – chciał mi pomóc.

– W niedzielę będę otwierała prezent – skłamałam, żeby zwrócić jego uwagę.

– Słucham? – zapytał zaskoczony.

– To prezent. Mój prezent – uściśliłam.

– W takim razie najlepsze życzenia – rzekł uprzejmie – i mam nadzieję, że spodoba się...

Weszłam mu w słowo.

– Mnie. To mnie ma się podobać.

Do perfekcji opanowałam sztukę zagadywania sprzedawców, urzędników, portierów, taksówkarzy, bileterów... Inaczej nie miałabym się do kogo odezwać. Niepostrzeżenie wciągałam ich w rozmowę, skakałam z tematu na temat, jak dziecko łapałam się poszczególnych słów, czasem przerywałam rozmówcy i zaskakiwałam go zupełnie odmienną opinią, innym razem słuchałam uważnie i przytakiwałam, ale najczęściej po prostu pograżałam się w pogawędce, by przeciągnąć ją jak najdłużej, nawet jeśli po drugiej stronie stał ktoś, kto zapakował właśnie prezent, który sama sobie kupiłam.

– Wystarczy, że spodoba się mnie. Sama wręczam sobie prezenty. – Zaśmiał się odruchowo, jak każdy przystojny sprzedawca odliczający godziny do końca pracy.

– Wszystkiego dobrego – powiedział, lekko zbity z tropu moją wypowiedzią – i powodzenia – dodał bez przekonania, po czym odwrócił się na pięcie. Szczerze mówiąc, przedłużałam rozmowę z bardzo prozaicznego powodu: niezwyklej urody chłopaka. Z przyjemnością zerkałam na niego ukradkiem. Obcisła koszula, ładne ramiona, do tego ten zapach...

Owszem, znak był piękny, ale absolutnie nie dlatego go kupiłam. W domu miałam pełno odziedziczonych obrazów, stołów zastawionych ramkami na zdjęcia, drobiazgów w szkatułkach z masy perłowej, figurek przywiezionych z podróży, pocztówek z Paryża, kompletnie niepotrzebnych popielniczek Hermès, tacek z rozsypanymi koralami... Zaczynało brakować już miejsca na więcej bibelotów i pamiątek po zmarłych rodzicach. Za tym zakupem kryło się coś więcej: intuicja podpowiadała mi, że to moje przeznaczenie. Gdy tylko zobaczyłam stary szyld, przeszedł mnie dreszcz i poczułam, że coś mnie z nim łączy. Jakieś przeczucie popchnęło mnie do wnętrza sklepu, doprowadziło przed tę francuską tablicę z początku wieku, kazało mi tuż po powrocie do domu powiesić ją nad stołem w gabinecie. Wystarczyłoby co prawda zadzwonić po dozorcę i poprosić o wbicie dwóch gwoździ, ale zdjęłam dwa obrazki ze ściany między oknami i okazało się, że nowy nabytek idealnie się tam mieści.

Strzał w dziesiątkę, pomyślałam. Nieprawdopodobne!

Cofnęłam się o krok i uznałam, że szyld jak ulał pasuje do tego miejsca, ale – przede wszystkim – do mnie. Kilkakrotnie wychodziłam z pokoju i wracałam do niego, żeby upewnić się, czy dobrze wygląda na ścianie – tak, pierwszorzędnie. Znowu zrobiłam krok w tył, potem kolejny, sztywno jak robot, aż odsunęłam się na odległość, gdzie człowiekowi zmienia się wyraz twarzy i automatycznie się uśmiecha. „Tak, to jest to miejsce”. W pokoju zapanowała ciepła atmosfera i zdawało się, że szyld wisiał tam od zawsze. W Liceum Francuskim podobny znak informował o warsztatach z robótek ręcznych, jedynych zajęciach, które sprawiały mi radość. Nauczycielka ceramiki przez całą godzinę nuciła piosenki, a my bezwiednie się ich uczyliśmy, z rękami zanurzonymi w ciepłej glinie. Możliwość bezkarnego pobrudzenia się była dla mnie jak święto.

– Gdzie się podziewałaś, Tereso?

– W łazience, proszę pani.

– Ale teraz rzeźbimy w glinie.

– Tak, ale jeśli się pobrudzę, dostanę burę... Zapomniałam fartucha.

– I co w związku z tym? Nie dotkniesz nawet gliny? – zapytała łagodnie, głaszcząc mnie po głowie.

– Ale... Moja ciocia... To się jej nie spodoba. Mogę poplamić ubranie...

– No to masz duży problem. Wszystkie dziewczynki dostały po kawałku gliny

i zastanawiają się teraz, jaki nadać jej kształt. Chcesz być jedyną, która nie rzeźbi? – W jej głosie pobrzmiwało zmartwienie. Wszystkiego się domyślała. – Czekamy.

– Nie wiem, muszę się zastanowić, ale chciałabym...

– Na pewno już wiesz, co chciałabyś wyrzeźbić.

Nie miałam wątpliwości.

– Szkatułkę.

– No widzisz? Zaraz porozmawiam z woźną, na pewno znajdzie się jakiś fartuch. Może coś zostało po starszych rocznikach. Co ty na to?

Panna Florence wpatrywała się we mnie z naciskiem, przekazując mi pewność siebie, której tak brakowało mi w domu.

– No i?

– Chcę być taka jak inne dziewczynki.

– A więc do roboty, jeśli sprawi ci to radość.

Zawsze chyba zdawała sobie sprawę z moich lęków i nadmiernej ostrożności. W trakcie tych zajęć czułam się bezpiecznie, z dala od musztry ciotki Brígidy. Choć przez wzgląd na szacunek dla mojej rodziny nigdy nic nie powiedziała, to zawsze chętniej niż innym pomagała mi umyć twarz i ręce. Bezwarunkowo pokochałam tę francuską nauczycielkę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w znak Alice Humbert, po czym opadłam na kanapę, zakopałam się w poduszkach i zasnęłam.

Zaczął grać radio.

Obudziłam się półprzytomna, nie wiedziałam, co się dzieje. Urządzenie włączyło się *motu proprio*. Otworzyłam oczy. Przez zasłony wpadał do pokoju promień słońca. Wyciągnęłam się w stronę stolika, żeby dosięgnąć pilota i nie spędzić z powiek resztek snu. Ściszyłam muzykę i teraz dochodził mnie tylko delikatny, ledwo słyszalny dźwięk. Nie znosiłam nowych technologii. „Polecam model z czujnikami, to wysoka jakość za niewielką cenę”, przekonywał sprzedawca. Nacisnęłam *off*.

Radio znów się włączyło, tym razem nieco głośniej.

Co tu się dzieje? Muzyka zaczęła gwałtownie grać. Zerwałam się na równe nogi i znalazłam pilota. Musiał się zepsuć, a może to mnie się coś pomyliło w półśnie? Wydawało mi się, że nacisnęłam *off*... Ponownie użyłam przycisku i na dłuższą chwilę pogrążyłam się w transie, ignorując muzykę, która włączyła się nie wiedzieć czemu.

W pozycji horyzontalnej żyje się bardziej. Moje mieszkanie na poddaszu miało cztery sypialnie. Okna z podwójnymi szybami. Drewniane podłogi. Drzwi antywłamaniowe. Własne ogrzewanie. Dywany w każdym pomieszczeniu. Wytłumione na wszystko poza moim oddechem. Z ulicy nie dobiegał najmniejszy hałas. W tej chwili słyhać było tylko

muzykę – bez wyraźnego powodu zaczęła brzmieć mocniej. I jeszcze trochę głośniej. Chwyciłam pilota i z całej siły nadusiłam *off*.

Nie mogłam zasnąć i przewracałam się z boku na bok. Technika nie mogła płatać mi takich figli. Co chwila budziłam się i patrzyłam na wyświetlacz wieży. Godzina wyświetlała się jak zwykle, radio było wyłączone, a kieszeń na płyty – pusta. Cała ta sytuacja nie miała sensu. Pomyślałam nawet, żeby odłączyć prąd, ale nie chciało mi się wstawać z kanapy. Zasnęłam w ciszy późnego popołudnia. Godzinę później...

Klik. Poderwałam się jak smagnięta batem. Na własne oczy zobaczyłam, jak ekran podświetla się na zielono. Znowu zaczęła grać muzyka. Ta sama piosenka. Znowu! Aż krzyknęłam z zaskoczenia.

Chciałam cisnąć pilotem o podłogę, ale znieruchomiałam i wsłuchałam się w tekst piosenki: *Je ne sais pas qui tu peux être, je ne sais pas qui tu espères, je cherche toujours à te connaître et ton silence trouble mon silence...*^[1]

Nogi się pode mną ugięły.

Nie znałam tego utworu, ale brzmiał jak wiadomość specjalnie dla mnie. Francuska piosenka. Chodziłam nerwowo po domu, nie mogłam znaleźć sobie miejsca, a w końcu wyszłam na taras i wypaliłam papierosa, nerwowo głęboko się zaciągając. Przy odrobienie szczęścia i determinacji zdołam przypomnieć sobie tytuł tej piosenki. Oparta o balustradę podśpiewywałam i patrzyłam, jak samochody zatrzymują się na czerwonym świetle przy kawiarni i spowijają klientów obłokami spalin. Słyszałam już gdzieś ten utwór, to musiał być przebój jakiejś popularnej piosenkarki. Zdusiłam niedopałek na gzymsie i zapaliłam następnego papierosa. Nie ma wyjścia. Nie przestanę nucić, dopóki nie dowiem się, co to za piosenka. Kiedy dopadała mnie chandra – a zdarzało się to często – potrafiłam godzinami opierać się o barierkę i z wysokości obserwować wszelkie stworzenie, jak Bóg. Wymyślałam relacje pomiędzy sąsiadami, ich historie, zawody, problemy. Mogłabym wyobrazić sobie ich rozterki sercowe, ale w kwestiach miłości ograniczałam się do fantazji o sobie samej. Czasem myślałam: „jest nas zbyt wiele”, bałam się, że pewnego dnia ktoś zadecyduje, kto umrze, a kto przeżyje. Korzenie tego lęku sięgały sytuacji z psem, kiedy zostałam namaszczona na panią jego życia i śmierci. Nie potrafiłam podjąć tej decyzji. To ta niepewność kazała mi wciąż od nowa podśpiewywać tajemniczą piosenkę.

Chodziłam po tarasie z głową pełną dźwięków.

Kiedy już wpadałam w takie koszarne błędne koło, nie ustawałam, dopóki starczało mi sił. W końcu dziedziczymy po rodzinie najmniej spodziewane cechy. Moja ciotka podjęła za mnie decyzję o uśpieniu psa i działała – prawdopodobnie – z dobrych pobudek, choć cóż to znaczy w obliczu decyzji o życiu lub śmierci. Przez lata nienawidziłam jej, bo nie chciałam nienawidzić samej siebie. Byłam wtedy jeszcze młoda, niewysoka i szczupła, a włosy czesałam zawsze tak, by odsłaniać twarz – tak kazała mi ciotka. Nieważne – świątek, piątek czy niedziela, czy w domu, czy na ulicy, ale w 1986 roku zawsze musiałam mieć odsłoniętą twarz. Później, kiedy ciotka się postarzała, a ja dorosłam i zyskałam trochę

wolności, w ramach buntu kazałam obciąć się z grzywką, żeby choć trochę się za nią ukryć.

Zamyśliłam się, podniecona absurdalnością zjawiska. Nie mogłam oderwać wzroku od salonu, choć odbicie w szybach zniekształcało obraz. Zostałam jednak jeszcze jakiś czas na tarasie – nie starczało mi odwagi, by wejść do środka. Stałam tak ponad światem na moim poddaszu, oparta o balustradę, a w głowie wciąż obracałam ten motyw muzyczny na wszystkie strony i próbowałam dopasować do niego jakiś tytuł. Wyobrażałam sobie, co czują ci wszyscy ludzie tam w dole, ilu z nich – może nawet w tej chwili – podjęło jakąś decyzję, dobrą albo złą, tylko po to, żeby zrobić komuś na złość. Żeby samodzielnie napisać scenariusz swojego życia.

Zgasiałam papierosa i jak wystrzelona z procy ruszyłam w stronę drzwi wyjściowych.

Nie ma czego się bać...

Wciąż sparaliżowana strachem, usłyszałam dziwny odgłos za plecami, gdy z nowym papierosem w dłoni wsiadałam do windy. Obróciłam się, żeby nacisnąć „0”, i zniemacka poczułam czyjąś obecność. Zmroziło mi krew w żyłach. Wyszłam z budynku na ulicę Almagro i ruszyłam w stronę stacji Alonso Martínez – chciałam schronić się wśród ludzi na tarasie baru Santa Bárbara. Znalazłam wolny stolik z widokiem, ale miejsce było tak zatłoczone, że zrezygnowałam i postanowiłam pójść dalej ulicą Orellana. Chodzenie zawsze mnie odprężało, pozwalało zrzucić z siebie lęk, jakbym zanurzała się w morzu. Włączyłam się bez celu ulicami miasta i czułam się tak jak w chwili, gdy po wejściu do wody nie dotyka się już dna. Nie chciałam zapomnieć o tym, co zdarzyło się w domu, może nawet miałam ochotę na tajemnicze towarzystwo. To mnie najbardziej w tym wszystkim dziwiło.

„Nie wiem, kim jesteś, nie wiem, kim chcesz być...”.

Dokładnie tak – nie wiedziałam, kim chciałam być. Jedyne wspomnienia po matce to jakieś mgliste fragmenty, kiedy siadała na brzegu łóżka, żeby pocałować mnie i przytulić na dobranoc. Pamiętam jej kaszel, zanikający głos, zapowiedzi bliskiego, nieuchronnego końca. „Co ci dziś opowiedzieć?”, pytała. „Bajkę?”. A ja chciałam tylko mieć ją blisko, czuć jej ciepło, którego tak mi potem brakowało przez całą młodość, w szkole, gdy dorastałam, w podróży, przy pierwszej miłości, pierwszych tajemnicach, każdej nocy, gdy zasypiałam, przez całe życie. Każdej nocy mojego życia. „Opowiedzieć ci bajkę? Był raz las pełen pięknych, różnokolorowych motyli. W blasku słońca latały wśród drzew...”. Tu musiała się zatrzymać i przytulić mnie mocno, bo kaszel znów dawał się we znaki. „Wzdrowiej już, mamusiu”, prosiłam, kiedy leżałyśmy tak wtulone w siebie, bawiąc się prześcieradłem, jakbyśmy chciały schować się przed ponurą przyszłością, coraz wyraźniej czającą się na horyzoncie.

– Kim będę, kiedy dorosnę?

– Kim tylko będziesz chciała, córeczko.

– Dlaczego?

- Bo jesteś moją córką i wiem, że będziesz silna.
- Ale chcę, żebyś zawsze kładła mnie do łóżka.
- Jesteś bardzo dzielną dziewczynką.
- Tak?
- Posłuchaj – znów pogłaskała mnie po głowie – zawsze będę z tobą, kochanie. Rozumiesz? Zawsze. Codziennie przed zaśnięciem opowiesz mi, czego nauczyłaś się w szkole, co robiłaś, co lubisz, czego nie lubisz... Wszystko. Kiedy będziesz się bała, szczerze otul się kołdrą, z całej siły zagryź jej brzeg, jak miętówkę, i zjawię się u twojego boku. Jeśli będziesz miała jakieś zmartwienia, pomogę ci. Opowiadaj mi wszystko co wieczór, po paciorku. Dobrze? I chociaż będę daleko...
- A gdzie jest daleko?
- Za drzwiami, Teresko.
- W porządku. Ale dalej nie odchodź.
- Z całej siły zaciśnij zęby na brzegu poszwy, ale nie bój się. Masz być nieustraszona i pamiętać, że kiedy tylko zamkniesz oczy, będę z tobą.
- Dobrze, mamusiu.
- Zawsze wzywaj mnie na pomoc. Będę czekała u twojego boku. Zostanę nawet po zgaszeniu światła.
- Tak, mamusiu...
- Jesteś śpiąca? Chyba już usypiasz...
- Tak, mamu...
- Dobranoc, kochanie.

Przez cały wieczór spacerowałam po okolicy. Ulice Argensola, Regueros, Belén, plaza de las Salesas, aż w końcu usiadłam na ławce na plaza Villa de París, na wprost pomnika Marii Barbary Portugalskiej. Czy wylądowałam tam jednak przypadkiem, czy prowadziło mnie pragnienie? Co się działo? Czy coś popchnęło mnie w tamtą stronę? Przez kilka minut siedziałam bez ruchu. Może instynkt nakazywał mi zostać tam dłuższą chwilę, żeby mnie chronić. Tak jak miało mnie chronić zagryzanie pościeli i myśli o mamie.

Wróciłam do domu i leżący na podłodze płaszcz uniemożliwił mi szerokie otwarcie drzwi. Musiałam porządnie pchnąć, żeby dostać się do środka. „To nic takiego, normalna sprawa...”, mówiłam sobie. Pewnie spadł, kiedy w pośpiechu wybiegałam z mieszkania. Weszłam bokiem i energicznym ruchem odwiesiłam go na haczyk, a potem ukradkiem wśliznęłam się do salonu. Powiem szczerze: nie bałam się. Chwilami odczuwałam lekki niepokój, potem pewność siebie, bo nie podejrzewałam niczego złego, później znów ogarniały mnie wątpliwości – a co, jeśli znów zniecka włączy się radio? Uczepiłam się na chwilę absurdalnej myśli. Powtarzałam sobie, że to tylko wybryki sprzętu

elektronicznego, ale chciałam też nie mieć racji... Alice, Alice Humbert, pomyślałam. Była brunetką czy blondynką? Kiedy otworzyła swój sklep z tkaninami? Jak wyglądały? Wyobrażałam sobie dziarską dziewczynę z włosami spiętymi kłamrą z masy perłowej, ładną i rumianą – nie tylko za sprawą różu na policzkach, ale dzięki radości i prawdziwej pasji. Kobieta, która przed stu laty odważyła się umieścić własne nazwisko na szyldzie sklepu – już to zdawało mi się bohaterskim czynem. Na pewno miała wielu adoratorów i przeżyła niejedną przelotny romans, gdzieś pomiędzy pawilonami wystawy światowej, pod świeżo odsłoniętą wieżą Eiffla czy na bulwarach zastawionych stolikami okolicznych kawiarni. Wyobrażałam sobie, jak otwiera rano sklep dłońmi w krótkich, koronkowych rękawiczkach, potem chowa je w torebce i czubkiem trzewika popycha dopasowane do framugi drzwi. Po wejściu zapala lampy i odsuwa zasłony z wysokich okien. Ogromne dwupoziomowe pomieszczenie – może w Saint-Germain, może przy alei wiodącej do opery – szczelnie wypełniały kobiety poszukujące niezwykłych tkanin, żeby zadać szyku nową spódnicą czy dopasowaną w talii bluzką z odważnym dekoltem. Kobiety z wyższych sfer społeczeństwa francuskiego w towarzystwie szwaczek, które oceniały, ile materiału trzeba będzie na spódnicę pani, i w kolejce do lady plotkowały o najnowszych krojach. Nad drzwiami wisiał dzwonek, w powietrzu unosiła się woń talku, półki ugięły się od bel materiału we wszystkich kolorach, jakie znaleźć można na malarskiej palecie. Surówka jedwabna, pika, muślin, len, jedwab, wiskoza, tafta, kreton, perkal... Leżały spiętrzone jedne na drugich aż pod sufit, osiągalny tylko z drewnianych schodków podsuwanych przez chłopca na posyłki. Olbrzymie nożyce cięły materiał na oczach publiczności zachwyconej pewną ręką i zwinnością ostrza – nie zbaczało nawet o włos z obranej linii. Kasa brzęczała głośno, a dziewczyna zawijała towary w papier. W głębi znajdowało się wejście do magazynu, a przeszklone drzwi wejściowe drżały od ruchu powietrza, gdy jedna z klientek wychodziła na ulicę. Alice zatrudniła do pomocy Leona, niezbyt lotnego syna najlepszej przyjaciółki, żeby zająć czymś nadpobudliwego chłopaka. „Następna!”, zwracała się do czekających w kolejce klientek, które w międzyczasie podziwiały kolorowe towary zasłaniające całe ściany. „Polecam taftę, będzie idealna. Z tym połyskiem będzie pani bardzo do twarzy”, przekonywała i rozciągała dwumetrową próbkę tkaniny na wytartej ladzie. „Proszę się nie krępować, może pani dotknąć. Dla mnie – rewelacja”, mówiła, a klientka niepewnie przekrzywiła głowę, oczami wyobraźni próbując zobaczyć się w sukni o takim odcieniu. Jaki był głos Alice? Niski, delikatny? Mówiła z pewnością siebie? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na to pytanie, ale wyobrażałam ją sobie jako uprzejmą, trafnie dobierającą słowa. Moja Alice nosiła koronkowy kołnierz sięgający aż do brody, jak kobieta przyrzeczona jakiemuś Mathieu, Clementowi czy innemu Antoine’owi. Pogrzeżyłam się w rozmyślaniach i ponownie przebiegłam wzrokiem litery tego niezwykłego szyldu. Zatrzymałam się na nazwisku dawnej właścicielki sklepu bławatnego, która wkradła się do mojego domu i życia. Alice Humbert.

Zdusiłam okrzyk.

Już wiedziałam! Miałam to!

La question. Piosenka Françoise Hardy. To ten utwór grało moje radio! Słuchałam tej piosenki z panną Florence. Jak po napiętej linii przeszłam przez korytarz do gabinetu, parłam przed siebie, próbowałam odegnać uczucie niedowierzania, pchnęłam drzwi i przełknęłam ślinę, po czym stanęłam przed szyldem sklepu Alice Humbert z tkaninami z Wogezów...

Widniał tam jak kolorowy witraż w katedrze, chciał być podziwiany, krył w sobie wiadomość, którą odcyfrować mogli tylko wybrani, jak tajemniczy, mistyczny szyfr. Wciąż zastanawiałam się, dlaczego radio zaczęło grać, jakby coś ciągnęło mnie w tę stronę. Zostawiłam drzwi otwarte i próbowałam zrozumieć przyczynę swojego podenerwowania. Co powinnam zrobić? Wyglądać znaku? Czułam, że lada moment znów dobiegnie mnie muzyka i, o dziwo, nie obawiałam się. Byłam gotowa na zaskoczenie. Chciałam znów usłyszeć te dźwięki. Błagałam o nie. Czekałam na piosenkę, rzucając zuchwałe wyzwanie losowi. Zamyślona wpatrywałam się bez słowa w tablicę. Skupiłam się na nazwisku, jakby mogło mi coś przekazać. Wstrzymałam oddech. Po kilku minutach udało mi się wreszcie wydusić:

– Alice? Kim jesteś?...

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka zrobiłam sobie typowo hotelowe śniadanie. W końcu kiedy mieszka się samej, można sobie dogadzać: widelcem rozgniotłam pomidory, dodałam oliwy i posmarowałam pastą dwie grzanki, do tego zaparzyłam kawę. Siedziałam w kuchni. Obrazy kwiatów otaczały stary zegar wskazówkowy – jeśli wstrzymało się oddech, dało się słyszeć tykanie. Tik-tak, tik-tak. Przywiozłam go sobie z Pragi, razem z wiecznym kalendarzem, którego z lenistwa nigdy nie przestawiałam i zatrzymał się na urodzinach Laurenta – musiałam wtedy być szczęśliwa.

Z kuchni wychodziło na taras wielkie okno, w ciepłe dni szeroko otwarte i zalewające całe mieszkanie światłem. Światło. Znieczulona przez światło. Światło było moją obsesją, potrzebowałam go jak powietrza. Nie bez przyczyny – ciężkie, brunatne zasłony w rezydencji ciotki Brígidy nie przepuszczały ani jednego promienia słońca i powoli zjadały nas mole. Zasłony, zasłony i jeszcze więcej zasłon. Wszystko zamknięte. Sztuczne światło. Jak ona sama.

Punktualnie o ósmej usłyszałam *klik* – włączył się zraszacz i zaczął podlewać rośliny na tarasie. Na dźwięk tego kliknięcia cofnęłam się w czasie o piętnaście lat: pomagałam rodzinie w fundacji, piękna i młoda, z warkoczami i pragnieniem wyrwania się z tego mauzoleum marmurów i brunatnych zasłon. Pasjonowałam się sztuką i przy każdej możliwej okazji korzystałam z przysyłanych do domu zaproszeń na wystawy w galeriach. Potem próbowałam namówić ciotkę na zakup kolejnego obrazu do audytorium w fundacji, powieszenie jakiejś grafiki w korytarzu, odświeżenie wejścia dziełem nowego, właśnie przeze mnie odkrytego malarza. „To bezwartościowe”, mówiła zapisanym w genach pompatycznym tonem. „Nabierze wartości! Widzę to po twarzy, odniesie sukces, a maluje jak wielcy mistrzowie”, tłumaczyłam się, choć tak naprawdę uwiodła mnie męskość przystojnego młodzieńca po raz pierwszy wystawiającego swe prace publicznie.

To Laurent wyciągnął mnie z tej pielgrzymki po galeriach sztuki i spelunkach bohemy. Poznałam go pewnego piątkowego wieczoru, właśnie w jednym z takich przybytków. Wystawę poświęcono twórczości młodych malarzy europejskich, którzy w ramach stypendium przyjechali do Hiszpanii. Pochodził z Paryża, a ja uwielbiałam to miasto. Podeszłam do olbrzymiego obrazu, umieszczonego na samym końcu ekspozycji, i zaniemówiłam w obliczu eksplozji barw – ulica przedstawiona za pomocą przypadkowych bloków o prostych, wręcz prymitywnych kolorach – bez odcieni, bez półtonów, bez żadnych upiększeń. Pigmenty nałożono brutalnymi pociągnięciami pędzla, bezlitośnie unicestwiając perspektywę. Ale mnie...

- Podoba ci się?
- Mnie?
- Pewnie, że tobie. A komu innemu?
- No... Bardzo.

Zdołałam wydukać „bardzo”, a jednocześnie zbliżyłam się do płótna, żeby przeczytać podpis. „Laurent...”. Tymczasem stojący obok młodzieniec, niejaki Laurent, wyszeptał: „To nie jest wielkie dzieło, ale spodobało im się”. Potem na jego usta wypełzł uśmiezek typowy dla sprytnych drani, co bezboleśnie prześlizgują się przez życie i zawsze spadają na cztery łapy. Odwróciłam się, zaskoczona, że spośród tylu ludzi obecnych na wernisażu malarz wybrał sobie do rozmowy właśnie mnie. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Powiedział: „Co o tym sądzisz? Dalej, powiedz mi, jakie ma wady”, po czym złapał mnie pod ramię i przeprowadził przez salę – pomiędzy właścicielami galerii, kolekcjonerami, amatorami sztuki, fotografami i artystami – w stronę baru, gdzie odbywała się degustacja win.

- Widziałem, jak przyglądałaś się mojemu obrazowi. Mam na imię Laurent.
- Tak, już przeczytałam to na płótnie. Jestem Teresa.

Poprosił o dwa kieliszki „bordowego” wina – pomyślałam, że jako artysta nawiązuje do barw i malarstwa, dopiero potem zdałam sobie sprawę, że zamówił po prostu bordeaux. Patrzyłam na jego duże dłonie oparte o bar. Tak wyobrażałam sobie dłonie marynarza – opalone, silne, zdecydowane. Wspierał je o prowizoryczną ladę z dużych drewnianych skrzyń udających puste pudła. Wystarczyło trochę się rozejrzeć, by zauważyć przerost formy nad treścią – cała ta wystawa miała sprawiać wrażenie naprędce zaimprovizowanej, jakby liberałowie uznali, że bylejąkość i fuszerka są *cool*. Podał mi kieliszek i powiedział:

- Za co się napijemy?
- Za twoje dzieło – odparłam bez namysłu.
- Nie. – Uśmiechnął się czarująco.
- Nie?
- Wypijmy za błękit kobaltowy.

Miało minąć wiele lat, zanim czyjeś słowa wywarły na mnie podobne wrażenie. Wtedy mieszkałam już w innym mieście. Po raz pierwszy chłopak – mężczyzna – spojrzął na mnie tak, jakby jego armia dokonała inwazji na mój kraj. Podbijał. Okupował. To oblężenie wprowadziło mnie w stan podniecenia i paniki, aż zaniemówiłam. „Błękit kobaltowy”. Miałam na sobie sukienkę w tym kolorze i tej nocy zdjęłam ją, żeby oddać mu się w jego mieszkaniu w Latynie, po pokonaniu wąskich schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdzie mieściła się jego przybudówka.

A jeszcze minutę wcześniej czułam, że w mojej kobaltowej sukience jestem najbardziej

pretensjonalną postacią w tej sali pełnej malarzy i miłośników sztuki, którzy z udawaną naturalnością przechadzali się po sali z kieliszkiem w dłoni i od niechcienia komentowali obrazy. A obok nich ja, w mojej niebieskiej sukience, jak lalka. Takie były skutki wychowania przez zarozumiałą snobkę – ciotka nauczyła mnie ubierać się „jak dorosła kobieta”, jakby miała wydać mnie za męża za członka innego plemienia. W rezultacie sprawiałam wrażenie żywcem przeniesionej z dziewiętnastego wieku, zwłaszcza na tle nieogolonych, długowłosych młodzieńców o wyglądzie włóczęgów. Dla mnie ich styl symbolizował wolność.

Zainstalowaliśmy się przy beczce ustawionej obok baru w charakterze stołu. Laurent od razu zamówił dwa kolejne kieliszki wina i zarządził, żebyśmy poszli zjeść coś porządnego i nie pili na pusty żołądek.

– Lepiej ode mnie znasz Madryt, prowadź.

– Nie bywam często w tej okolicy.

Nie dało się ukryć, że w kwestii barów i restauracji trafił na fatalną przewodniczkę. Chętnie wychodziłabym wieczorami, ale nie tyle się bałam, co byłam nieśmiała.

– Jesteś pewnie jedną z tych, które zaprasza się na takie wystawy?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Nie odpowiedziałam, więc mówił dalej:

– Jestem początkującym malarzem, debiutantem, jak dziewięciu na dziesięciu tu obecnych. A ty jesteś ładną panią, która lubi obracać się w kręgach powiązanych ze sztuką. Jeśli nie, to jesteś zaskakująco młodą marszandką.

– Przychodzę dla obrazów, interesuję się malarstwem. Jeśli zaś chodzi ci o mój strój... Mnie się podoba.

Próbowałam sprawić wrażenie niezależnej, aby nie wyjść na tchórza ubierającego się tak, jak każą w domu.

– Powtórzę tylko, że w kobaltowym błękitie robisz piorunujące wrażenie. Chociaż to chyba błękit Kleina, prawda?

– Raczej błękit basenów Hockneya.

– *Touché*, masz rację.

– Lubię odwiedzać te galerie, gdzie wszyscy mówią półgłosem i słyszać nawet oddechy innych. Zawsze panuje w nich taki spokój, który z jednej strony każe się zatrzymać, a z drugiej – drobnymi kroczkami chodzić od obrazu do obrazu jak lunatyk. Odwiedzam wszystkie wystawy, bywam też na koncertach.

– Na koncertach?

– Tak, na wielu. Często grają dziwną muzykę. Na pewno by ci się spodobały.

– Tak uważasz? Jak myślisz, czego słucham?

– Hm... Nie wiem, nie zgadnę. Jesteś Francuzem, ale... Myślę, że wszystkiego, co jest związane z jazzem.

– Ciepło, ciepło. A ty co lubisz?
– Z muzyki francuskiej czy hiszpańskiej?
– Obojętne. Czego słuchasz przed snem? Jaka piosenkę odtwarzasz w głowie, gdy leżysz wieczorem w łóżku? Albo lepiej – co nucisz pod prysznicem?
– Nie wiem! Kręci mi się w głowie od tych pytań. W domu słucham wszystkiego, jazzu też.

– Mówisz tak, bo wiesz już, że ja go słucham.

– Nieprawda! – Nie mogłam uwierzyć, z jaką łatwością przychodziło mi z nim rozmawiać. Nigdy jeszcze nie spacerowałam sam na sam z chłopakiem, co więcej – nigdy wcześniej tak dobrze się nie bawiłam. Zapomniałam o czasie, o błękitnej sukience, o sobie samej. – Popatrz, bar! Wchodzimy? Też bym coś przekąsiła. Jak mówicie na to we Francji?

– Jedzenie? – Wybuchnął śmiechem. Też nie mogłam się powstrzymać.

– Ha, ha, ha. Bardzo zabawne. Wiem, co to jedzenie, chodziło mi o... Zresztą nieważne.

Jak dziecko cieszyłam się nową sytuacją, przyjemność sprawiał mi też jego okropny francuski akcent, mocno kontrastujący z męskim wizerunkiem trapera. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych, urodził się w Lille, ale szybko przeniósł się na rue Richelieu w Paryżu – zapamiętałam tylko tę dźwięczną nazwę. „Jesteś piękna”, powiedział i na całą noc zostałam u jego boku.

Jego przybudówka była właściwie wydzielonym fragmentem wewnętrznego dziedzińca, swego czasu wyłożonego kafelkami, ze świetlikiem w plastikowym dachu, a teraz przekształconym w obskurny pokoik do wynajęcia, do którego dobiegał każdy odgłos z zewnątrz. Miejsce wyglądało tak żałośnie, że wystarczyłoby dodać dwa brązowe koce, aby stworzyć scenę jak z *Nędzników* – woda hałaśliwie uderzała o eternit nad naszymi głowami. Ciotka wyciągnęłaby mnie stamtąd za frak, ale ja co wieczór go odwiedzałam. Byliśmy jak dwoje „nędzników”. Miał silne ramiona – dziś trudno o takie u mężczyzny, sami słabeusze – ale skórę delikatną jak kobieta. Ciemne włosy, opalenizna, idealne dłonie. Doskonałe. Dotykały mnie pewnie, mądrze i cierpliwie, przesuwały się po każdym fragmencie mojego ciała. Docierał tam, gdzie moje myśli i pragnienia kierowały opuszki jego palców, jak gdyby na moim ciele ktoś specjalnie dla niego narysował mapę. Każda wyprawa od moich ramion, od piersi, od bioder... kończyła się tam. Mój Boże, zdawało mi się, że umrę. Wino pozwalało mi dać się ponieść. Byłam wolna. Zapach jego skóry smakował tak tylko za pierwszym razem. Ta noc na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Kochaliśmy się przez kilka godzin. Nie powiedziałam mu, że to mój pierwszy raz, bo tulił mnie w ramionach i ciągle szeptał, jak mu ze mną wspaniale. „Jesteś idealna”, mruczał, to po hiszpańsku, to po francusku, i gryzł mnie delikatnie w ucho. Seks z Laurentem gwałtownie wyzwolił mnie spod wpływu rodziny, zrzuciłam kajdany. Wszystko to było dla mnie zupełnie nowe i nawet przez myśl mi nie przeszło, że wkrótce jego obecność będzie tylko pustym, odległym wspomnieniem. Wszystko kończy się zbyt

wcześniej, zawsze nam mało.

Przez wiele miesięcy spędzałam całe popołudnia pod tym dachem z eternitu, wśród woni łożka i farb. Rano chodziłam na zajęcia, potem jadłam obiad z ciotką i uciekałam do niego. Często po mnie przychodził, bo w jego chaotycznym, tragicznie niezorganizowanym życiu spotkanie ze mną stanowiło jedyny stały punkt dnia.

– Już jestem.

– Dobrze.

Mogłam się tylko uśmiechać. Odbierał mnie zawsze o kilka przecznic od naszej rezydencji. W innej bramie, pod innym budynkiem.

Co za cudowne uczucie, schować się w jego ramionach i dać się prowadzić. Mogłoby się здаwać, że to on był rodowitym madrytczykiem, a ja – przybyszką z Paryża. O wszystkim decydował, dzięki czemu mogłam się odprężyć. Niczemu nie czułam się winna: jeśli spóźniłam się do domu, on wymyślał wymówkę, jeśli ciotka odebrała telefon, udawał ankietera i chciał rozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami tego domiszcza ze starym dębowym parkietem, trzeszczącym z każdym krokiem, gdy biegiem pokonywałam schody w drodze do niego. Przybierał dziewczęcy głos i udawał koleżankę z uczelni, z którą rzekomo umówiłam się na wspólną naukę w bibliotece. Przyjeżdżał po mnie na motorach, jak twierdził – ukradzionych, żeby przejażdżki po górach budziły jeszcze więcej emocji. „Wsiadaj, jedziemy”, popędzał mnie, z kaskiem na głowie i warczącym silnikiem. „Jesteśmy kolonizatorami tych szczytów i ruszamy – tu wskazywał wystającą z plecaka butelkę wina – na podbój nowych ziem. Możesz zostać księżniczką tych terenów”. Motocykl nabierał szybkości. Czułam się wolna. A kiedy jesteśmy wolni, Kochamy mocniej.

Znałam każdy najdrobniejszy szczegół jego ciała, ale odkryłam, że nie wiem, co dzieje się w środku.

– Wiem, o czym myślisz. Chciałabyś?

– Przecież wiesz, że tak.

– W takim razie zaraz wracam.

Przytulał mnie tak mocno, jakby chciał zastąpić moją duszę swoją.

Od prawie roku nie wracał do domu. Był wolnym duchem, nie liczyły się dla niego więzy rodzinne i pewnie stąd brała się jego niezależność. Latał. Z nim dało się tylko latać. Czas płynął z zawrotną prędkością – już nigdy miało się to nie powtórzyć – wypełniany wciąż nowymi zajęciami. Minął już rok? Uznał, że powinien wrócić – „wiesz, mój ojciec”, powiedział – i rozumiałam to. Okres rozłąki upłynął pod znakiem wielkiej tęsknoty. Codziennie rozmawialiśmy przez telefon i bezustannie wymienialiśmy listy. Nie umiałam myśleć o niczym, tylko o jego powrocie.

Nagle – cisza. Telefon umilkł. Listy przestały przychodzić. Świetnie pamiętam ten dzień, w końcu mam zwyczaj obsesyjnie szukać sensu w liczbach i datach: wyszłam na balkon,

samotna i opuszczona, żeby popatrzeć na księżyc, ale nie było księżycy – tylko jedna z tych ponurych, bezksiężycowych nocy.

Minął rok od wystawy, na której się poznaliśmy, a moje życie stało w miejscu. I miało tak być jeszcze przez lata. Urwała się ścieżka dźwiękowa, jak gdyby ktoś wyłączył mnie pilotem. Gdybym chociaż zatrzymała jakieś zdjęcie... Mogłabym przypomnieć sobie jego twarz. Nic mnie jednak nie przygotowało na tak nagłe i niewytłumaczalne zniknięcie. Przypominam sobie jedną fotografię; okrutna pamięć zachowuje wszystko. Ktoś zrobił nam zdjęcie podczas weekendowego wypadu za miasto (ciotce skłamałam, że wyjeżdżam z koleżankami). Gdybym zostawiła sobie to zdjęcie, jedyną pamiątkę...

Jeszcze przez długie miesiące wystawałam pod jego bramą, wchodziłam do domu zamieszkanego już przez innych studentów z Erasmusa. Nie został po nim nawet ślad. Żaden przedmiot, żadne płótno, żaden kolorowy obraz. I tak znalazłam się po drugiej, szarej stronie. Zostałam tam na dłużej. Rozgościłam się tam, tyleż masochistycznie co dobrowolnie, jakkolwiek dziwna wydawałaby się taka decyzja u dwudziestokilkulatki w kwiecie życia, która świeżo odzyskała wolność. Jakiś czas później przeczytałam – w sfatygowanym czasopiśmie w poczekalni u dentysty – że od nadmiernego płaczu mogą wyschnąć oczy. Według autora czasem łzy okazują się niewystarczające i z nadmiaru płaczu oko wysycha. To wtedy właśnie – pisał – szloch przeradza się w wycie duszy, kole w piersi i boli bardziej niż rozpacz, w której się pogrążamy. Nie wiem, czy to prawda. Samotność nie jest wcale najgorsza. Najgorzej, gdy zapomina o nas ktoś, kto na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Kolejny raz zostałam sierotą i uznałam, że najwidoczniej przeznaczone mi jest szare życie.

ROZDZIAŁ 6

W fundacji byłam już zbędna i, co gorsza, dawano mi to odczuć za każdym razem, kiedy – najczęściej w piątek – przychodziłam na zebranie zarządu. Obrzucały mnie nieprzyjazne spojrzenia, należące się raczej ciotce Brígidzie. Pracownicy widzieli we mnie przedłużenie jej nikczemności. Mimo wielu wzlotów i upadków ich najlepsze wspomnienia wiązały się z moimi rodzicami.

- Dzień dobry, panno Espinosa – sekretarka.
- Dzień dobry, panno Espinosa – najstarszy członek zarządu.
- Dzień dobry, panno Espinosa – opiekunowie audytorium.
- Dzień dobry, panno Espinosa, mogę jakoś pomóc? – dyrektor finansowy.
- Tak. Prosiłam, żebyście mówili mi po imieniu. Możecie chociaż spróbować?
- Oczywiście, panno E... Tereso.

To ona tak zarządziła. Mieli nie zwracać się do mnie per ty. „Musisz zachować dystans, niech wiedzą, kto tu rządzi”, gderała jak guwernantka z epoki wiktoriańskiej. Dlatego podpisywałam się zawsze „Teresa”, imieniem odziedziczonym po matce. Tylko tak mogłam stawić opór.

Mężczyzna przełknął nerwowo ślinę; zwykle miał do czynienia z ciotką. Czasem pracownicy w milczeniu spuszczały głowy, żeby ukryć prawdziwe uczucia. Tak samo było i tego popołudnia. Podpisałam kilka dokumentów, usiadłam na kanapie w sali konferencyjnej i pograżyłam się w rozmyślaniach. Z przyjemnością zatopiłam się w pachnącym starą skórą oparciu. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie chowałam się za kanapą – z tyłu wciąż widniało moje imię wydrapane w obiciu. Mój podpis musiał widnieć na wszystkich protokołach, na podziękowaniach dla ministerstwa, na nieformalnych listach do innych fundacji oraz na życzeniach bożonarodzeniowych – ciotka Brígida wybierała zawsze najbardziej ponurą kartkę z szopką. Tyle. Za moją pozycję w strukturach fundacji, łączącej przemysł budowlany z działalnością dobroczynną, odpowiadały tylko i wyłącznie geny – odziedziczyłam ją w spadku. I tak zarządzanie rezydencją, firmą budowlaną i czynszami dokonywało się z tego samego budynku, a ja miałam się tam pojawiać – zdaniem ciotki – żeby poczuli presję rodziny. Mnie samą ta presja wykańczała.

Wizyta przebiegła jak zawsze – rutynowo i błyskawicznie, w końcu tak naprawdę do niczego mnie nie potrzebowali. Wszystko toczyło się płynnie i działało jak w zegarku – jak to zwykle bywa w rodzinnych firmach. Ciotka, która wychowała mnie tak, jak można się było spodziewać po uczennicy szkoły prowadzonej przez siostry zakonne, weszła do

budynku stanowczym krokiem osoby stworzonej, by rządzić. Zobaczyłam ją z okna auli. Ubrana w płaszcz z futrzanym kołnierzem – bynajmniej nie świadczyło to o niskiej temperaturze, ona po prostu zawsze „czuła się niewyraźnie”, nawet tego wiosennego popołudnia – uroczyście pokonywała stopnie przed wejściem, tak by portier zdążył otworzyć jej drzwi wiodące na marmurową klatkę schodową; to tam pierwszy raz mnie spoliczkowała, gdy z zadartą spódnicą zjeżdżałam po szerokiej, krętej poręczy. „Wszystko ci widać, Tereso, wszystko masz na wierzchu! Zachowuj się!”, wrzeszczała, szykując dłoń do uderzenia. „Tak dalej być nie może”, oświadczyła, gdy ucichł głuchy odgłos. Chełpiła się swoją surowością i policzek obliczony był raczej na udowodnienie, jak twardą ręką trzyma Tereskę, gdy zabrakło rodziców, niż na zmianę mojego zachowania. W ten sposób chciała postawić kropkę nad i. Ciosy stały się nieodłączną częścią życia – tak okazywała mi czułość, gdy tymczasem ja dorastałam, a ona się starzała. Zahartowałam się, wzmocniłam, nigdy nie chorowałam. „Przyszłości nie można zbudować na brakach i niedostatkach”, powtarzała. A jakie ja miałam niedostatki? Uczyłam się świetnie, nie umiałam tylko podejmować decyzji, bo zawsze mnie w tym wyręczała. To dlatego ogarniał mnie lęk, kiedy przychodziło mi walczyć o swoje. W zaciszu swojego pokoju to ja byłam królową, z psem jako wiernym, rozpieszczonym giermkim.

Nienoszone już ubrania ciotka przekazywała do katolickich szkół i Caritasu, gdzie miały, cytuję, „bardziej się przydać”. Przywiązywałam się do wszystkich przedmiotów i musiałam nauczyć się ich pozbywać, tych płaszczy i sukienek pakowanych w worki i wynoszonych z domu do enigmatycznych „biednych”. To właśnie wtedy, w latach szkolnych, narodziła się moja obsesja zbierania ścinków i skrawków – dzięki temu nie bolało mnie tak oddawanie obcym niemal nowej odzieży. Sukienki, z których nie dało się nieznacznie wyciąć fragmentu materiału, musiałam skracać, ale to mnie nie powstrzymywało. Jak nocny linoskoczek kurczowo chwytając się wspomnień, dzieląc przeszłość na małe kawałeczki. Walizkę nazywałam „kolekcją mojego życia” – tak pretensjonalnie i pompatycznie, jak tylko mogła wymyślić to dziewczynka, która nie chce pozbyć się starych ubrań.

– Mogę to sobie zostawić, ciociu?

– Nie. Tamtego też nie.

– Miałam to na sobie może raz.

– Nie bądź niewdzięczna.

– Ale tak mi się podoba! – zawodziłam z ustami w podkówkę, żeby trochę ją zmiękczyć. Bezskutecznie.

– Tyle razy ci tłumaczyłam: kiedy w szafie pojawia się nowa sukienka, inną trzeba wyrzucić. Tak było, jest i będzie.

Miała powiedzonko na każdą okazję, ja zaś potrzebowałam tylko odrobiny czułości.

– Mam nadzieję, że podpisałaś już dokumenty z obu teczek – z tymi słowami weszła do

sali i zdjęła płaszcz. – Jestem wykończona. Gdy tylko przyszedłam, zauważyłam, że ciągle nie pomalowali ogrodzenia. Mieli to zrobić na wiosnę, na co czekają? Na oklaski? Wszystkiego muszę dopilnować? Od tego jest chyba Fuencisla, prawda? I ty też. Zaraz każę Josemu Manuelowi się z nią rozmówić. To już szczyt.

Podeszła do barku i tradycyjnie naląła sobie koniaku.

– Tak, podpisałam – odparłam.

– Przeczytałaś je chociaż?

– Nie ma chyba takiej potrzeby.

– Ha!

Spojrzała na mnie i uniosła brwi z taką pogardą, jakiej chyba jeszcze nie widziałam na jej twarzy. Oburzało ją moje lekceważące podejście do papierów. Wzruszyłam ramionami.

– Ale chciałabyś kiedyś przejąć stery?

Odpowiedziała jej cisza.

– Zadałam ci pytanie, Tereso. Powinnaś bardziej poważnie traktować tę sprawę, to nie żarty. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Myślałam, że już to do ciebie dotarło, że wreszcie jesteś prawdziwą Espinosą. Ale jesteś taka sama jak...

Zamilkła.

– Jak matka? To chciałaś powiedzieć?

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu kieliszka – zostawiła go na regale. Trzasnęła stawami upierścienionych palców i aż ciarki mnie przeszły na odrażający dźwięk, jaki wydały jej kości. Napiła się i ponownie wygięła dłonie, a potem poprawiła kolczyki. Osuszyła kieliszek i powiedziała:

– Jesteś taka jak ona. Ta sama wybujała wyobraźnia, skłonności do śnienia na jawie. Całe życie razem, a tak odmienne. Nie potrafię tego zrozumieć. A ty... Nie wiem, kiedy wreszcie dorośniesz. Myślałam, że kiedy pójdiesz na swoje, trochę się usamodzielnisz i zrozumiesz, że życie to nie zabawa. Ha! Może dopiero po mojej śmierci zaczniesz poważnie podchodzić do życia.

Znowu wzruszyłam ramionami, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

– Chciałabyś, żebym umarła, co? – pytała prowokująco. – Otóż nic z tego.

„Ty nigdy nie umrzesz”, pomyślałam.

Moja niechęć do tamtego świata była wyraźna. Przez całe życie podporządkowywałam się rozkazom ciotki i fundacji, ale wcześniej odrzucałam swoje potrzeby, a teraz ciotka dostrzegła zmianę. Można na siłę wtłoczyć rzekę w nowe koryto, ale rzeka nie musi tego chcieć. Prosiłam, żeby się uspokoiła, zapewniałam, że z dokumentami wszystko w porządku. Podeszłam do okna, próbując znaleźć wyjście z opresji. Stała wyprostowana po drugiej stronie stołu, oparta obiema rękami o blat, jak gdyby zaraz miała obrzucić mnie stkiem wyzwisk. Patrzyła, jak instynktownie szukam drogi ucieczki.

- Czas najwyższy, żebyś zaczęła to traktować poważnie, nie sądzisz?
- Dlaczego koniecznie chcesz się kłócić, ciociu?
- Bo mam wrażenie, że ze mnie kpisz. Widzę to w twoich oczach. A nic mnie chyba nie drażni bardziej, niż kiedy traktujesz pracę w fundacji jak dopust boży. To poważna sprawa, rozumiesz?
- Ja też.
- Co „ty też”?
- Też chcę być traktowana poważnie.
- O czym ty mówisz?
- O mnie.
- Czy kiedykolwiek nie traktowałam cię poważnie? Powiedz, czy kiedyś cię zlekceważyłam? Poświęciłam życie, by cię wychować.
- No właśnie: wychować. Łatwo powiedzieć.
- Co masz na myśli?
- Nieważne – odparłam i ruszyłam w stronę drzwi.
- Dałam ci wszystko! Masz mi coś do zarzucenia? Niektórzy wiele by dali za takie życie. Zapewniłam ci wszystko: najlepsze szkoły, wspaniały dom, służbę, lekcje języków obcych, dodatkowe zajęcia... Wielu nawet o tym nie marzy!
- Właśnie dlatego, że dałaś mi wszystko, teraz nie wiem, kim jestem. Okazało się, że „wszystko” to ciągle za mało. Owszem, nie brakowało mi niemal niczego, oprócz czułości, miłości.
- A ta znowu o tym! Jakbym słyszała twoją matkę!
- Przestań mówić o niej tym tonem! Mogłabyś okazać choć trochę szacunku.
- To ty jej nie szanujesz, kiedy lekceważysz swoje życie i to miejsce. Skoro jest dla ciebie taka ważna, to uświadom sobie, że to wszystko tutaj stanowi jej część, tak jak i twojego ojca, dziadków i...
- Zostaw umarłych w spokoju!
- Kręciło mi się w głowie, meble zdawały się tańczyć i wirować z zawrotną prędkością. W gardle rosła wielka gęstwa, miałam wrażenie, że zaraz wybuchnie. Odsunęłam brunatne zasłony w poszukiwaniu powietrza i światła. Otarłam łzy i zwróciłam się do niej – powoli szła w moim kierunku, mamrocząc pod nosem:
 - Miłość? Nie dałam ci miłości?
- Spojrzałam na nią z obrzydzeniem.
- Nie wiem nawet, jak na to odpowiedzieć. Miłość to nie płatne zajęcia dodatkowe od czwartej do szóstej po południu.
- Od jak dawna czekałaś, żeby mnie tak upokorzyć?

– Nie wiem. Przyszłam tu dziś tylko po to, żeby podpisać te twoje papiery. Właściwie powinnam już iść. – Odwróciłam się na pięcie. – Nic tu po mnie.

– Nazywasz miłością to, co przed laty straciłaś?

Rozwścieczyła mnie do reszty.

– Zamknij się!

– Gdy mówisz o miłości, masz na myśli tego chłopca, który po ciebie przychodził? Co? Myślisz pewnie, że nie pamiętam, ale nie jestem głupia, wtedy też nie byłam. Udawałaś, że uczysz się w bibliotece, on też próbował się kryć, kiedy odbierał cię cztery przecznice od domu. Jeździł na motocyklu, prawda? Mam świetną pamięć do twarzy, a on co wieczór zaglądał w twoje okna. W podskokach zbiegałaś po schodach, krzyczałaś: „Wychodzę, nie będę późno” i wracałaś po nocy. Może nie jestem twoją matką, ale martwiłam się. Pozwalałam ci jednak na to, bo wiedziałam, że to tylko letnie zauroczenie. Myśl sobie, że byłam idiotką. O nic nie pytam.

Łzy wypełniły mi oczy i jak przez mgłę widziałam, jak ciotka podchodzi do regału i ponownie napełnia kieliszek. Laurent był tylko bolesnym wspomnieniem z młodości, a poczułam taki ból, jakby znów zniknął z mojego życia. Ciotka mówiła dalej. Nie zdążyłam osunąć się na kanapę, bo nagle zmieniła ton.

– Chcę, żebyś wiedziała, że przez całe życie chroniałam cię, z miłości.

– Co ty wiesz o miłości! – wykrztusiłam przez łzy.

– W porządku, niech ci będzie. Mów sobie, co chcesz. Uparłaś się, że mnie upokorzysz. W moim wieku! Mam siedemdziesiąt pięć lat.

– Nie. Mylisz się. To ty znowu chcesz mnie upokorzyć. Świetnie ci idzie – dodałam. – Nikt nie potrafi robić tego lepiej.

– Znowu? O czym ty mówisz, co? Co masz na myśli?

Oczy niemal wyszły jej z orbit.

– Nie powinnam zaszczycać cię odpowiedzią, ale niech będzie.

Wzięłam głęboki oddech, splołam lodowate dłonie i na ukos przemierzyłam pokój, nie odrywając oczu od spojrzenia ciotki – było jak jej duch. Bałam się, że stanie się agresywna, jak wtedy, gdy waliła w drzwi, żeby służba zareagowała na jej wezwanie. Wyrzuciłam z siebie wszystko.

– Całe życie dawałam ci sobą dyrygować, robiłam, co mi kazałaś, przyjmowałam twoje poglądy za własne, podążałam twoimi ścieżkami... Milczałam, kiedy chciałaś, mówiłam to, co chciałaś, ubierałam się tak, jak chciałaś. Teraz spójrz na mnie. Popatrz tylko! Nie udało ci się zrobić ze mnie swojej kopii. Tyle lat robiłam wszystko według twoich planów, zdyscyplinowana, rozsądna i opanowana, żeby nie popełnić najmniejszego błędu, nie przynieść wstydu jakiemuś nazwisku, które nawet nie jest twoje – to nazwisko mojego ojca... Ach, ród Espinosów! Nawet nie wiem, kiedy dokładnie przestałam istnieć jako odrębna jednostka, a stałam się tylko przedłużeniem ciebie. „Powinnaś...”, „lepiej,

żebyś...” czy „muisz...”. Tak toczyło się moje życie, pod twoje dyktando i od linijki. A w tym wszystkim roztrzęsiona niepewność: ja. Jestem zmęczona. To jedno wiem na pewno: jestem zmęczona.

W sali konferencyjnej zapanował chłód, jakby zienacka wróciła zima. Stary budynek o grubych ścianach, pełen klatek schodowych, mebli przymocowanych do ścian, sof obitych jedwabiem, szkieł ustawionych jak żołnierze w szeregu i ciężkich dywanów, zmienił się w grobowiec. Na regale kieliszek po koniaku. Ciotka jak uosobienie furii, ja trupio blada po wylaniu z siebie całego żalu. Stałyśmy naprzeciw siebie niewzruszone jak kamienne posągi i nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego. Pozostał jednak wątek, który ciotka musiała pociągnąć, jeśli chciała wygrać tę bitwę. Nabrała powietrza – wyimaginowane ściany runęły – i wycedziła zimno:

– Laurent nie żyje.

Jej słowa zabrzmiały jak huk gwałtownie opuszczonego wieka trumny, kiedy nie ma już możliwości się pożegnać. Nasyciła te trzy okrutne słowa trudną do wyobrażenia pogardą. Nie mogłam sparować ciosu, ba – nie mogłam nawet oddychać, bo dalej dusiła mnie swoim głosem.

– Ten twój Laurent jeszcze przez kilka tygodni wysyłał listy. Chowałam je, żebyś o nim zapomniała. To nie był czas na romanse, miałaś tyle nauki. Trzymałam je wszystkie, co do jednego. Ale nie masz co szukać, już ich nie ma. Ostatni list przyszedł od jego ojca. Miał wypadek na motocyklu. Zmarł w wypadku. Zginął. Teraz już wiesz. Nie żyje. Mamy problem z głowy.

ROZDZIAŁ 7

Pogłośniłam muzykę i zaczęłam krążyć po domu, próbując uciec sama przed sobą. Piosenka Françoise Hardy wciskała się w każdy kąt i stopniowo opadało ze mnie napięcie, któremu dobrowolnie albo mimowolnie wcześniej się poddałam. Zapomnieć o Madrycie. Zostawić fundację. Odejść. Porzucić poddasze. Zaprogramować zraszacz raz na zawsze. Poszukać swojego miejsca. Przestać włóczyć się po ulicach. Dać się ponieść. Muzyka towarzyszyła mi i odpędzała strach. Pomagała zrzucić ciężar. Dokąd się udam? Sama? Co pocznę? Teraz nie jest najlepszy moment. Już się tu zadomowiłaś. Mieszkasz w Madrycie od zawsze. Fundacja cię potrzebuje. Rodzice uczynili cię odpowiedzialną za dotrzymanie terminu realizacji projektu. Mój dom. Moje miejsce. Dźwięki muzyki czyhały w każdym zakamarku mieszkania. Straciłam nad sobą kontrolę, przemierzałam korytarz, wchodziłam do pokoi, zapalałam i gasiłam światła, jakbym chciała podpalić elektrownię, byle tylko się stamtąd wydostać. W kuchni hulał przeciąg, wprawiał w ruch szkło w szafkach i kwiaty na stoliku przy drzwiach – kupiłam je przed kilkoma tygodniami, a nawet nie zaczęły więdnąć. Nienaturalnie świeże, sprawiały, że czułam się nieswojo.

Poszłam do kuchni, wypiłam dużą szklankę zimnej wody i zatraciłam się w młodym, energicznym głosie piosenkarki. Myślałam trzeźwo, pierwszy raz sama sobie rzucałam wyzwanie i nie czułam ani krzty litości czy skruchy. Weszłam do gabinetu i spojrzałam na szyld. Wyciągnęłam rękę, jakbym już od drzwi chciała dotknąć wymalowanych liter, rysowałam je w powietrzu – A-L-I-C-E – aby zatrzeć dzielące nas stulecie.

– Myślę, że mamy ze sobą coś wspólnego – mimowolnie powiedziałam na głos.

Muzyka w salonie ucichła. Obecność stała się niemal namacalna. Przełknęłam ślinę.

Wycofałam się z powrotem do przedpokoju, zapaliłam papierosa i poszłam do sypialni. Zamknęłam drzwi i napełniłam wody do wanny. Potrzebowałam gorącej kąpieli, żeby spokojnie poukładać sobie wszystko w głowie. Absolutnie nie kierowało mną makabryczne pragnienie ujrzenia ducha czy zjawy. Nie chciałam też traktować tych wszystkich nadprzyrodzonych zdarzeń jako czegoś normalnego. A jednak miałam dziwne przeświadczenie, że moje miejsce jest w Paryżu Alice Humbert, że tam wszystko się ułoży i zmieni na lepsze. Wtedy wydarzyło się coś przerażającego. Rozbierałam się do kąpieli, gdy z głębi korytarza dobiegł głuchy łoskot.

To właśnie ten znak.

Po głośnym huknięciu nastąpił cichszy stukot małych przedmiotów spadających na podłogę. Z sercem w gardle poszłam w kierunku źródła dźwięków; zbliżałam się do gabinetu wystraszona, ale i zaintrygowana. Niby nie czułam zagrożenia, ale...

Przeszedł mnie dreszcz – znów włączyło się radio. „Alice”, wyszeptałam. Nikt nie odpowiedział. A może jednak tak.

Zapaliłam światło w gabinecie – okazało się, że szyld spadł ze ściany, zrzuciwszy przy okazji kubki z ołówkami i kilka obrazów. Muzyka w jednej chwili wypełniła przestrzeń, poruszając najgłębsze zakamarki duszy. Schyliłam się, żeby podnieść lekko pękniętą tablicę. Odłamał się kawałek nowszego drewna z tylnej części szyldu, umieszczonego tam dla ochrony zabytkowej oprawy. Odsłonił przy tym fragment oryginalnego znaku i wyraźny odręczny napis:

Rue Pont Louis-Philippe 10. Paryż.

Próbowałam zachować pozory pewności siebie, choć w rzeczywistości czułam się tak, jakby wrzucono mnie w zupełnie obcy świat. Mimo to pozostałam spokojna, gotowa stawić czoło chaosowi i bezkresnemu oceanowi możliwości.

ROZDZIAŁ 8

– Pamięta pan, jak mówiłam o zmęczeniu czernią i bielą?

Stary malarz skierował wzrok na zachodnie okno – słońce chowało się za dachami Madrytu. Moje pytanie wcale nie zaskoczyło artysty, który od czasu do czasu wcielał się w rolę nauczyciela.

– Wcale nie chce pani rozmawiać o czerni i bieli. Została pani po zajęciach, żeby pomówić o czymś innym. Spokojnie, możemy poruszać tematy nie tylko związane z malarstwem, ale i z życiem, jeśli taka będzie potrzeba. Ale zastrzegam, że lepiej znam się na malarstwie...

Z trudem oderwałam się od własnych myśli.

– W takim razie powiedzmy, że mam już dość czerni. Nie mogę jej znieść. Od tak dawna żyję w niej pogrążona, że mam ochotę poznać nowe kolory, dowiedzieć się, skąd pochodzą, jak ich używać, ubarwić moje... płótno.

– Nie musi mówić pani o płótnie, można użyć słowa „życie”.

Uśmiechnęłam się i poczułam motylki w brzuchu.

– Postanowiłam jechać do Paryża.

Stary malarz spojrzał na mnie i po raz pierwszy jego szarobure oczy wydały mi się błękitne.

Jak zwykle obracał w palcach jeden z pędzli.

– Ludzie, ogólnie rzecz biorąc, żyją sparaliżowani strachem. To największa przeszkoda na drodze do szczęścia. Mam osiemdziesiąt trzy lata i codziennie nastawiam budzik na siódmą – wcześniej, bo chcę, żeby dzień trwał jak najdłużej. Będę miał jeszcze okazję się wyspać. Coś każe mi wstawać każdego ranka, żeby zobaczyć, jakie jest niebo – bławatkowe, popielate, kobaltowe czy może w odcieniu błękitu prowansalskiego. Piję świeżą, gorącą kawę, delectuję się własnoręcznie przygotowaną grzanką z dżemem brzoskwiniowym i czuję, jak rozpływa mi się w ustach, jakbym pierwszy raz jej próbował. Biorę prysznic – ostrożnie, ze względu na wiek – i mam wrażenie, że wszystkie negatywne myśli i złe doświadczenia spływają do kanalizacji, a mnie wypełnia świeża, czysta woda. Chodzę po mieście i przyglądam się budynkom, bo zawsze może wpaść w oko niezauważony wcześniej szczegół wykończenia: choćby dziś zauważyłem jaszczurki zdobiące fasadę jednego z domów przy ulicy Mejía Lequerica, i wie pani co?... Powinna pani zobaczyć to sama; są zielone, ale jaki to odcień zieleni? Trzeba by pójść tam z kartą kolorów Charvin. Lubię uciąć sobie drzemkę, króciutką, w czasie sjesty, tylko po to, by

móc przeżyć drugi poranek tego samego dnia, wypić kolejną kawę i udać się na spacer aż tutaj, do tej kopuły, skąd rozpościera się najlepszy widok na Madryt. A kiedy zacznę malować nowy obraz, opadają mnie wszystkie wątpliwości, które towarzyszyły mi w pracy nad poprzednim: boję się, że nie poradzę sobie z perspektywą, że w efekcie budynki stopią się w jedną masę i nie uda mi się oddać tej misternej układanki z okien, dachów, chodników i bram.

Przerwał na chwilę. Zapadła cisza. Znow bawił się pędzlem.

– Myśli pani pewnie, że robię wszystko, jakby to był ostatni raz, bo jestem już stary. Myli się pani, Tereso. Robię wszystko, jakby to był pierwszy raz, bo nie chcę stracić umiejętności dziwienia się. Przed laty zapytano mnie na jakiejś wystawie, dlaczego moje obrazy są tak perfekcyjne, a jednocześnie – dziecinne. Dziecinne! Odparłem, że chcę pozostać dzieckiem, dopóki nie zaskoczy mnie starość. Rozumie pani? Chcę pozostać dzieckiem aż do starości. Kiedy nie chcemy się dalej rozwijać, zaczynamy powoli umierać. Nie mamy już tego dziecka w sobie. Pani widzi starca, ale ja wciąż jestem dzieckiem. Zmieniła się tylko powłoka.

Patrzył na mnie przenikliwie, a ja malałam pod naciskiem jego wzroku.

– Czego pani chce? Koloru?

– Tak – wyjąkałam.

– Dobrze, co więc panią powstrzymuje? – zapytał głosem słodkim jak miód. – Sami nakładamy na siebie ograniczenia. Mam przypomnieć pani, ile mam lat?

Odwróciłam wzrok i spojrzałam za okno – nad Madrytem zapadał wieczór. Po prawej pomarańczowe światło błyszczało na dachach, po lewej drzewa w parku Retiro odbijały popołudniowe słońce i zdawały się poruszać w jego blasku. Wyobrażałam sobie, że za mną też kończy się dzień. Ale wraz ze zmierzchem nastąpiło zamknięcie pewnej epoki. Nic mnie tu nie trzymało, pozbyłam się części balastu, a stary malarz odciął ostatnią linę, zupełnie niepotrzebnie trzymającą mnie w porcie.

– Tereso, nikt nie przeżyje życia za panią. Proszę przestać krążyć w kółko i wspiąć się na wymarzony szczyt. Proszę odejść! Pofrunąć!

ROZDZIAŁ 9

Wsiadłam z taksówki na rogu rue de l’Hôtel de Ville, tuż pod dawnym sklepem z alkoholami przerobionym na knajpkę. Data otwarcia pokrywała się z rokiem mojego urodzenia – uśmiechnęłam się. Co za zbieg okoliczności! – pomyślałam. Po raz enty spojrzałam na trzymaną w dłoni kartkę: *Rue Pont Louis-Philippe 10*. Czułam, że w tej chwili wszystko się zaczyna. W ręku miałam walizkę, pod pachą szyld zapakowany w karton, a na sobie zielony płaszcz – chciałam pokolorować moje nowe życie. Rozejrzałam się wokół i okazało się, że ulica, której szukam, zaczyna się tuż przy moście Louis-Philippe. Zaczęłam iść po krawężniku tak jak on to lubił – absurdalna wprawka w nerwowym chodzeniu po linie – i omal nie wpadłam z pluskiem do wody wypływanej przez rynny i studzienki Paryża. Wchłonęła mnie dusza tego miasta, gdzie wystarczyło zrobić jeden krok, aby poczuć nieopisaną radość.

Byłam na miejscu. Szczęśliwa. Powtarzam: niezmiernie szczęśliwa i pełna nadziei na przyszłość. Dziwne, bo pierwsze chwile w mieście nie należały do najprzyjemniejszych – agencja nieruchomości żądała ode mnie tysiąca papierów, w pewnej chwili chciałam już się poddać i zrezygnować z całego przedsięwzięcia. Papiery, papiery, papiery, papiery, poręczenia, kolejne poręczenia, rachunki bieżące, czeki... Obojętność zabija wszelki zapał. Mimo wszystko jednak biurwa z agencji nie zdołała zrazić mnie swoimi minami – uodporniałam się, w końcu od dziecka raczono mnie nimi w domu.

Nieruchomość, którą zdecydowałam się kupić, nie miała nazwy. Mój sklep, jako jedyny w okolicy, był opustoszały. Z zewnątrz sprawiał wrażenie dobrze zachowanego, przywodził na myśl typowe zdjęcia Atgeta ze starych paryskich pocztówek: drewniana fasada z umieszczonymi pośrodku drzwiami i przeszklonymi, acz zniszczonymi i brudnymi witrynami po obu stronach, a powyżej pięć pięter i poddasze, ledwie widoczne z ulicy. Z jednej strony z lokalem sąsiedował przykuwający uwagę sklep z ekskluzywnymi artykułami papierniczymi, z drugiej zaś – niezwykle elegancki zakład oprawy obrazów. W drzwiach czekała już na mnie gburowata Sophie Charagnac z agencji – w ręku miała klucze, a na twarzy nieszczerzy uśmiech od ucha do ucha, jakby nie posiadała się wręcz z radości, że wreszcie udało jej się pozbyć niewygodnego lokalu. Wymieniłyśmy uprzejmości. Staralam się ukryć mój prawdziwy stosunek do tej kobiety i udawać zadowolenie.

– Pani jest Thérèse?

– Tak, to ja. Teresa Espinosa. Miło mi.

– Mnie również – odparła, naśladowując mój hiszpański akcent i sylabizując, jakby czytała

tekst na dyktando. – Wreszcie nadszedł ten dzień. Tyle e-maili, tyle zdjęć, i w końcu może pani zobaczyć sklep na żywo. Jak minęła podróż?

Wyjęła dwa klucze z czerwonymi nakładkami i założyła na breloczek.

– Chce pani sama otworzyć? W końcu jesteśmy już w pani wymarzonym „sklepie”, należy do pani. – Uprzejmość proporcjonalna do liczby zer na końcu kwoty, którą zapłaciłam. – Uważam, że to świetny zakup, to idealne miejsce, ulica – tłumaczyła – jest bardzo malownicza, spokojna i dobrze oświetlona, a pozostałe lokale... Zresztą sama się pani zorientuje. Cudownie. To szczególne miejsce w Paryżu.

– Wiem. Bardzo się cieszę. Może tego po mnie nie widać, ale to dlatego, że jestem bardzo zmęczona.

– Rozumiem – rzuciła automatycznie.

Nie mogła mnie rozumieć. Ona pośpiesznie kończyła transakcję, ja zaczynałam zupełnie nowe życie, spokojna i szczęśliwa. Rozbieganym wzrokiem wodziłam od drzwi do szklanych witryn, podekscytowana – ale i podenerwowana – próbowałam wyobrazić sobie wnętrze. Sophie Charagnac odebrała komórkę, wibrującą wściekle w czeluściach torby od Louisa Vuittona, i dzięki temu nie musiałam już dłużej silić się na uprzejmość.

– Chwileczkę, proszę. – Wcisnęła mi w rękę klucze. – Halo? Jestem na miejscu, właśnie przyjechała. Zaraz stąd idę... Mhm, mhm... Nie, metrem będzie szybciej, nie martw się... Tak, wiem, że to na drugim końcu miasta... Daj mi pół godziny.

Powinam pewnie udawać, że nic nie słyszałam, ale postanowiłam działać.

– Nie ma sprawy. – Na migi dałam jej do zrozumienia, że może się mną nie przejmować. – Wszystko wiem, klucze już mam, zadzwonię w razie jakichkolwiek problemów.

– Jest pani pewna? – Wciąż trzymała słuchawkę przy uchu. – Mogę panią oprowadzić...

– Nie, naprawdę, wszystko w porządku. Może pani iść. Bardzo dziękuję.

– Dziękuję, do widzenia! Mam nadzieję, że spodoba się pani...

– Mój sklep w Paryżu.

Wsunęłam klucz do zamka i wstrzymałam oddech. Przez głowę przemknął mi obraz szczęśliwej dziewczynki ześlizgującej się po marmurowej poręczy w budynku fundacji. „Zacznij od początku. Podrzyj kartkę. Fruń”. Nadeszła ta chwila.

Wnętrze było raczej proste i staroświeckie. Najwyraźniej dokładnie wysprzątano je przed wystawieniem na sprzedaż, ale w powietrzu wciąż unosił się charakterystyczny zapach długo niewietrzonego budynku. Na sklep składało się przestronne pomieszczenie, na całą szerokość fasady, pokój ze ścianą nośną, której „nie można ruszać”, stojąca na środku pojedyncza, dość cienka żeliwna kolumna, gęsto belkowany sufit, drewniane schody o jedenastu wąskich, krzywych stopniach, podtrzymywanych przez dwie liche poręcze, a wyżej sala z lekko wypaczoną wskutek upływu lat podłogą – odkryłam to, kiedy chciałam podejść do okna i poczułam, że deski się pode mną uginają. Pod schodami, pomiędzy kłębami kurzu i zgniłymi pudłami, kryło się wejście do piwnicy. Według planów budynku

podziemne pomieszczenie zajmowało powierzchnię równą parterowi, brakowało jednak oświetlenia, a dostęp był utrudniony. W dokumentach zakupu określono piwnicę jako „ślepe pomieszczenie należące do nieruchomości, ale nieużytkowane i niezelektryfikowane”. Agentka dodała w e-mailu: „Sama zresztą pani zobaczy”.

Każda inna osoba odwróciłaby się w tej chwili na pięcie i kategorycznie odmówiła kupna tej starej paryskiej rudery. Wszyscy ostrzegali mnie przed licznymi problemami, z jakimi miałam się zmierzyć, zwłaszcza w świetle nie najlepszej sytuacji gospodarczej. Mimo to nie potrafiłam znaleźć argumentów przeciw i nikt nie zdołałby odwieść mnie od pomysłu otwarcia sklepu w Paryżu. Może i w nowym miejscu nie będzie mi się wiodło świetnie, ale na pewno inaczej.

Dziewczyna z agencji nieruchomości wręczyła mi oba klucze i jak poparzona uciekła w sobie tylko znanym kierunku, jakby w lokalu straszło. Nie bałam się czarnej magii. Nie wierzyłam w postaci powracające z zaświatów po stu latach, żeby nawiedzać ludzi zajmujących ich dawne lokum. W moich dziwnych przeczuciach kryło się coś pozytywnego, coś więcej niż hałas w rurach, włączające się radio czy kwiaty zachowujące świeżość przez długie tygodnie. Agentka nie miała obowiązku o niczym mnie informować, bo tak naprawdę nie było o czym, nic podejrzanego nie rzucało się w oczy. Sklepikarze z rue Pont Louis-Philippe przyzwyczaili się już do pustego sklepu i pewnie nawet nie oczekiwali, że ktokolwiek go kupi. Wydawało mi się jednak mało prawdopodobne, żeby ta wieloletnia pustka miała cokolwiek wspólnego z moim „wrażeniem”. Poczułam podmuch wiatru na plecach i odwróciłam się.

– Dzień dobry! – głos dobiegał od drzwi wejściowych. – Pracuję tuż obok. Widzę, że ktoś kupił wreszcie ten sklep.

– Dzień dobry, proszę wejść. Mam na imię Teresa.

– Aż żal było patrzeć, tyle czasu stał zamknięty! Jedyne się taki ostał. Pusty i smutny. Jestem Hélène, pracuję w Orphée.

– Proszę dalej... Jestem bardzo wdzięczna za odwiedzinę. Właśnie przyjechałam i dopiero zapoznaję się z tą przestrzenią, pierwszy raz wdycham jej zapach. Kupiłam sklep, a teraz sprawdzam, w jakim jest stanie. Przepraszam, już wstaję, nie chcę być niegrzeczna...

Cały ten czas klęczałam i siłowałam się z prowadzącą do piwnicy kłapą w podłodze, bardziej z ciekawości niż z potrzeby zajrzenia do środka. „Drzwiczki ani drgną, do tego nie ma światła”, myślałam na głos. „Jakby zablizniła się jakaś rana w podłodze”.

– Pomóc pani? Mogę przynieść narzędzia, przyda się latarka. – Ukłękła obok mnie przed zablokowaną kłapą o wymiarach metr na metr.

– Nie trzeba. – Winne zacięcia się drzwiczek były najwyraźniej czas i wilgoć. – Zadzwoń po stolarza. Proszę to zostawić, tylko się pani pobrudzi. Ta kłapa całkiem przywarła do podłogi. Nie wypada tak witać gości.

Po krótkim wahaniu – nie chciałam jej pobrudzić – uścisnęłyśmy sobie dłonie.

– To może być piękne miejsce – powiedziała, przyglądając się witrynom. – Budynek jest taki sam jak mój, ta sama powierzchnia, wysokie sufity...

– Podoba mi się, bo daje dużo możliwości.

– Martwiłam się, że już nigdy nic tu nie będzie. To najbardziej tajemniczy sklep na tej ulicy, w końcu wszyscy zaczęli żartować, że poprzednia właścicielka rzuciła na niego klątwę, żeby nikt nie mógł otworzyć go na nowo. Wie pani, takie głupie gadanie, sklep jest nawiedzony i tak dalej. Duchy! Sama pani rozumie.

Udałam brak zainteresowania i zmieniłam temat.

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, za kilka miesięcy otwarcie – powiedziałam sąsiadce z Orphée, dyskretnie wycierając ręce o kieszenie. Jej sklep oferował szeroki wybór wiecznych piór, wysokiej jakości papieru, lup, brystolu, kopert we wszelkich możliwych rozmiarach z pismem gotyckim w formie znaków wodnych – krótko mówiąc, nieprzebrane zasoby różnorodnych i wyszukanych artykułów biurowych. Za okularami w brązowych szylkretowych oprawkach kryły się szare oczy – jak u ciotki Brígidy, ale ciepłe i przyjazne.

– Witam na naszej ulicy. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała...

– Nie omieszkałam poprosić o pomoc. – Uprzejmość sąsiadki mile mnie zaskoczyła, zwłaszcza po przejściach z agencją. Od lat miałam obsesję na punkcie Paryża, ale zdawałam sobie przy tym sprawę z gburowatości mieszkańców, zwłaszcza w stosunku do Hiszpanów. Sama nie należę do osób szczególnie towarzyskich, nie wadziło mi więc szorstkie usposobienie paryżan. Tak naprawdę w głębi duszy nigdy nie byłam zbyt serdeczna. Bez trudu przyszło mi naśladować ich gesty i mimikę – należy sprawiać wrażenie, że jesteśmy w posiadaniu niezwykle ważnej informacji, tajemnicy pokoju na świecie, a przy tym przyjąć postawę kontrolera biletów.

– To wspinała dzielnica. Sama pani zobaczy. I proszę zapomnieć o głupich plotkach.

Odprowadziłam ją do wyjścia. Niektórzy sklepikarze, z braku klientów, wyszli na ulicę, żeby mnie obejrzeć.

– A, właśnie – przypomniała sobie – ja przerobiłam piwnicę na magazyn, szkoda marnować taką powierzchnię. Świetnie się sprawdza. Na pewno się pani przyda, jeśli stolarz zdoła podnieść kłapę.

Bez zdziwienia zauważyłam, że wszyscy handlarze z Pont Louis-Philippe się znali. Niezbyt popularna wśród turystów część miasta stanowiła zarazem alternatywną drogę dostępu do dzielnicy Le Marais od strony Sekwany. Od następnej przecznicy – za meksykańską restauracją La Perla, specjalizującą się w mojito – zaczynała się pełna kawiarni i butików rue Vieille du Temple, jak kręgosłup ryby, z odchodzącymi od niej ościami wąskich uliczek, które z kolei rozdzielały się na jeszcze węższe i bardziej kręte zaułki. Dzielnica żydowska – nowoczesny tygiel narodowości i najróżniejszych fryzur. To

wszystko miało jednak toczyć się za moimi plecami – ja wolałam patrzeć na Sekwanę i wyspę Świętego Ludwika. Dlatego też wynajęłam mieszkanie na ostatnim piętrze – znowu na wysokościach – nad restauracją Chez Julien.

Ajourd'hui

Thon blanc,

Salade de pousses d'épinards,

Riquette et daikon,

Vinaigrette mangue.

24 euros.

Menu dnia. Nie wiedziałam, co to *daikon*, poszłam więc do L'Ébouillanté na *feuilleté de chêne* i *tarte aux agrumes* z kieliszkiem czerwonego wina i zapłaciłam piętnaście euro. Od tej pory zaczęłam stale bywać w tej knajpce przy rue des Barres, bo miała to, czego szukałam w moim nowym życiu: dużo koloru (błękit pruski i anyż, stary malarz doceniłby to połączenie). Z ulgą zajmowałam wolny stolik i wiedziałam, że będę mogła do woli siedzieć przy oknie wychodzącym na kościół Świętego Gerwazego – zawsze przewijały się tam uśmiechnięte, zadowolone zakonnice. Przed barem był ogródek: porośnięta bluszczem fasada i stoliki w kolorze indygo. Mogli odpocząć przy nich dorośli i dzieci zmęczeni wspinaczką po schodach prowadzących do kościoła.

– To pani jest nową właścicielką dziesiątki przy Louis-Philippe? – Wieści szybko się rozeszły.

– Chcę otworzyć tam sklep. Przyjechałam z Hiszpanii.

– Już straciliśmy nadzieję, że cokolwiek będzie z tego lokalu. Szkoda, że przez tyle lat stał zupełnie pusty. Zdawało się, że tak już zostanie – opowiadał kelner.

Piłam kawę i wodę mineralną.

– Głowę dam, że chce pani sprzedawać książki – dodał.

– Załatwiła pani wszystko bez problemów? – z wejścia do kuchni dobiegło pytanie długowłosej dziewczyny.

Zachowałam dyskrecję – oni to lubią.

– Przywykłam do problemów.

Siedząca przy sąsiednim stoliku starsza pani słuchała wyraźnie poruszona. Jej wzrok mówił: turystka trafiła do jaskini lwa. Rzuciła okiem na właścicielkę, żeby sprawdzić, czy ta podziela jej obawę. Jednak czy to dlatego, że zdawałam się nic sobie nie robić ze wszystkich niepokojących sygnałów, czy ze względu na bijący ode mnie zapach, staruszka w końcu tylko się uśmiechnęła i pociągnęła łyk kawy.

Spojrzała na mnie serdecznie i zrozumiałam, że stoi przede mną ważne zadanie: przywrócić temu miejscu świetność z początków wieku. W dzisiejszych czasach sklep

bławatny nie miał racji bytu – nikt już przecież nie chodził do szwaczki z własnym materiałem na spódnicę, bluzkę czy płaszcz. Już od lat sklepy oferowały gotowe ubrania i nie opłacało się szyc na miarę. Pomyślałam jednak – w pierwszym odruchu, gdy tylko stanęłam przed lokalem – że idealnym rozwiązaniem byłby sklep z akcesoriami: kapeluszami, sztuczną biżuterią, spinkami do włosów oraz szalikami, fularami i apaszkami we wszystkich kolorach tęczy. Tylko to przyszło mi do głowy. Na górze zrobię mały gabinet, a pod ziemią – ciągle musiałam zbadać piwnicę – magazyn. Wszystko zgrywało się idealnie, jak koncert ulicznej orkiestry, która przeszła właśnie przez ulicę w kierunku podium umieszczonego za Notre Dame.

Chłopak odprowadził mnie te kilka kroków do drzwi i pomógł z walizką. Mocno przycisnęłam do piersi paczkę z szyldem Alice Humbert, żeby ochronić go przed mżawką. Ściemniło się – chmury zawisły nad dachami domów malutkiej rue de l’Hôtel de Ville, wychodzącej na nabrzeże uliczki na tyłach. Pozamykano okna, a ptaki – odpoczywające dotychczas na okrągłych kominach – pofrunęły nad Sekwanę.

– Pomóc pani z tą paczką? To prezent? – zapytał.

– Nie, nie trzeba. Wolę sama ją nieść – pośpieszyłam z odpowiedzią, jakby Alice mówiła za mnie.

– Więc chce pani otworzyć sklep...

– Tak. Dziś odebrałam klucze.

– A słyszała pani...?

– Nie wierzę w pecha, jeśli to ma pan na myśli. Za dobrze go znam.

– Dobrze pani z oczu patrzy.

Powinien jeszcze dodać: „To pani jest ta naiwna, której wcisnęli ten sklep?”.

Powiesiłam szyld przy wejściu do nowego domu, niemal w takim samym położeniu jak w Madrycie. Przypadek miewa najróżniejsze odcienie – dwa haczyki wbito w ścianę dokładnie w takiej odległości, w jakiej znajdowały się zawieszki na tablicy. Nic nie musiałam zmieniać. Tak samo jak w Madrycie. Postanowiłam, że zostanie tam do czasu otwarcia sklepu, po czym zniosłam walizkę do sypialni. Powinien zdziwić mnie taki zbieg okoliczności, ale może lepiej myśleć, że los mi sprzyja? Przeczucie, że wszystko się ułoży, prześladowało mnie od chwili, kiedy uschnięta bugenwilla przy ulicy Fernando VI przykuła moją uwagę i kazała zajrzeć na wewnętrzny dziedziniec, zavalony mniej lub bardziej wartościowymi antykami, takie skrzyżowanie odpustu z pchlim targiem. Nie musiałam buszować wśród wystawionych towarów, mój prezent już na mnie czekał. A teraz wisiał tu przede mną, na szóstym piętrze budynku w czwartej dzielnicy Paryża.

W mieszkaniu panował chłód – otworzyłam okna, żeby wpuścić trochę ciepłego, wilgotnego powietrza znad Sekwany. Olbrzymie okna w salonie sięgały niemal sufitu – cztery skrzydła zabezpieczone niewielką żelazną barierką. Na tym przestronnym poddaszu było wszystko, czego dusza zapragnie. Nie śmiałam zasłonić takiego widoku nawet kanapą

ustawioną pod oknami. Przepchnęłam mebel na bok i zostawiłam pustą przestrzeń, aby do woli móc napawać się moim rajem: mostem Louis-Philippe prowadzącym na bulwary quai d'Anjou i de Bourbon. Mała wyspa Świętego Ludwika wyglądała tak, jakby każdy król z dynastii Burbonów ukrył tam jakiś skarb. Pogoda była letnia i przez jakieś dziesięć minut opierałam się o barierkę w oknie – moim oknie – upstrzonym odchodami gołębi. Powietrze pachniało burzą, a na wyspie chronili się przed deszczem turyści z Notre Dame, z tych, co to nie ograniczają się do obejrzenia fasady, ale wolą przejść przez park na tyłach, gdzie czasem malarze sprzedają straszne bohomy. W dole leniwie przepływała Sekwana i obmywała kamienne brzegi, malując na nich rysunki, które natychmiast wysychały. Dużo większe fale tworzyły się, kiedy jakiś statek towarowy spływał w dół rzeki, wzburzając wodę, jakby zdeterminowany zapewnić, by w mieście zawsze panowało nerwowe ożywienie. Dziesiątki, setki osób ginęły w lodowatych nawet w sierpniu odmętach. Mimo to życie na łodzi toczy się dalej, a miasto zdaje się ignorować liczne wojny, które stały się jego udziałem. Nagle przestraszył mnie głuchy łoskot za plecami, jakby na podłogę spadło pudło pełne książek. Obróciłam się i okno też się zatrzasnęło. Przeciąg, pomyślałam. Przeszłam przez salon do miejsca, skąd – jak mi się zdawało – dobiegł mnie hałas.

– Alice? – zapytałam mimo woli.

Naturalnie nie uzyskałam odpowiedzi.

Nauczono mnie, że duchy są wytworem wyobraźni i że należy bać się raczej żywych niż umarłych, a mimo to drżały mi nogi, kiedy robiłam obchód nowego mieszkania. Choć wiedziałam, że mało prawdopodobne jest ukazanie się jakiejś zjawy, wolałam się przygotować. Otworzyłam drzwi do łazienki, zapaliłam światło i przekonałam się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nic nie tłumaczyło tego dziwnego huk. Kiedy weszłam do sypialni, zerknęłam za siebie, jakby ktoś mnie śledził. Pomyślałam, że gdyby rzeczywiście tak było, śledzącego zaskoczyłby mój spokój w obliczu takiej sytuacji. W półmroku dojrzałam jakiś kształt koło łóżka. Zdusiłam okrzyk i zasłoniłam twarz.

Sama. Nie mogłam oddychać. Zesztywniałam ze strachu, ale zdołałam otworzyć oczy i przyjrzeć się uważniej. Na podłodze leżała walizka – spadła z krzesła i jakimś cudem się otworzyła. „Głowę bym dała, że dokładnie ją zamknęłam. Zawsze przecież przestawiam szyfr, żeby przypadkiem się nie rozsunała – mówiłam sama do siebie – a jednak stało się”. W walizce panował porządek, wyglądała jak tuż po spakowaniu. Przyglądałam się długo, aż w końcu ogarnął mnie śmiech, którym chciałam pokryć zdenerwowanie. Nie wiem, co pomyślałby o tym stary malarz. W takich sytuacjach najbardziej mi go brakowało, chciałam opowiedzieć mu, co dzieje się w moim życiu. Wcześniej wyciszyłam komórkę i schowałam ją do walizki – świeciła się, pełna wiadomości i nieodebranych połączeń od dyrektora fundacji, jedyne sympatycznego pracownika. „Nie odbierasz telefonu, Tereso, więc tylko w ten sposób mogę cię poinformować: dziś po południu twoja ciotka Brígida zmarła na zawał. Jutro pogrzeb. Zadzwoń”.

Pod prysznicem próbowałam się opanować i ukryć radość. Byłam w Paryżu i ani

myślałam wracać.

ROZDZIAŁ 11

Chciałabym móc powiedzieć, że za nią tęskniłam, ale to nieprawda. Czy można nienawidzić umarłych? Od najmłodszych lat moje życie podporządkowane było jej reprimendum i karcącemu spojrzeniu. Jeśli w ogóle czułam się winna, to właśnie tego, że za nią nie tęskniłam. Brakowało mi tylko matki. Mimo wszystko wykreśliłam jej numer drżącymi rękoma, spodziewając się usłyszeć bliźniaczy głos. Przymknęłam oczy... Laurencie, powiedziałaśbyś pewnie: „Co robisz, maleńka? Zapomnij o bólu, nie daj się zwieść, zachowaj prawdziwe wspomnienia”. A potem zabrałabyś mnie stąd na spacer i kilka piw. A jednak wybrałam numer, bezgłośnie naciskając klawisze. Sama siebie uciszałam, uwięziona w jakimś absurdalnym paradoksie. Jednak to nie jej głos usłyszałam po drugiej stronie, ale dyrektora fundacji – odbierał za nią telefon i teraz rzucił lakonicznie: „Powinnaś wrócić do Madrytu, Tereso. Brígida chciałaby, żebyś przyszła na pogrzeb”.

– Nie ma potrzeby, żebym przyjeżdżała, naprawdę.

Widziałam już tę kobietę w trumnie, w dniu śmierci mojej matki. Pamiętam, jak stała wyprostowana nad katafalkiem i opłakiwała siostrę bliźniaczkę, a ja wyobrażałam sobie, że to ona, a nie moja matka, leży tam na białym jedwabnym wybiciu. Tylko to podtrzymywało mnie na duchu. Czy mogłam jakoś cofnąć czas? Kiedy mnie ubierała, zamykałam oczy i myślałam, że to dłonie mamy wiążą mi kokardę na plecach, zaplatają warkocz czy zapinają sukienkę. Nie bałam się, bo dzięki tej zabawie uwierzyłam, że to ciotkę zamknęli w skrzyni, którą żałobnicy ponieśli potem na ramionach. Dlatego nie płakałam. Przez długie miesiące wmawiałam sobie, że mama żyje i ciągle jest przy mnie. Obserwowałam ciotkę ukradkiem i nie mogłam się nadziwić: ten sam chód, ten sam ton głosu, ten sam zapach... Później, po jakichś dwóch latach, powoli zaczęła do mnie docierać smutna prawda. Musiałam pogodzić się z tym, że matkę pochowano, a ja zostałam z wybrakowaną kopią. Zwymiotowałam, gdy to sobie uświadomiłam.

Tęskniłam za nią, a teraz także za ciotką. Bo nawet kiedy krzyczała na mnie przez telefon, ze słuchawki dobiegał głos mamy.

ROZDZIAŁ 12

Spojrzałam na mapę i przeszłam przez ulicę. Przygnała mnie tu ciekawość, i tak o wpół do jedenastej stałam na rogu Campagne Première. Ten adres widniał na zdjęciach, które znalazłam w piwnicy. Ulica sprawiała niegościnne wrażenie – przy krawężniku parkował sznur tanich samochodów, pod nimi zaś płynął strumień wody ciekącej z chodnika. Cała okolica jakby wymarła: warzywniak z jedną jedyną klientką, pralnia zavalona workami ubrań i zrolowanymi dywanami, salon masażu chińskiego... Nic tu nie przypominało mi o Alice, nawet kiedy dotarłam pod dom z numerem 9.

Taksówka w zawrotnym tempie dowiozła mnie na miejsce. Kierowca przejechał przez Sekwanę w kierunku Saint-Germain, nonszalancko zignorował czerwone światła i bulwarem Saint-Michel pognał na Montparnasse. Dwie minuty później kazałam wysadzić się pod kawiarnią La Closerie des Lilas. Chciałam sama zagubić się w nieznannej dzielnicy.

– Dzień dobry, proszę wejść. Musimy tylko poustawiać krzesła.

– W takim razie poproszę kawę, sok pomarańczowy i *pain au chocolat*. Dziękuję – zamówiłam i zajęłam miejsce przy jednym ze szklanych stolików na zewnątrz.

Kelner wykrzywił wargi w zblazowanym, francuskim uśmiechu, na widok którego zawsze chcę przeproszać, że żyję, i wszedł do środka. Może przyszłam nie w porę. Przygotowywali stoliki na drugie śniadanie, papierowe podkładki pod talerze pokrywały autografy i zapiski klientów. Z jednej strony od lokalu prowadził bulwar do Obserwatorium, z drugiej – zaczynał się Ogród Luksemburski, przesiąknięty atmosferą upływającego czasu, duchem minionych wieków. Przestronny ogródek świetnie wpisywał się w elegancki i dekadentcki nastrój tego niezwykłego miejsca. Dopiero wiele miesięcy później zrozumiałam przyczyny nadęcia i zarozumiałości kelnerów z Closerie – stali wszak na straży kwintesencji paryskości, swego rodzaju Świętego Graala.

Powałęsałam się trochę po okolicy, co chwila znajdując pretekst, żeby zwolnić kroku i opóźnić moment dotarcia do celu. Nie śpieszyło mi się i trochę jak detektyw zwracałam uwagę na każdy, najdrobniejszy nawet szczegół na mojej drodze. Ulicy brakowało uroku typowego dla innych części Paryża – mieszkańcy robili zakupy w supermarketach, jechali do pracy i unikali jak ognia zagubionych turystów, włączających się z dala od najważniejszych zabytków w poszukiwaniu innego oblicza miasta. Ta ułudzona atmosfera normalności kazała mi wątpić, czy na pewno dobrze trafiłam. Żadnych malarzy, żadnych fotografów, nawet śladu zapachu smażonych na patelni naleśników.

To ten budynek. Dziewiątka.

Pod zamkniętymi na cztery spusty drzwiami bawiły się dwie małe blondyneczki – ich

włosy wydawały się niemal białe w szarawym blasku, jaki rozciągał się nad miastem. Brama była prosta i solidna: wysokie, dwuskrzydłowe, popielate drzwi, w dolnej części obite złotą blachą – żeby można je popchnąć stopą – z tabliczką zakazującą blokowania drogi pożarowej, a zwieńczone prostą kamienną ozdobą, podobną do tarczy, z dziewiątką w charakterze herbu. Co zaś w tej chwili najważniejsze – skutecznie broniły wstępu do budynku.

Moją frustrację dodatkowo pogłębiało nieciekawe otoczenie – ulica była zbyt zwyczajna, spokojna, nic nie pasowało do obrazów, jakie pojawiły się w mojej głowie po odkryciu fotografii. Zupełnie wytrąciło mnie to z równowagi. Co miałam zrobić? Można patrzeć na życie jako najeżone przeszkodami, które omijamy lub pokonujemy, ale jak dostać się do budynku strzeżonego przez elektroniczny domofon? Nacisnęłam kilka przypadkowych guzików. Nie miałam nic do stracenia. Mogłam tylko czekać, aż otworzy mi ktoś z mieszkańców. Wsłuchiwałam się w hałas samochodów jadących szerokim bulwarem Montparnasse i paliłam jednego papierosa za drugim.

Ponownie spróbowałam z domofonem. Dziewczynki zaczęły na mnie dziwnie patrzeć. Wciskałam zupełnie bezsensowne kombinacje klawiszy i musiały zdać sobie sprawę, że nie wiem, co robię.

– Kod ma tylko cztery cyfry, proszę pani.

Jedna z blondyneczek kręciła piruety, ale teraz zatrzymała się, zaintrygowana moim osobliwym zachowaniem. Po co mi to wszystko? Dlaczego uparłam się, żeby lepiej poznać życie kobiety sterującej moim losem? Chciałabym wiedzieć, ale pod tą bramą przy rue Campagne Première 9 stałam jak plażowicze czekający na morskim brzegu na odpowiedź Neptuna.

Mama zawołała córki do warzywniaka i pobiegly pomóc jej z zakupami. Najwyraźniej mieszkały w tym budynku, ale jak wśliznąć się za nimi do środka? Dzieci widziały, że czatuję pod drzwiami bez kodu do domofonu. Jednym susem znalazłam się pod wejściem i zastygłam na krawężniku, czekając, aż otworzą. Wtedy wystarczy odpowiednio ustawić stopę i już. Nisko upadłam, ale nie miałam innego wyjścia. Gdyby nie dziewczynki, byłoby łatwiej.

Zbliżyłam się trochę, kiedy dotarły do budynku. Otworzyły drzwi i weszły. Wsunęłam stopę w szczelinę, ale starsza z sióstr obrzuciła mnie morderczym spojrzeniem, z mocno zaciśniętymi ustami, jakby trzymała już palec na spuście karabinu. Musiałam się cofnąć, zanim jej matka zdała sobie sprawę z obecności intruzki. Życie bywa niesprawiedliwe.

I znów znalazłam się w punkcie wyjścia, w odpowiednim miejscu, ale po niewłaściwej stronie bramy. Czekanie coraz bardziej mi się dłużyło, a nikt z przechodniów nie kierował się do dziewiątki. Wszyscy mijali mnie w drodze na Montparnasse albo stację Raspail. Nie odrywałam wzroku od fasady zaprojektowanej przez Taberleta – jego nazwisko, wyryte w ścianie na wysokości pierwszego piętra, stanowiło jedyny znak szczególnej budowli.

Punktualnie o jedenastej z wnętrza dobiegł mnie cichy odgłos toczących się kółek. Drzwi się nagle otworzyły: siwowłosa pani ciągnęła ogromny zielony kontener na śmieci. Uznałam, że najlepiej się uśmiechnąć. Przypomniały mi się słowa przypisywane Franklinowi: „Uprzejmość okazuj wszystkim, serdeczność – wielu, poufałość zostaw dla nielicznych”. Postawiłam na to ostatnie, potrzebowałam zaufania dozorczyń. Miała na sobie obszerne spodnie w jaskrawą kratę, wygodne pantofle na grubej podeszwie i o dwa rozmiary za duży płaszcz, który wyglądał jak wielki, ciemny wór. Pulchna figura i rumiane policzki zachęcały nawet obcych do nawiązania rozmowy. Widocznie o tej porze wystawiała śmieci na ulicę. Nie zauważyła mnie czającej się wcześniej przed bramą, teraz więc uśmiechnęłam się i gestem dałam do zrozumienia, że chcę wejść. Nie wierzyłam, że mi się uda, ale rzuciłam się do drzwi.

– Wypuści mnie pani? – zapytała.

– Proszę.

Jak idiotka zastawiałam jej drogę i uniemożliwiałam wyniesienie śmieci. Odsunęłam się, przytrzymałam drzwi i tak znalazłam się za bramą prowadzącą do domu pod numerem 9 przy rue Campagne Première. Irytacja ustąpiła miejsca radości – wreszcie dostałam się do środka. Teraz mogłam odprężyć się i rozejrzeć dookoła.

Stałam w dość szerokim, pełnym światła korytarzu. Nie miał dachu, a po obu stronach ograniczały go trzy piętra wielkich, sięgających od podłogi do sufitu okien o ramach z kutego żelaza. Niektóre były zasłonięte. Dalej przejście prowadziło nieco w dół, do drzewa – chyba – figowego, i oddzielało mieszkania od niedużego ogródka. Roślinność niemal zupełnie zarastała mur na końcu zaułka. Miejsce wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się tu w poprzednim stuleciu, a kubły do segregowania odpadów stanowiły jedyny współczesny element w tej ruinie. Na fasadzie skraplała się wilgoć z rur powyginanych we wszystkie strony w ucieczce przed kolizją z innymi przewodami. Pierwsze drzwi po prawej zdawały się niezmienione od 1900 roku. Znow przeszedł mnie dreszcz, jak wtedy w madryckim antykwariacie, takie samo wrażenie, że wzywa mnie inny, obcy świat. Na podwórku panowała atmosfera jak w muzeum czy wręcz mauzoleum. Czuć tu było magię, tak jak w całym tym ciągu nadprzyrodzonych zdarzeń, które zaprowadziły mnie do Paryża. Przy dźwięku kropel deszczu uderzających o rzędy ogromnych szyb atmosfera stała się niemal liryczna. Przepęlniała mnie dziwna energia i zdawałam się czuć obecność Alice, nie widziałam jej, ale miałam wrażenie, że jakaś aura, duch czy zjawa z innego wymiaru zbliża się do mnie z końca korytarza. W każdej chwili spodziewałam się, że kobieta w stroju z epoki pomacha do mnie z okna, uprzejmie zaprosi na herbatę i wszystko wytłumaczy. Znalazłam się w końcu w wyjątkowej sytuacji, żyłam niemal wyłącznie przeszłością. Po co to robiłam? Chciałabym zrozumieć, co właściwie skłoniło mnie do tej wycieczki, ale nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Turystka? Może tu sobie pani pochodzić, ale nie dalej niż do studni.

Prawie opadła mi szczeka – czaiłam się na ulicy jak przestępca, a mogłam po prostu

wejść i obejrzeć wewnątrz. Siwowłosa dozorczyńni musiała mieć trochę po siedemdziesiątce, mieszkała w tym samym budynku.

W strzeżonym budynku, gdzie kryły się odpowiedzi.

– Pani z Hiszpanii?

– Tak, z Madrytu, ale mieszkam w Paryżu. Nie słyszałam wcześniej o tym miejscu.

– To już nie to, co dawniej...

– A jak było dawniej? – podchwyciłam.

Staruszka przemieszczała kontenery w tę i z powrotem, osobliwie kiwając się przy tym na boki, ale wciąż z uśmiechem na twarzy. Tyle było zamieszania z tymi śmieciami, że w końcu przyszłam jej z pomocą, mimo protestów: „to moja praca!”. Podeszła do studni i zaczęła nabierać wody do miednicy. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Rozplątała gumowy wąż do podlewania i przygotowała go sobie przy wejściu do ogródka. Tymczasem zamyśliłam się i przyglądałam nielicznym oznakom życia widocznym przez okna. Moich uszu dobiegł jakiś hałas, potem dostrzegłam za zasłoną jednego z mieszkańców. Nic szczególnego. Nie spuszczałam dozorczyńni z oka i czekałam na odpowiedni moment, żeby wejść bardziej w głąb. Udało się. Nie minęło nawet dwadzieścia sekund, kiedy wystraszył mnie jej głos. „Nie wolno tam pani wchodzić”, usłyszałam z klatki schodowej. Patrzyła, jak ściskając kurczowo torebkę, rozglądałam się po oknach. Być może ze względu na mój wygląd – młoda, niezależna, po parysku elegancka kobieta – dozorczyńni obdarzyła mnie zaufaniem. Podeszła do mnie, kiedy skończyła pracę. Powiedziała mi potem, że zwróciła uwagę na moje spojrzenie. Z początku wyglądałam na typową turystkę, zagubioną i rozglądającą się „jak głupia” po przypadkowym budynku. Poruszyło ją jednak wrażenie, jakie zrobiło na mnie podwórko.

– Przypomniało mi to moją własną reakcję. Wzruszyłam się – mówiła, próbując złapać oddech po ciężkiej pracy – kiedy zobaczyłam wyraz pani twarzy po kilku zaledwie krokach.

– Dlaczego?

– Rzadko bywają tu turyści. Z początku myślałam, że pani się zgubiła, a potem, że pewnie jest pani dziennikarką i chce mnie wypytać o pana Ardissona, Mathieu Ardissona.

– A kto to?

– Nie słyszała pani o nim? Znany francuski dziennikarz. Dzentelmen.

– Ach, tak... – Udałam, że wiem, o kim mowa.

Mój wzrok bezwiednie powędrował do wielkich okien. Kiedyś musiały znajdować się za nimi pracownie czy warsztaty. Tylko to łączyło się z Alice. Dozorczyńni wyrecytowała jak automat:

– Patrzy pani na dawne atelier artystów, którzy porzucili Montmartre w poszukiwaniu inspiracji po drugiej stronie Dzielnicy Łacińskiej. Jak widać, mieszkania były świetnie oświetlone, a w dodatku niedrogie, więc chętnie osiedlali się tu i pracowali. Taberlet,

architekt, który zaprojektował ten budynek, wykorzystał w konstrukcji materiały z pawilonów rozebranych po wystawie światowej z 1889 roku. Tej z wieżą Eiffla. Wszystkiego, co zostało po tym wydarzeniu, użyto przy budowie tego domu...

Nagle oczyma duszy ujrzałam zdjęcia znalezione w piwnicy.

– Ale nie ma tu już malarzy i fotografów? – zapytałam.

– Nie, skąd. Teraz mieszkają tu rodziny z dziećmi. To były inne czasy, inny Paryż... Inny Paryż! – mówiła tęsknym, rozmarzonym głosem.

Otaczały mnie pracownie paryskich malarzy z początku dwudziestego wieku. To za jednym z tych okien Alice pozowała do aktów.

– Jak się pani nazywa? – spytałam.

– Nieważne, nie zależy mi na sławie.

Uśmiechnęłam się na widok malującej się na jej twarzy kokieterii, tak nieprzystającej do wieku. Odgarnęła szare włosy. Zza drewnianych drzwi naprzeciwko studni dobiegał głos jednego z sąsiadów – miał dla niej jakieś koperty. Wykorzystałam chwilę jej nieuwagi, by zapamiętać numer mieszkania pana Ardissona. Mathieu Ardissona.

ROZDZIAŁ 13

– To ja, Alice! – krzyknęłam, stojąc w bramie.

Nie wiem, czy z nagromadzonego strachu, czy z dotkliwego braku pieniędzy cała trzęsłam się z nerwów, a głos mi się załamał. Kazano mi stawić się pod tym adresem i oto przyszedłam. Stałam w wejściu do pracowni artystów przy Campagne Première.

– Alice Humbert!

Musiałam krzyknąć jeszcze kilka razy, żeby usłyszeli. „To ja, Alice! Alice, ta z poniedziałku”. Na początku byłam trochę zbita z tropu, ale potrzeba zarobku zwyciężyła: wzięłam głęboki oddech, szczerzej owinęłam się płaszczem i weszłam w korytarz prowadzący do wnętrza budynku. Wspięłam się po schodach, przygładziłam włosy – zostawiłam niewielkie loczki za uszami, bardzo mi się podobały – poprawiłam szminkę i sprawdziłam, czy kołnierzyk przy bluzce jest na swoim miejscu. Nie dalej jak pięć minut temu wyglancowałam buty, ale jeszcze raz przeciągnęłam je chusteczką, zanim nacisnęłam dzwonek, podekscytowana w obliczu nowego wyzwania. Kiedy drzwi się otworzyły, ciągle jeszcze klęczałam, zawzięcie pucując, żeby sprawić wrażenie czystej i schludnej. On stał przede mną w białym kitlu, cały poplamiony różnokolorowymi farbami, z zapalonym papierosem w kąciку ust – wyglądał na bezczelnego i nie budził zaufania. To najgorsze, co mogło się zdarzyć, żeby jeszcze bardziej pogłębić mój lęk przed pozowaniem nago. Pięciu pozostałych chłopaków obecnych w atelier od razu wyczytało to z mojej twarzy.

– To pani pierwszy raz, co? – celnie zapytał najmłodszy, widząc, jak kurczowo ściskam torebkę i ani myślę ruszyć się z miejsca, sparaliżowana na progu pracowni.

– Tak – wyjąkałam.

– Proszę wejść, szybko zrobić, co trzeba, i po wszystkim. Tak najłatwiej zapomnieć o nagości, zresztą to tylko wymóg formalny sztuki. Osobiście mamy już po uszy oglądania nagich kobiet.

– Jest tu jakiś inny pokój? – zapytałam.

– Po co?

– Żebym mogła się rozebrać.

Wybuchnęli śmiechem, jakbym opowiedziała świetny dowcip, ale nie patrzyli na mnie – zerkali po sobie jak koledzy przy kieliszku. Należeli do tych, co tubalnie rechoczą, zarażając się wzajemnie śmiechem i nadmiernie gestykułując, żeby podkreślić swoją męskość. Przyłgnęłam do rury od piecyka. Zmarzłam na ulicy.

– Myślałby kto, że to Akademia Colarossiego! U nas musi się pani rozebrać na miejscu. To jest cała pracownia, widzi pani. Tylko pani i my.

Brzydki, zawalony rupieciami pokój wyglądał jak speluna, ale każdy wolny fragment przestrzeni zajmowały sztalugi i obrazy. Na ścianach, podłodze, w kątach... Nie wiem, z czego się śmiali. Na pierwszy rzut oka widać było, że jestem przerażona, drżałam ze strachu i chciałam natychmiast obrócić się na pięcie i uciec gdzie pieprz rośnie – najwyraźniej to ich tak bawiło. Potrzebowałam pieniędzy. Na trzydziestu metrach kwadratowych upchnięto w studiu rzeźby, grafiki i oleje przedstawiające nagie kobiety.

– To ulubiony temat Kislinga – powiedział ten z wąsami, kiedy spojrzałam na ścianę, w całości zapełnioną podobiznami gołych modelek o białych piersiach i szerokich biodrach.

Ktoś odparł pompatycznie:

– Widok pięknej, rozebranej kobiety napawa mnie radością, pożądaniem, pragnieniem miłości i szczęścia, i mam nadzieję, że wszystkie te uczucia udaje mi się przenieść na płótno. Chcę, by życie było piękne, pełne pasji, atrakcyjnych kobiet i kolorów. Jestem szczęściarzem. Lubię samochody, śpiew, życie, kobiety. Powtarzam: jestem szczęściarzem. Panie tu przychodzą, a ja mogę was malować.

Kisling wygłosił swoje przemówienie, stojąc do nas tyłem, ze wzrokiem utkwionym w oknie. Obrócił się i powoli otaksował mnie od stóp do głów z typową arogancją wielkiego artysty.

– Co to za nowa dziwka? – wypalił.

To pierwsze słowa, jakie padły z jego ust na mój widok. Powiedział to prosto z mostu. Bez najmniejszego zająknięcia przeszedł od wywodu o kobiecym pięknie do tej obcesowej uwagi, skierowanej nawet nie do mnie, ale do jednego z malarzy. Zaczęłam cała drzeć, a on okrutnie wyzywał mnie od ladacznic i syfilityczek. Był pyszny, arogancki, zarozumiały, wstrętny, gruby. Chciał udowodnić, że jestem tylko porządnym kawałem mięsa wystawionym na sprzedaż w masarni. Nie odezwałam się ani słowem i – upokorzona – zaczęłam się rozbierać.

– Skąd się tu wzięła? – zapytał, zbliżając się do mnie powoli, aż nosem dotykał niemal mojej szyi.

– W poniedziałek wypatrzyłem ją na targu, obiecałem jej umowę na trzy miesiące – odparł wąsacz, który wcześniej otworzył mi drzwi.

– A ona mówić nie umie? – zapytał młodego Kisling, nie przestając badawczo mi się przyglądać.

– Umie, mistrzu. Wybacz. To piękna dziewczyna, kazałem jej przyjść. Czuję, że się spodoba.

Kisling skinął głową. Pożerał mnie wzrokiem, a ja tymczasem – ignorując jego grubiańskie uwagi – rozbierałam się, żeby mieć to już za sobą. Chciałam zapaść się pod

ziemię ze wstydu.

Kładłam kolejne części garderoby na stojącym przy sztalugach krześle, wbijając wzrok w brudną podłogę z desek. Jakie miałam wyjście?

W poniedziałkowe poranki odbywał się „targ modeli”. Już od świtu na bulwarze Montparnasse zbierały się całe rodziny i przechadzały grupkami wzdłuż rue de la Grande Chaumière z nadzieją, że za kilka dni zmienią się w madonny, cherubinów, mitycznych herosów czy klasyczne boginie. Dowiedziałam się, że zazwyczaj zatrudniano na tydzień. „Co tydzień nowa modelka”, mówili. „I nie najgorzej płacą”. Najlepszym dziewczynom oferowano nawet trzymiesięczne umowy na pozowanie w pracowni. Do tego ciepła, pożywna zupa, kawa, a czasem nawet zakwaterowanie w pobliskim hotelu. Wystarczało milczeć i siedzieć nago bez ruchu, żeby zarobić na życie. Jeśli modelka przypadła artyście do gustu, pieniądze zaczynały płynąć szerszym strumieniem, bo inni malarze też chcieli korzystać z jej usług. Podczas pierwszej wojny światowej rząd uznał włoskie modelki za „bezrobotnych cudzoziemców” i masowo je deportował. Dzięki temu biedne paryżanki uzyskały nową możliwość zarobku.

- Nie śpieszy się z rozbieraniem, widywałam szybsze – zrzędził.
- Ma szczęście, że jest niebrzydka – zauważył inny.
- Ze świecą teraz szukać nieśmiałycho – dodał ten z brodą, gdy zdejmowałam spódnice.
- Mama wam nie powiedziała, że czasy się zmieniły? Nie widzicie, że właśnie zaczyna się nowoczesność! Stoimy u progu nowego wieku!

Krzyczeli jeden przez drugiego.

Najmłodszy wzruszył ramionami. Podeszedł do mnie, stojącej obok postumentu, gdzie miałam pozować, i przyjrzał się, jakbym była płótnem czy zestawem farb.

– Jesteś piękna, bije od ciebie światło – powiedział. – Masz szczęście. Będiesz mogła przeistoczyć się w co tylko zechcesz, boginię czy cudowną nimfę leśną. Dzięki Kislingowi trafisz do muzeów.

Zapytał mnie o imię, nie patrząc mi w oczy, i gestem podbródka nakazał ściągnąć to, co jeszcze miałam na sobie – bieliznę.

– Chcę ujrzeć cię nagą. Teraz, w tej chwili. Oni też – rozkazał Kisling.

Ostatni krok.

Zrzuciłam ubranie. Weszłam na postument. Wszyscy patrzyli...

Sutki mi zeszywniały. Zgrabiającymi z zimna dłońmi zakryłam łono.

– Ręce rozluźnione, ramiona opuszczone wzdłuż ciała, mają wisieć luźno, łokcie wyprostowane – dodał automatycznie. – Jeśli pani zimno, proszę przysunąć się do piecyka.

Ani krzty serdeczności, żadnego czułego gestu, kamienne twarze. Albo udawali, że nic sobie nie robią z nagiej osiemnastolatki, którą mieli tuż przed nosem, albo w ich artystycznym światku wypadało udawać wszystkowiedzących arogantów.

Na podeście ustawili krzesło – mogłam na nim usiąść, żeby nie drżały mi nogi – „nowe zawsze trzęsą się jak galareta, nie da się malować, dopóki się nie uspokoić”.

– Pierwszy szkic zrobimy tak, potem będzie panna musiała przybierać inne pozy, takie jak te piękności pokrywające ściany. Jak widać, żadna filozofia i *nihil novi*. Po uszy mamy piękna. Na razie proszę siedzieć i zapleść ręce, jakby czekała pani na nadejście nocy.

Znieruchomiałam i rozglądałam się po sali pełnej obrazów kobiet w sugestywnych pozach – ja miałam być tylko kolejnym okazem w kolekcji. Otaczała mnie armia podobnych dziewczyn: jedne w zakrywających co nieco tunikach, inne owinięte pasami materiału, przywiązane do pnia, większość zaś z brutalnie wystawionymi piersiami. Jedna z modelek przewijała się przez obrazy wyjątkowo często – śliczna dziewczyna o promiennym uśmiechu i pomalowanych oczach. Wszystkie te nieznajome, białoskóre kobiety o widocznych wzgórkach łonowych zdawały się przyglądać sesji, w której to ja pozowałam. Kisling zwrócił się do uczniów i zaczęli wymieniać poważnym tonem enigmatyczne uwagi. Wyłączyłam się i zapomniałam o nich. Zaproponowali mi alkohol, ale odmówiłam. Dość się nasłuchiwałam o pracy z malarzami i wolałam zachować ostrożność. Musiałam pamiętać, że siedzę tam naga.

Znacząco kaszleli, kiedy ruszałam się nerwowo lub przez chwilę garbiłam, więc natychmiast wracałam do ustalonej pozy. W pewnej chwili kazali mi wyprostować szyję. Mistrz zapytał, czy najadłam się porządnie przed przyjściem, bo „czeka mnie wiele godzin pracy”. Skłamałam, że tak, choć w rzeczywistości od wielu dni musiałam zadowalać się jednym posiłkiem dziennie, dzięki uprzejmości Chez Rosalie. Chętnie przyjąłam filiżankę kawy i pozowałam dalej.

Wciąż trwali niewzruszeni, przypominając mi tylko, że co dwadzieścia minut mogę odpocząć, żeby nie zdrętwiały mi kończyny. Lekko szczypałam się w nogi, żeby zupełnie nie zeszywniały. Inna sprawa, że właściwie nie mogły mi zdrętwieć – drżałam od stóp do głów, ze wstydu i przerażenia, a malarze to patrzyli na mnie spod półprzymkniętych powiek, to szeroko otwierali oczy. Uważałam ich za szaleńców. Tak mijały kolejne dni. Z każdą kolejną sesją coraz bardziej pozbywałam się strachu (może powinnam powiedzieć: wyzwalałam się?). Zaraz po przyjściu rozbierałam się i piłam kawę już naga, krążąc pomiędzy ich sztalugami i oceniając postęp pracy. Widok kobiecego ciała nie był dla nich żadną nowością. Coraz łatwiej przychodziło mi się obnażyć i wytrzymać ich spojrzenia. Już nie uciekałam wzrokiem. Zamiast bólu i wstydu zaczynałam czuć się atrakcyjna, pożądana. Stałam się świadoma swojego seksapilu i zaczęłam eksponować wdzięki. Pewnego wieczoru, pijąc w przerwie wodę, poczułam, jak strużka spływa mi po szyi. Jeden z malarzy wytarł mnie, żebym nie straciła równowagi na postumencie. Jak długo pozowałam tak, podziwiana przez mężczyzn, którzy palili papierosy i raz za razem podnosili wzrok znad płócien? „Jesteś kobietą i potrzebujesz pieniędzy”, upominałam sama siebie. Kisling zbliżał się, z nosem na wysokości mojego pępka, tuż nad łonem, i zmieniał ustawienie moich rąk, przesuwając nieco biodro, zginał nogę i zadowolony wracał na

miejsce, nawdychawszy się zapachu mojej skóry. Pozostali byli bardziej powściągliwi, ale nie on. Tak jak wcześniej nauczyłam się opuszczać swoje ciało, kiedy zdejmowałam ubranie, tak w tych chwilach zaczęłam czuć się jak gwiazda pracowni. Cały dzień spędzałam nago, a wstyd schował się gdzieś pomiędzy frankami wypychającymi kieszenie. Miałam to, czego potrzebowali. Mój oddech, z początku płytki i przyśpieszony, z czasem uspokoił się i koił mnie jak kołysanka.

Być może wskutek artystycznej atmosfery, jaką roztaczał, po jakimś tygodniu oczy Kislinga zaczęły zdawać mi się interesujące. Wyglądał strasznie – gruby i obły – ale nadrabiał męskim, prowokacyjnym zachowaniem. Za nic nie chciałam pokazać się z nim publicznie. W końcu nadszedł ten dzień. Zawsze na koniec dnia zostawaliśmy sami – ja się ubierałam, a on dawał mi pieniądze. Wciąż jeszcze naga umyłam twarz i złapałam ubrania w udawanym pośpiechu. Czułam, że mnie osacza.

– Do widzenia – wydusiłam.

– Już pani idzie? – odparł, grzebiąc w kieszeni spodni w poszukiwaniu franków. – Dokąd się pani wybiera?

– Do domu.

– Mieszka pani pewnie w pobliżu?

– Nie bardzo, koło Mouffetard.

– Ach, to piękna okolica.

– Mój dom nie należy do najpiękniejszych...

Sprawiał wrażenie, jakby musiał udzielić sobie pozwolenia na pożądanie. Zbliżał się do mnie najwolniej, jak potrafił, i zauważyłam, że dłonią, którą nadal trzymał w kieszeni, dotyka członka. Wiedziałam, że w tej chwili powinnam jak najprędzej stamtąd wyjść, ale nie ruszyłam się z miejsca. Im wcześniej do tego dojdzie, tym lepiej. Nie chciałam stracić pracy. Przyzwyczaiałam się już do zainteresowania mężczyzn – jeden więcej nie robił różnicy.

W każdą niedzielę wraz z mamą, tatą i rodzeństwem chodziliśmy do domu Fresnaultów na zupę cebulową. Dodawali do niej dużo sera i był to jedyny porządny, wysokokaloryczny posiłek, jaki mieliśmy okazję zjeść przez cały tydzień. Para staruszków miała kawałek ziemi za Laskiem Bulońskim i mimo podeszłego wieku uprawiała warzywa na własne potrzeby. Mój ojciec po cichu liczył na to, że ta ziemia, z taką czułością i oddaniem kultywowana przez Antoine'a, przejdzie kiedyś w nasze ręce. Dlatego przed każdą wizytą upominał nas, żebyśmy dobrze się zachowywali, ucałowali panią Madeleine i zaśpiewali jakąś ładną piosenkę. „Z uczuciem, jak wiersz”, mówił. Państwo Fresnaultowie pozostali jedynymi przyjaciółmi rodziny, bo po wybuchu wojny wszyscy sąsiedzi zaciągnęli się do armii z dziarskim okrzykiem: „Na Berlin!”. W ogólnej euforii i żądzy zemsty za niesprawiedliwą porażkę sprzed lat – tłumaczyła matka – każdy chciał zostać żołnierzem

i przechadzać się ulicami w mundurze, jak w drodze na bal przebierańców. Radosny nastrój psuł się jednak wraz z kolejnymi ofiarami. Z frontu nieustannie dochodziły wieści o zabitych, rannych młodych chłopcach z amputowanymi kończynami, oczach wylupionych przez szrapnel, trujących gazach i innych okropnościach. W szpitalu wojskowym rozgrywały się dramaty, okolica stała się najsmutniejsza w całym Paryżu. Mój ojciec również zgłosił się na ochotnika, ale nie wzięto go z powodu słabego zdrowia. Z tego samego powodu zmarł miesiąc przed końcem wojny. Biedny, nawet nie dożył czasów pokoju. Matka ostrożnie dobierała słowa, żeby nas nie zranić: „Ojciec nigdy nie miał w życiu szczęścia. Musimy spróbować odmienić los”, mówiła zmęczonym głosem osoby świadomej, że nieszczęście spadło na jej dom jak plaga i nieprędka uda się jej pozbyć. Przytuliła nas, ucałowała i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z żałoby. Zasiłek nie wystarczał nam na życie, więc matka musiała pójść do pracy. Zatrudniła się jako salowa w klinice położniczej Baudelocque’a.

Mijały miesiące, a my nadal co tydzień jedliśmy obiad u Fresnaultów. Pewnego dnia pędziłam do domu z kliniki, kiedy w jednym z krętych zaułków naszej dzielnicy wpadłam na doktora Bellvera – zatrzymał mnie i zapytał, jak nam się układa. Znałam go z opowieści matki jako tyrana, który wrzeszczał na wszystkich w szpitalu – pielęgniarce, położne czy salowe. Przytrzymał mnie za ramię. Miał na sobie szyty na miarę garnitur z kolorową chusteczką w butonierce. Zaciągnął się papierosem i uśmiechnął uspokajająco. Zdziwiłam się, że drzę pod jego spojrzeniem – zwykle niczego się nie bałam, ale ten człowiek miał w sobie coś z dyktatora. Sąsiednią uliczką przeszła grupa żołnierzy i chciałam nawet prosić ich o pomoc, ale pomyśleliby, że zwariowałam – w biały dzień, na środku ulicy rozmawiałam z szefem matki, szanowanym lekarzem. Rzucił niedopałek na ziemię, mocno przydeptał i zmusił mnie do patrzenia sobie prosto w oczy. Pytał o mamę, a jego paskudny wzrok nie pozwalał mi wydusić z siebie nawet słowa. Nagle poczułam, że ukradkiem dotyka przez bluzkę moich piersi, nic sobie nie robiąc z tego, że ledwo duszę w sobie krzyk protestu. Coraz śmielej mnie obmacywał, a jednocześnie ze złośliwym uśmieszkiem gadał trzy po trzy, żebym milczała.

– Jesteś bardzo ładna, wyrośniesz na piękną kobietę... Jak matka.

Nigdy nie zapomnę jego mętnego wzroku i sposobu, w jaki oblizwał wargi, jak wilk tuż przed pożarciem ofiary. Obecność tego człowieka stała się codziennością, osaczał mnie niczym bluszcz tak długo zarastający fasadę domu, aż pochłonie ją do reszty. Zawsze znajdował mnie na ulicy. Jednego dnia, drugiego, kolejnego. Przy powitaniu wtrącał imię mojej matki, jakby grożąc, że stanie się jej coś złego. Przechodnie niczego nie zauważali. On aż ślinił się na mój widok i przejmował nade mną kontrolę. Zawsze się uśmiechał, jakby naprawdę obchodził go nasz los po śmierci ojca, a ja aż dusiłam się od dobrych manier tego generała w białym fartuchu. Raz spotkaliśmy się w innej części miasta. Wyłonił się zza rogu jak duch, potknęłam się i upadłam na twarz. Byliśmy pod drzwiami do jego domu i bez ceregieli próbował wciągnąć mnie do środka. Na szczęście w tej samej

chwili zjawił się jakiś jego znajomy: „Miło pana widzieć, doktorze!”. Wyswobodziłam się, a on wyszczerzył żółte zęby.

Przynajmniej cztery razy próbował dopiąć swego.

Matka bez słowa patrzyła, jak staję się kobietą i oglądają się za mną mężczyźni. Obie czułyśmy, że ich spojrzenia bezlitośnie mnie penetrują. Tak dorastałam.

Już od kilku tygodni pracowałam u Kislinga. Jak w każdą niedzielę wracaliśmy z obiadu u Fresnaultów i matka chciała dowiedzieć się, co właściwie robię w atelier przy Campagne Première. Szłyśmy pod rękę, kiedy nagle spoważniała, spojrzała na mnie i rzekła:

– Strzeż swojego serca, Alice. Ale przede wszystkim strzeż swojego ciała.

Od dziecka chciałam być jak ona – rozsądna, zaradna, piękna i schludna, z włosami zebranymi w elegancki kok i zawsze wyprostowana, jak jedna z dam chodzących do opery. Ja jednak odziedziczyłam po ojcu zielone oczy, blond włosy i próżność.

Późnym wieczorem, przy kominku, gdy rodzeństwo już spało, matka, cerując rękaw białego fartucha z porodówki, myślała pewnie, że moje poświęcenie dla sztuki znajduje inne ujścia. Choć tłumaczyłam jej w kółko, że tylko pozuję, nie rozumiała, jak mogłam pozwolić sobie na tę nową sukienkę w zielono-niebieskie paski. W końcu usiadła obok mnie jeszcze bliżej niż wcześniej. W ciszy, jaka zapadła, dało się słyszeć trzask drewna w kominku. Zaczęła mówić, a wargi drżały jej z zażenowania.

– Możemy porozmawiać, Alice?

– Tak, mammo?

– Wszystko w porządku, córeczko?

– Oczywiście.

– Nie jest łatwo matce utrzymać cały dom.

– Wiem, mammo. Jesteśmy silni.

– Robię, co mogę, Alice.

Choć siedziałyśmy w ciemności rozjaśnionej jedynie blaskiem z kominka, jej oczy rozświetlały pokój bardziej niż pełgające płomienie.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa, mammo.

– Dużo czasu spędzasz w tej pracowni.

– I płacą mi za ten czas, chociaż nic nie robię.

– To właśnie mnie zastanawia...

– Mammo, naprawdę, nie zadręczaj się.

Wyraz twarzy matki zmieniał się, w miarę jak spalały się drwa w kominku. Udzielało mi się jej zdenerwowanie i nie potrafiłam przywołać na twarz uśmiechu, żeby ją uspokoić.

Przez chwilę milczałam.

– Wiem, że nasza sytuacja nie wygląda najlepiej, tata odszedł, nie na wszystko nam starcza... Brakuje nam pieniędzy. Fresnaultowie obiecali podzielić się z nami tym, co mają z ogródka. Wiem, że chcesz dokładać się do domowej kasy i dlatego zadałaś się z tymi artystami, ale nie musisz...

– Czego nie muszę?

– Damy sobie radę.

– Wiem. Chcę tylko pomóc.

– Próbuję wytłumaczyć, o co mi chodzi.

– Mamo...

– Nie chcę, żebyś... zeszła na złą drogę.

– Ależ skąd – odparłam. – To tylko pozowanie. Kiepsko płatna praca, ale nie muszę nic robić.

– Nic?

Zamilkłyśmy. Moja odpowiedź nie uspokoiła matki, w jej oczach ciągle gościł niepokój. Ogień wciąż głośno trzaskał w kominku; złapałam pogrzebacz i poruszyłam drwa. Matka pochylała się w stronę kominka, skulona jak na modłach, jakby modliła się za mnie. Nietrudno się domyślić, co jej chodziło po głowie. Szybko zresztą zapytała:

– Alice, nie chodzisz chyba na plac Maubert?...

W piątej dzielnicy, na lewym brzegu Sekwany, w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej zbierało się dziesięć tysięcy paryskich bezdomnych. Przede wszystkim jednak znajdował się tam stary dom publiczny, odwiedzany przez najróżniejszych typów. Burdel dla włóczęgów, podobny do tego przy rue de Forcy, popularnego wśród fotografów i malarzy.

Siedziałam z otwartymi ustami i nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku, bo w pewnym sensie zostałam zdemaskowana. Ucałowałam matkę, mocno ścisnęłam jej dłoń i oczywiście zaprzeczyłam. Potem poszłam do kuchni i wybuchnęłam płaczem.

Kisling dokończył dzieła. Wyjął pieniądze, pomachał nimi ostentacyjnie i stwierdził, że modelki wielkich malarzy to nie kobiety, ale inspiracja. Podałam się mu. Zaczął pieścić moje piersi, było to niemal upokarzające – obmacywał je i miętosił, jakby chciał wziąć je sobie na własność. Po kilku minutach – nie wiem dokładnie, ile czasu minęło, bo skupiałam się na twarzach wszystkich nagich kobiet wiszących na ścianach pracowni – ręka Kislinga powędrowała w dół. Przesunął dłonią po moim udzie, a potem brutalnie wepchnął ją między nogi, jakby ciskał na półkę przeczytaną książkę. Sucha, szorstka skóra dłoni przypominała w dotyku pędy winorośli. Zimna sypialnia, którą dzieliłam z młodszym rodzeństwem, zupa cebulowa, sierpniowe upały, choroba ojca, plecy matki obolałe od szorowania podłóg i szycia fartuchów, obiecany ogród Fresnaultów, gówno, głód, mali bracia, ból... Wszystko to przemykało mi przez głowę, kiedy poruszał dłonią między moimi nogami i gryzł mnie w ucho pełne już jego śliny. Ciągłe coś mamrotał, ale nie pamiętam

i nie chcę pamiętać tych słów. Ścisnął mnie mocno i schylał się, żeby przyłgnąć do mojej szyi miękkimi, sflaczałymi wargami. Upadł na kolana, na chwilę znieruchomiał, zachwiał się, po czym zanurzył się we mnie i badał moje wnętrze aż padł, wycieńczony. Koniec. Rzecz jasna, nie otworzyłam ust. Nawet się nie uśmiechnęłam. Zabrałam pieniądze. W moim domu rodzinnym było jedno wąskie, wysokie okno, wdychaliśmy dym z pieca sąsiadów. Kiedy wyszłam z pracowni, uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam tak drogiej męskiej odzieży ciśniętej na podłogę.

– Możesz odsłonić okno, Alice?

Patrzyłam, jak wkłada spodnie. Podchodząc do okna, mimowolnie się zakryłam. Pierwszy raz w życiu oglądałam gołego mężczyznę, a ja sama, po tygodniach pozwania przed malarzami oceniającymi każdy skrawek mojego ciała, nigdy jeszcze nie czułam się tak naga. Ubierał się, ciągle jeszcze dysząc, a ja podeszłam do lustra, żeby sprawdzić, czy nie zostawił mi żadnych śladów na szyi – mogły zdradzić mnie w domu. Poczułam na sobie zapach mężczyzny i to mnie przeraziło – teraz wszyscy dowiedzą się, że spałam z Kislingiem. Zanurzyłam dłoń w słoju z terpentyną i wysmarowałam kolana przed założeniem pończoch i trzewików. Cuchnęłam. Miałam wrażenie, że ubieramy się całą wieczność, seks nie miał nic wspólnego z historiami opowiadanymi w paryskich spelunkach. Oczywiście nie mogę powiedzieć, żebym miała ochotę na powtórkę, choć wszystko w jego wzroku mówiło, że do niej dojdzie. Ochłonęłam, zawiązałam apaszkę i schowałam pieniądze do kieszeni. Chciał mnie pocałować, ale odskoczyłam do tyłu.

– Kup sobie za to perfumy, przydadzą ci się. Lepiej się maluje uperfumowane kobiety. Wydadaj choć parę franków na siebie, nikt ci nie podskoczy, kiedy będziesz świadoma swego piękna.

Spojrzał na mnie, a ja wstrzymałam oddech. Próbowalam uśmiechnąć się z wdzięcznością, ale postanowiłam jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Korzystaj.

Przyglądałam się, jak wymawia kolejne sylaby. Ko-rzys-taj. Jego głos odbił się echem.

ROZDZIAŁ 14

Druga w nocy. Nie mogłam zasnąć. Trzecia w nocy. Nadal nie spałam. Chwilami czułam niepokój, potem zmartwienie, później znów zwątpienie. Fotografie z piwnicy wciąż leżały rozrzucone na moim nowym łóżku. Ogarniały mnie sprzeczne uczucia: chciałam poznać historię zdjęć Alice, przekonana, że jeszcze w Madrycie zaczęła sterować moim życiem, a z drugiej strony – bałam się zagłębiać w cudze życie.

Cicha paryska noc to idealna pora, by pogrążyć się w melancholii. Leżałam więc w łóżku, nie mogłam zmrzyć oka i próbowałam w wyobraźni ożywić wszystkie te obrazy. Fotografie aż prosiły, by podążać ich śladem. Tańczyć, wznosić toasty, rozbierać się. A ja, zawsze tak porządna, ułożona, zorganizowana, i tak beznadziejna w sprawach sercowych... Ale nie z braku chęci, a z opuszczenia. Postanowiłam wstać i przenieść się na kanapę w salonie, pod oknem wychodzącym na rzekę – mieszkać w Paryżu bez widoku na Sekwanę to grzech. Choć tej nocy była oszałamiająco piękna, to jednak zmieniałam zdanie: w ciepłej pościeli czułam spokój i bezpieczeństwo. O siódmej wstałam, ubrałam się, a potem rozebrałam, i tak kilka razy, dla zabicia czasu. O ósmej wyszłam z domu – wciąż o wiele za wcześnie. Zaplanowałam wizytę u Mathieu Ardissona w celu uzyskania informacji o zdjęciach z piwnicy. Chciałam dowiedzieć się czegoś o dawnej właścicielce mojego sklepu – sądząc po nonszalancji, z jaką pozowała, jej historia musiała być dużo ciekawsza i bardziej zawila, niż mogłam przypuszczać.

Punktualnie o dziesiątej stawiałam się pod drzwiami dziennikarza.

– Pan Ardisson? Dzień dobry.

– Kto tam?

– Jestem... – zawahałam się – dziennikarką z Hiszpanii, przyjechałam właśnie do Paryża i podano mi pana nazwisko.

– Czym mogę służyć?

– Mam kilka fotografii pewnej kobiety, pochodzą z lat dwudziestych. Podobno może to pana zainteresować.

Drzwi się otworzyły. Zainteresowanie zdjęciami szło u niego w parze z gościnnością. Tuż za progiem spowiła mnie dobiegająca zewsząd muzyka klasyczna, ale nie potrafiłam rozpoznać utworu pomimo obowiązkowych zajęć z solfeżu od dziesiątego roku życia.

– To *L'art du violon* Pierre'a Baillota.

W milczeniu wsłuchiwałam się w dźwięki.

– Tak... – odparłam, zasłuchana.

– Proszę wejść, pani...

– Teresa. Teresa Espinosa.

– Proszę usiąść. Słucham, o co chodzi? Zaczniemy od początku. Wie już pani, że kolekcjonuję fotografie z początku dwudziestego wieku...

Żeby uzyskać tę informację, wystarczyło wpisać jego nazwisko w Google. Historyk dokonał prawdziwych cudów – zebrał i uporządkował ogromne ilości materiałów z archiwów, bibliotek i prywatnych zbiorów, ponadto organizował liczne wystawy, a do tego codziennie odwiedzał stare galerie sztuki, w większości zamknięte dla zwiedzających, by pozyskać kolejne okazy do kolekcji.

– W Paryżu najbardziej lubię spacerować bulwarami nad Sekwaną, zaglądać do bukinistów – zaczęłam, żeby przełamać lody – zwłaszcza tam, gdzie wystawia się zdjęcia z epoki...

– Większość z tych obrazów to kiepskie kopie. Sklepiki nad Sekwaną mają niewątpliwie swój urok, można czasem znaleźć tam prawdziwe skarby, jakieś stare żurnale czy książki pełne osobliwych dopisków. Ale proszę mi wierzyć: reszta to zwykła masówka, obliczona na turystów poszukujących Paryża filmowej Amelii. Wydaje im się, że wszyscy przechadzamy się pod wieżą Eiffla, nucimy piosenki Gainsbourga, a potem zajadamy naleśniki. Ale owszem, jest tam pięknie. Miasta, które pielęgnują przeszłość, lepiej planują przyszłość. I tak dzieje się w Paryżu.

– Wielokrotnie odwiedzałam Paryż, ale tym razem postanowiłam zostać na stałe.

– Zamieszkać w Paryżu?

– Tak. Marzyłam o tym od lat.

– I teraz spełniła pani marzenie. Z jakiego powodu? – Spojrzał na mnie, jakby dobrze mnie znał.

– Trudno to wyjaśnić... Chciałam zacząć od nowa.

– Rozumiem. To zawsze dobry powód – z uśmiechem odparł Ardisson. – Ale dlaczego?

– Może powinnam poszukać innej odpowiedzi?

Patrzył na mnie przebiegle.

– Nie, nie. Brzmi sensownie. Ech, Hiszpanie i te wasze marzenia o Paryżu...

Nerwowo zaplotłam dłonie.

– Mówiła pani, że jest dziennikarką. Myślałam, że przyjechała pani służbowo...

– Nie, zostaję tu. Postanowiłam odmienić swoje życie, nie wiem, na lepsze czy na gorsze, ale potrzebowałam zmiany i chcę, żeby to było tutaj. Nie wiem, co to miasto ma w sobie takiego, że...

– Zakochała się w nim pani – wtrącił komunał.

– Nie jestem pewna – odparłam. Czułam, że muszę odbudować swoją pozycję w tej rozmowie. – Paryż to nie miejsce, to stan ducha.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Mathieu Ardisson stoi przy wielkim oknie. Odsunął zasłony i przez olbrzymią, zajmującą całą ścianę szybę widziałam dozorczynię targającą kontenery na śmieci.

– Proszę mi opowiedzieć o tych zdjęciach.

Poczekaliśmy, aż z powrotem zajmie jeden z brązowych foteli. Wyjęłam trzy zdjęcia i ułożyłam na stole. Przyjrzał mi się bacznie i nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

– Skąd je pani ma?

– Z domu.

– Co pani opowiada? – wydusił z trudem, a oczy rozświetlił mu niezwykły blask, kiedy z bliska oglądał zdjęcia.

– Znalazłam je w domu.

Zarumienił się. Patrzyłam, jak z najwyższą czułością bierze do ręki jedną z fotografii.

Przez kilka minut milczeliśmy. Mathieu Ardisson wyciągnął z biurka dużą kwadratową lupę i oddał się szczegółowej analizie dostarczonych przeze mnie czarno-białych podobizn kobiet. Nawet na mnie nie spojrział, ale ja z przyjemnością patrzyłam, jak nie może oderwać wzroku od tych „małych dzieł sztuki” – sam je tak określił.

Usiadł. Wcześniej tak zaabsorbowały go fotografie, że krążył z nimi po całym salonie. Wciąż grała muzyka, skrzypce Baillota. Zaczęłam mówić:

– Proszę pana... Znalazłam te zdjęcia w piwnicy budynku, który niedawno kupiłam i zamierzam przerobić na sklep. Nie wiem jeszcze, co będę sprzedawać, ale na pewno zachowam dawny charakter lokalu. Nie chcę zmieniać oryginalnego zamysłu. Planuję odrestaurować budynek w najdrobniejszych szczegółach, ocalić wszystko, co się da. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale mam wrażenie, że kobieta najczęściej występująca na fotografiach, niejaka Alice, przywiodła mnie aż tutaj. Jak pan widzi, na wszystkich odbitkach umieszczono pana adres, proszę się przyjrzeć... – Podsunęłam mu jedno ze zdjęć.

Przytaknął i w zamyśleniu podkręcił węża.

– Pojawiają się też trzy imiona kobiece: Kiki, Treize i Alice... Z tego co widać, ich życie musiało być fascynujące. Nie sądzi pan? Kim były? Nie potrafię wybić sobie tego pytania z głowy, być może dlatego, że mam za dużo wolnego czasu, jestem samotna, brakuje mi zajęcia i z nudów fiksuję się na jednym temacie, ale...

Pan Ardisson chciał mi przerwać, jednak zmienił zdanie – widział, jak bardzo chcę wyrzucić z siebie to wszystko.

– Wie pan, dawniej bywałam albo przygnębiona, albo w złym humorze, a teraz... To wszystko jest bardzo dziwne. Nie wiem, czemu to panu opowiadam. Czuję impuls do działania. Wiem, to bzdura, kilka zdjęć, ale... Nie chodzi tylko o zdjęcia. Może pan się ze mnie śmiać, ale to właśnie dlatego dotarłam aż tutaj. Od lat szukałam szczęścia. Pomyśli pan pewnie, że jestem niezrównowazona.

W milczeniu słuchał mojej opowieści o szyldzie, samoczynnie grającej muzyce, świeżych kwiatach, niepokojącej obecności Alice... Nie przerywał i nie osądzał. Jego milczenie dodawało mi otuchy. Odezwał się dopiero, gdy wyrzuciłam już z siebie wszystko.

– Sam często zadaję sobie to pytanie: co nas motywuje do działania? Nie dziwię się, że czuje się pani zagubiona. Czułbym to samo.

– Naprawdę mnie pan rozumie? – zapytałam słabo, wykończona długim monologiem.

– Kiki, Treize i... Alice. Zaginiona Alice. Pewnego dnia jakby rozplynęła się w powietrzu. Po prostu wyparowała i słuch po niej zaginął.

Umilkliśmy i wpatrywaliśmy się w zdjęcia. Wiedziałam już, że Ardisson to odpowiednia osoba. Fotografie zrobiły na nim kolosalne wrażenie. Nie musiałam się odzywać, nawet nie powinnam. On też dłuższą chwilę milczał. Przebiegał wzrokiem wszystkie szczegóły, gesty, pozy i ten jej tajemniczy, nieokreślony uśmiech. W końcu zapatrzył się w przestrzeń.

– No dobrze... Autorem zdjęć jest Man Ray, a modelka to zaginiona Alice.

– Co ma pan na myśli?

Odpowiedział powoli, z namysłem.

– Musiałbym opowiedzieć pani o Montparnassie. A raczej o centrum świata – poprawił się. – Proszę się ze mną przejść, zrozumie pani potęgę tej kobiety.

Wziął do ręki parasol i zaprosił mnie na spacer.

– W tym pani ukochanym Paryżu zawsze pada i jest szaro. – Dwukrotnie przekręcił klucz w zamku i dla pewności sprawdził jeszcze drzwi czubkiem stopy.

Pozwoliłam mu prowadzić się bulwarem, parasol przydał się do ochrony przed nagłą ulewą. Znajome mi już małe blondynki pędziły od bramy do bramy, żeby skryć się przed deszczem. Patrzyły na mnie podejrzliwie. Dziwnie było tak iść pod ramię z mężczyzną, którego dopiero co poznałam. Czułam się przy nim niezręcznie, a zarazem swobodnie, bo zdawał się mnie rozumieć i znać odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Gdy tylko dotarliśmy do skrzyżowania ulic zastawionych ogródkami licznych kawiarni i restauracji, przestało padać, a ja zrozumiałam tajemnicę przepychu tej części Paryża.

Po jednej stronie bulwaru stała Le Dôme, a po drugiej – La Rotonde.

Podał mi menu.

– Proszę się przyjrzeć uważnie.

Przeglądałam listę deserów, lodów, ciast...

– Zauważyła pani?

– Nie wiem, co ma pan na myśli...

– Ówczesny Paryż kręcił się wokół malarzy, modelek, rzeźbiarzy, artystów, zwykła codzienność była w tamtej epoce dziełem sztuki. Na Montparnassie zagościły pieniądze,

sukces, zainstalowano latarnie... Tańczono, bawiono się i wyciskano dzielnicę do ostatniej kropli. Z czasem w Le Dôme zaczęto nawet sprzedawać kawior! Sam Hemingway żył tu wtedy i wszystko opisał. Ja mam jednak na myśli czasy nieco wcześniejsze, Montparnasse pełen domów, pracowni i hotelowych pokoi, w których nigdy nie otwierano okien, a we wnętrzu mieszały się zapachy farby i seksu. Jedni pracowali, inni zaś włóczyli się bez celu po ulicach, nad ranem, w południe czy późnym wieczorem. O każdej porze dnia i nocy znaleźć tu można było wino, malarzy, samotność, dramaty, sukcesy... Przy kieliszku plotkowano albo ustalano nowy porządek świata, a wszystko w otoczeniu przepięknych kobiet, takich jak na zdjęciach. To one rządziły ich losami. Jedna z nich, Kiki, mogła poszczycić się dużo potężniejszą władzą niż królowa Wiktoria przez cały okres swojego panowania.

– Widzę! – wreszcie zrozumiałam. – Koktajl Kiki z Montparnasse’u, koktajl Picassa, koktajl Modiglianiego!

– *Voilà!* Le Dôme stanowiła centrum ówczesnego świata. Tu, gdzie teraz siedzimy, spotykali się wszyscy. Na tym rogu toczyło się życie Paryża.

Wciąż przeglądałam pozycje w menu.

– A co z Alice? – zapytałam.

ROZDZIAŁ 15

Wciąż czułam się jak prostytutka, kiedy następnego ranka przyszłam do pracowni. Kisling objął mnie i pozwoliłam mu zgnieść się w uścisku potężnych ramion. Wyraźniej niż zwykle otaczała go aura triumfu. Zawsze inteligentny i próżny, tego dnia stał się niemal bogiem. Zwycięzał we wszystkich rozgrywkach i nikt mu nigdy nie odmówił. Przyznaję, że byłam gotowa dać się ponieść nowemu życiu – w ciągu zaledwie dwóch tygodni obnażyłam najpierw ciało, a potem duszę. Pękał z dumy i oczekiwał uznania dla swojego najnowszego dzieła, czyli mnie.

– Może być pani dumna ze swojego ciała, Alice! – Poplamione farbą palce ułożył w symbol zwycięstwa. – To ciało! To piękno! Ten blask! Cały Paryż będzie z zachwytem podziwiał pani urodę podczas grudniowej wystawy. Wszystkie pani akty wystawione zostaną w najlepszej, największej sali.

Wstrzymałam oddech. Przyglądał mi się z zadowoleniem i tylko z uwagi na obecność uczniów powstrzymał się przed pocałunkiem. Miałam zostać gwiazdą jego najnowszej kolekcji. Wszyscy zaczęli bić brawo. Tkwiłam na piedestale, naga i rozedrgana, oni zaś podchodzili i przesadnie chwalili mistrza oraz moją urodę. Podekscytowany Kisling poprzewracał krzesła i zarządził wyjście do Le Dôme, gdzie mieliśmy pograć się w odmętach alkoholu. W ręku trzymał zawiadomienie o przyjęciu obrazów do galerii Taitbout.

Zamówił szampana dla wszystkich. Choć nigdy wcześniej go nie próbowałam, nie zaskoczył mnie smak ani bąbelki, ale uczucie szczęścia i lekkości, które dodawało mi skrzydeł. Muszę też przyznać, że Kisling podobał mi się bardziej, niż myślałam. Nie miałam nic przeciwko powtórce sytuacji, chciałam móc pozwolić sobie na luksusy, jakich wcześniej nie zaznałam. Paryż wydawał się odległy. Otwieraliśmy drugą butelkę, kiedy pojawiła się Kiki z psem – kołysała biodrami i chełpiła się swoim ostatnim podbojem. „Paryż potrzebował takiej kobiety jak ty” – tymi słowami mnie powitała. Złapała mnie pod ramię i pod pretekstem pójścia do łazienki lawirowaliśmy pomiędzy krzesłami siedzących przed lokalem młodzieńców.

– Moja droga, widziałam wyraz twarzy Kislinga. Wreszcie rozumiem jego zachwyty, jesteś nawet piękniejsza, niż sobie wyobrażałam. Czuję, że będziemy świetnie się dogadywać. Z jego oczu wyczytałam, że nie ograniczałaś się do pozowania. Nie zaprzeczaj. Widziałam, jak na ciebie patrzy. – Kiki uśmiechała się do wszystkich mężczyzn naraz i każdego z osobna. Flirtowała i pozwalała się podszczypywać. W pewnej chwili zatrzymała się przed jednym z gości i wypaliła prowokacyjnie: – Nie stać cię na takie

ciało. – Zaskoczyła mnie tym.

Wszyscy pili na umór, robili zdjęcia, palili i tańczyli na stołach. To był zupełnie inny świat, nie panowały w nim żadne zasady i uświadomiłam sobie, że ludziom autentyczną przyjemność sprawia takie życie na krawędzi. Nikt nie śmierdział dymem z pieca, wszyscy nosili nienagannie wyprasowane garnitury i nie przejmowali się, kiedy przy kolejnych toastach plamili je alkoholem. Od domu dzieliło mnie zaledwie kilka przecznic, ale równie dobrze mógłby znajdować się na końcu świata. Nigdy jeszcze nie czułam się tak daleko, a zarazem tak blisko mojego życia. Jak to możliwe, że jedni, trzęsąc się z zimna, przeżuwali cebulę czy piekli ziemniaki w żarze kominka, a tymczasem inni, niemal tuż obok, zdejmowali marynarki, rozgrzani winem, które nieprzerwanym strumieniem płynęło zza baru w kierunku stolików? Na mojej ulicy panowała szara cisza, cisza w kolorze popiołu i dymu z kominów, tu zaś wszystko przybierało inne barwy. Mężczyźni w białych getrach, z nienagannie zawiązanymi krawatami w prążki, o gładko zaczesanych do tyłu włosach spryskanych drogą wodą kolońską; kobiety na wysokich obcasach, obwieszane podwójnymi sznurami pereł i innymi błyskotkami, z dekolcami zdającymi się nie na miejscu w mroźnym Paryżu. Klejnoty wpięte w klapę, spinki do mankietów, piękne, choć niedbale zawiązane apaszki, rzędy bransoletek sięgające łokcia, jedwabne bluzki odsłaniające delikatne ramiona, rozkołysane torebki, które oparte o biodro dzwoniły jak kryształki w żyrandolu. Wszystko było dźwiękiem: toasty, muzyka, obcasy, kieliszki, kolie, przysuwane krzesła... Chodziło przede wszystkim o to, żeby rozmawiać i nawiązywać znajomości – czułam się zagubiona. Na mojej twarzy musiały malować się szok i przerażenie. Kiki znajdowała się w samym centrum wydarzeń i przedstawiała mnie towarzystwu. Nie miałam wyjścia: uśmiechałam się i ścisnęłam kolejne dłonie, jakbym dopiero co przybyła z innej planety. Ona zaś łamała wszelkie konwenanse i za nic miała dobre obyczaje.

– Kiki, pokaż cycki! – krzyczano.

A Kiki, nie dbając o to, co ludzie powiedzą, opuszczała dekolt i odsłaniała biust na środku Le Dôme. Na oczach wszystkich gości! Bili brawo, skandowali imię Kiki i jej psa. Przytulała pekińczyka do piersi, a ten lizał jej obojczyk. Moje życie właśnie się zaczynało. Wystarczyły mi dwie minuty, żeby zdobyć istotną informację: Kisling miał żonę.

– Uśmiechaj się i korzystaj, ko-rzys-taj – przedrzeźniała malarza.

– Ale... – zaczęłam.

– Tak, jest żonaty z Renée Gros z Académie Ranson, ale wszyscy wiedzą, że to nie jest zwyczajne małżeństwo. Łączy ich przyjaźń, interesują się sztuką, bawią życiem – odparła.

– To rzeczywiście inna sytuacja.

– I to jak! – zaśmiała się Kiki.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów. Od malarzy możesz oczekiwać tylko obrazów i seksu. Nie rób sobie

złudzeń. Tacy już są. Korzystaj. Ty pozujesz, oni patrzą. Jego żona jest dziwna.

– Dziwna?

– Jako pierwsza nosiła spodnie i krótką fryzurę. Bardziej przypominają bliźnięta niż męża i żonę. Dziwni. Ale czego się spodziewać, skoro poznali się podczas nalotu policji. Jej ojciec jest generałem, więc kiedy córka zaczęła spotykać się z malarzem uwodzicielem, chciał ją zabić.

Zaczęłam obawiać się, że na próżno się zaangażowałam.

– Zakochali się i pobrali. Wesele było obłędne, wszyscy skończyliśmy w burdelach przy Saint-Germain – dodała jak gdyby nigdy nic.

Usiadłyśmy na przygotowanych dla nas krzesłach przy najlepszych stolikach w barze. Z bulwaru dobiegał ryk silników samochodów – przybyli kolejni modnie ubrani ludzie. Wszyscy chcieli z nimi siedzieć – pewnie to ktoś znany. Ja tylko pomachałam im, nie wstając z miejsca. Czułam się nieswojo: jako jedyna nikogo nie znałam. „Modi, Dardel, chodźcie, usiądźcie z nami!” – Kisling śmiał się serdecznie, wstał, zaprosił ich do stolika, po czym usiadł, poprawiając spodnie, i wzniósł kolejny toast szampanem. Przychodził, odchodził, pił zdrowie wszystkich. Obserwowałam go, niewidzialna wśród tłumu, który skandował jego imię i chwalił obrazy. W kwestii urody jednak zdecydowanie przewyższali go nowo przybyli, zwłaszcza niejaki Nils Dardel. W nieskazitelnie biały kołnierzyk koszuli wpiął szpilkę z perłą, a włosy przyliżał brylantyną. Ten drugi, Modi, ogorzały, rozczochrany brunet o ciemnych, płomiennych oczach i cały poplamiony farbami, odpalał jednego papierosa od drugiego i co rusz pociągał łyk z butelki rumu, „na kaszel”, jak mówił.

– Bez przerwy jest pijany. Pije od rana do nocy, a jest słabego zdrowia. Ale jest taki przystojny... – opowiadała Kiki. – Prawdopodobnie najprzystojniejszy w Paryżu, ale też największa łajza, o jego libacjach krążą legendy. Nie zna umiaru, pije, pije i pije. No i maluje, maluje, maluje. Dla niego liczy się tylko dobra zabawa i sprzedawanie obrazów milionerom z Lazurowego Wybrzeża.

– Jest znany? – zapytałam.

Popatrzyła na mnie jak na idiotkę.

– Podoba ci się, co? Widać.

Kiki zaśmiewała się z mojej nieśmiałości. Zatkałam jej usta, żeby nie robiła przedstawienia. Bałam się, że ujawni moje uczucia. Otworzyła torebkę i wysypała na stół zawartość, tysiąc drobiazgów, głównie kosmetyków, i poprawiła szminkę, przeglądając się w jednej ze stojących na stole butelek. Zobaczyła w niej odbicie Nilsa Dardela, kolejnego przystojniaka.

– Piękny Nils jest mężem Thory, tej w chustce na głowie i zapiętej pod szyję. Jest wspaniała.

Podowała mi pomadkę i nałożyłam nieco koloru na usta.

– A Modi ma nierówno pod sufitem, fascynuje mnie. Ciebie też, prawda?

Kisling nie przestawał mi się przyglądać. Tam jego żona, tu ja. Na szczęście warkot samochodów parkujących przy wejściu zagłuszał szalone bicie mojego serca.

– Jak się masz, kwiatuszku? – Modi, z butelką w rękę, zagadnął moją nową znajomą.

– Czekam, aż poprosisz mnie o pozowanie – odparła zalotnie.

– Lubię takie jak ty, bez włosów.

Osuszył butelkę rumu i roztrzaskał ją o latarnię. „Wiwat!”, krzyknął. Przerazał mnie chaos i brak jakiegokolwiek kontroli, atmosfera skandalu, bezwstydu i szaleństwa. Wszyscy na prawo i lewo opowiadali o swoich romansach. Trzydzieści centymów, jakie kosztowała zupa w Chez Rosalie, tutaj warte było mniej niż nic. Zawrotne sumy wydawano tu bez żadnych zahamowań, a wszyscy żyli jakby poza prawem, w środku nieustającego przyjęcia. Żadnych ograniczeń; ani śladu skromności.

– Dobrze mi dogodzili dziś z rana, jeszcze przed pierwszą kawą – mówiła Kiki.

– Wszyscy cię słyszą – odparłam.

– I cóż z tego, złotko? Połowa z nich dobrze zna moje piersi i dupę.

– Naprawdę?

– Kobiety zgubią tych mężczyzn.

– Coś w tym jest – stwierdziła Thora, która w międzyczasie do nas dołączyła. – Dobry wieczór! Tylko to ich rusza. A jeśli chodzi o Kiki, to nic nie powinno cię dziwić. Nieraz chodziła od stolika do stolika i pokazywała biust albo zadzierała spódnicę za pieniądze. Ile brałaś?

– Franka albo dwa.

– Ale nie myśl sobie, że to zwykła kokietka. Kiedy wpadnie w szal, staje się nieprzewidywalna. Raz w barze Strix podszedł do niej jakiś mężczyzna i po chamsku wpakował jej rękę w dekolt.

– Nieźle go sprąłam.

– Zrobiła się agresywna. A oni wszyscy o tym wiedzą.

– To ja decyduję, kto mnie dotyka. Kto to widział!

– Goniła go jak szalona przez całą ulicę i kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie barman.

– Pamiętam go, wysoki, dobrze zbudowany Szwed. Złapał mnie od tyłu i zaniósł z powrotem do środka.

– Sama widzisz, jakie z niej cudowne stworzenie. Będziesz się z nią dobrze bawić.

Uspokoiliam się: najwyraźniej Thorę też zaskakiwało zachowanie moich nowych znajomych i nie traktowała wszystkiego tak naturalnie jak oni.

– Nie przestawajcie pić, dziewczyny! Zamówimy następną – żartował Kisling od

swojego stolika. – Wszystko dla najlepszych modelek w Paryżu.

Kiki wyznała, że nie ma „tamtych” włosów – łonowych. Doprowadzało to malarzy do szaleństwa. Zawstydziałam się i moje policzki przybrały szkarłatny odcień tulipanów zdobiących lampy w Le Dôme. Właśnie je włączono, a w zatłoczonym salonie robiło się coraz bardziej duszno, zarówno ze względu na licznych gości, jak i namiętnie palone przez nich papierosy. Miałam na sobie własnoręcznie uszytą sukienkę – zieloną, lekko wydekoltowaną, z rękawem do łokcia i kokardą pod biustem – i buty ze sprzączkami. W sukni z cekinami i wspaniałym kapeluszu Kiki była uosobieniem elegancji. Z gracją przemykała na wysokich obcasach – ja nawet nie zdołałabym utrzymać na takich równowagi.

– Spróbuj tego – powiedział Modi i wcisnął mi flaszkę.

– Co to? – zapytałam.

– Spróbuj, to się dowiesz – odparł i usiadł obok. Napój okazał się piekielnie mocny. Palilo mnie w ustach, a żołądek wywrócił się na lewą stronę. Na butelce nie było etykiety.

– Hej, Modi – Kiki ruszyła w naszą stronę, złapała go za ramię i mrugnęła – mogę dla ciebie pozować, kiedy tylko zechcesz.

Słowa mojej nowej przyjaciółki miały w sobie tyle ognia, co ledwie przełknięty przeze mnie trunek. O dziwo jednak malarz zignorował ją i, patrząc wciąż na mnie, powiedział:

– Miło cię poznać.

Uśmiechnęłam się.

– Jesteś z Paryża?

– Tak – odparłam lakonicznie.

Moja dzielnica należała do Paryża tak jak Montparnasse, jednak zdawała się należeć do innego świata. Nie chciało mi się tego tłumaczyć pijakowi zaglądnętemu mi w dekolt.

– Jesteś tą modelką od Kislinga?

Przytaknęłam.

– Miło pana poznać. – Wyciągnęłam rękę.

– Nie przejmuj się. Nie ma czego się bać. Jesteś piękna – powiedział z poważnym wyrazem twarzy. – Piękna i nieprzystępna. Lubię takie modelki, bo są dziełami sztuki, zanim jeszcze ktokolwiek je namaluje.

Zaczęłam czuć nerwowe napięcie, jakby w żołądku bzycała mi osa. Choć spuściłam wzrok na drżące dłonie, nie mogłam nie zauważyć, jak na mnie patrzy.

– Akty Modiglianiego są zmysłowo szczere, otwarte, prowokujące, a wyrażają konkretne stadia seksualne: kuszenie, obietnicę i spełnienie.

To przemawiała Berthe Weill, właścicielka galerii sztuki, która mogła pochwalić się posiadaniem w swych zbiorach dzieł Picassa i Matisse’a.

– W dniu otwarcia wystawy ten nieokrzesany pijak zabrał mnie do nieba i do piekła. Nie

mam już siły do tych geniuszów, wykończą mnie – narzekała, przy okazji zamawiając kolejną butelkę szampana dla wszystkich. Modigliani złapał swoją flaszkę i znów pociągnął z gwinta. Pani Weill próbowała przekrzyczeć wesołą wrzawę skąpaną w oparach dymu i alkoholu. – W niedzielę wieszaliśmy obrazy, a wernisaż odbył się w poniedziałek, trzeciego grudnia. Okazałe akty, kanciaste twarze, obrazy najlepszych.

– Pamiętam jak dziś. – Kisling wybuchnął śmiechem.

– Co za szalona noc!

Puściła do mnie oko i żywo gestykulowała, żeby zachęcić do słuchania.

– Przybyli już zaproszeni goście, zapada zmrok, zapalamy światła. Przechodnie zatrzymywali się na ulicy, zaskoczeni widokiem tylu osób w lokalu.

– To był jakiś obłęd. – Kisling wymachiwał rękoma.

– Wszyscy chcieli wiedzieć, co się dzieje. Dwóch przechodniów trzech... Pod drzwiami zbierał się tłum. Sąsiad z naprzeciwka, lokalny komendant policji, sprawiał wrażenie zaniepokojonego. „A cóż to? Naga kobieta!”.

– Z okna widział jeden z aktów – wyjaśnił Kisling.

– Najlepsze, że przysłał policjanta w cywilu, który mówił z tragicznie prowincjonalnym akcentem: „Komisarz każe zdjąć ten obraz”. „Mój Boże! Dlaczego?”. Agent powtórzył twardo: „Komisarz każe zdjąć ten obraz”. „Boże! Nawet go nie obejrzał... A w oknie nie wisi żaden akt”. Zdjęliśmy. Goście wymieniali nerwowe uśmiešky, nie wiedzieli, o co chodzi. Ja też właściwie nie rozumiałam. Tłum na zewnątrz gęstniał z chwili na chwilę i zaczynał się burzyć. Robiło się groźnie!

– I to jak!

– Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z obrazami.

– A co się działo? – zapytałam niewinnie.

– Spróbuj się domyślić.

Zawstydziłam się.

– Wkrótce policjant wrócił i powiedział, że komisarz chce mnie widzieć. Weszłam do pełnego ludzi gabinetu. Zapytałam: „Chciał mnie pan widzieć?”. „Tak. Rozkazuję pani zdjąć te plugastwa ze ścian!”, mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nie dało się z nim dyskutować. Rozzuchwalony rechetem kretynów obecnych przy tej wymianie zdań, zrobił krok dalej: „A jeśli moje rozkazy nie zostaną natychmiast wypełnione, skonfiskuję wszystkie te przekłete obrazy!”. Nie wiedziałam, jak zareagować: „A co jest złego w tych aktach?”.

– Pamiętam twój wyraz twarzy – wtrącił Nils.

– Oczy prawie wyszły mu z orbit i wrzasnął: „Te akty... te akty... one mają w-w-w-włosy!”^[2].

Zarumieniłam się z zakłopotania, a inni jak papugi powtarzali puentę anegdoty: „Mają

włosy! Mają włosy!”. W tej samej chwili przypomniałam sobie, jak pierwszy raz zdjęłam ubranie i wzrok malarzy natychmiast powędrował w stronę mojego podbrzusza. Mimowolnie skrzyżowałam nogi, jak gdyby znów widzieli mnie nagą. Nikt pewnie tego nie zauważył, ale poczułam gorący rumieniec oblewający mi dekolt i twarz. Rozwiązałam ten problem, wychylając do dna kieliszek szampana. Kiki tarzała się ze śmiechu i raz po raz piersi wymykały się jej z sukienki, co bardziej chyba zawstydzało mnie niż ją. Opowieść toczyła się dalej, a Weill dopowiedziała mi półgłosem, że – choć wystawili w końcu tylko cztery akty – musieli natychmiast zamknąć galerię. Goście, którzy zostali w środku, pomagali zdejmować obrazy ze ścian.

Z centrum salonu dobiegały wybuchy śmiechu i wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Otoczona wianuszkami mężczyźni Kiki kręciła leżącą na ziemi butelką. Ten, na kogo wskazała, mógł wybrać: pociągnąć łyk alkoholu lub dotknąć jej piersi. Jeśli zdecydował się na to drugie, ona mogła się napić. Dostrzegłam Kislinga w tej grupce – wszyscy wydawali się zachwyceni skandaliczną sceną. Miałam wrażenie, że Kiki robi wszystko, żeby pozostać gwiazdą lokalu. Modi patrzył na mnie pożądliwie. Choć nie tak przystojny jak Nils, pociągał mnie bardziej niż wszyscy ci wypacykowani mężczyźni, wystrojeni w najdroższe garnitury i jedwabne fulary. Może to przez ten brak krochmalu i nieprasowanie przypominał mi mężczyzn, jakich znałam z mojej dzielnicy.

– Jesteś czarująca. Chcę cię namalować. Pozuj dla mnie.

Zająknęłam się, nie wiedziałam, co powiedzieć. W każdym jego słowie dało się słyszeć, że chce iść ze mną do łóżka. Był już mocno pijany, mnie też niewiele brakowało. Alkohol uderzył mi do głowy i nie potrafiłam objąć rozumem ogromu zmian, jakie zaszły w moim życiu. Przede wszystkim jednak nie mogłam pojąć, że nagle wszyscy mnie pożądamy. Nie spodziewałam się takiego rozpasania, do tej pory żyłam w zupełnie innym świecie. W czym problem? Załamałam dłonie i przypomniałam sobie słowa matki. Modi zauważył chyba moje skrzępowanie, bo kiedy tylko dotknął mojej nogi, natychmiast cofnął rękę. Po chwili jednak powtórzył gest, a ja się poddałam.

Kiki z zapalem wymachiwała rękami, po czym pijana zwała się na podłogę pośrodku sali. Nie miała na sobie majtek. Wszyscy widzieli ją wyciągniętą jak długa pomiędzy stolikami. Przyzwyczała się, że mężczyźni błagają o jej towarzystwo, a leżąc tak na ziemi, wydawała się słaba i bezbronna. Nie miała nic wspólnego z silną, pewną siebie kobietą, jednogłośnie okrzykniętą królową Montparnasse’u. Okryłam ją, żeby położyć kres żenującej scenie, i wyszliśmy się przewietrzyć.

– Widziałam, jak kokietujesz Modiego – wybełkotała.

Kisling kazał Thorze znaleźć mi sukienkę na wernisaż wystawy w Taitbout, strój godny tak ważnego wydarzenia. Tak powiedział, ale ja zamiast tego usłyszałam: „ubiorę cię jak kobietę, jaką powinnaś się wydawać”. Nigdy nie musiałam niczego udawać, ja i moja rodzina byliśmy niewidzialni. Biedni nie istnieją. Dopiero odpowiednio dużo franków

zwraca uwagę. „Pieniądze mają dzwonki – mawiała matka – drogie przedmioty robią dużo hałasu”. Dlatego zdarzało nam się zamilknąć na widok bogatej kobiety na bulwarze – chcieliśmy chłonąć dźwięk jej obcasów, bransoletek, kolczyków, torebki... Dlatego tamtego popołudnia, punktualnie o czwartej, w ciszy przekroczyłam bramę rajy zbytku i elegancji. Zaniemówiłam.

Żona Nilsa przyjaźniła się z rodziną Lanvinów i zaprowadziła mnie do ich zakładu przy rue du Faubourg Saint-Honoré. Weszliśmy do budynku pełnego przepychu, godnego siedziby mera Paryża. Tak wyobrażałam sobie luksus. Kręte marmurowe schody wspinały się spiralą aż pod szklaną kopułę, wewnątrz zaś czekał prawdziwy splendor.

Popchnęliśmy drzwi z kolorowymi szybami. Na podłodze malowała się tęcza – wpadające przez okno światło odbijało się od wszystkich powierzchni jak w kalejdoskopie. Przez głowę przemknął mi obraz zmęczonej matki wracającej z pracy na porodówce i wymiatającej popiół z kominka. Usiłowałam sprawiać pozory pewnej siebie, jakby nic nie mogło mnie zaskoczyć, podczas gdy w rzeczywistości czułam się rzucona na głęboką wodę, w wir wszystkich tych sukienek wystawionych na aksamitnych manekinach, zapełniających salon jak goście na przyjęciu z końca ubiegłego wieku.

– *Bonjour, madame.*

Jeanne obróciła się do Thory i wyszeptała:

– Śliczna. Ma w sobie ten wyjątkowy urok inteligentnej kobiety.

Jeanne przyglądała mi się uważnie. Pod jej wzrokiem chciałam zapaść się pod dywan pokrywający podłogę salonu. Wielkiego salonu. Wysokie sufity, kryształowe lampy w każdym rogu, regały pełne oprawnych w skórę książek, krzesła wyściełane kolorowym materiałem, olbrzymi stół zastawiony damskim obuwiem na wyższym i niższym obcasie, bele materiału ułożone w ogromne wachlarze... Aż strach było stąpać po czerwonym dywanie. Dwa gigantyczne zwierciadła, od podłogi do sufitu, podwajały rzeczywistość, sprawiając, że wszystko zdawało się jeszcze bardziej wyszukane i eleganckie. W powietrzu unosiła się subtelna woń perfum, nieco silniejsza w okolicy foteli, i przenosiła mnie w inne miejsce. Czy istniało w ogóle inne miejsce?

– Kisling mówił, że jesteś gwiazdą wystawy. Masz piękną, szczupłą sylwetkę. Gdzie mieszkasz w Paryżu?

Przypomniałam sobie moją ulicę, z wąskimi, brudnymi oknami, straganami warzywnymi wciśniętymi w bramy, kałużami zbierającymi się w dziurach na chodniku, smrodem popiołu, cebuli, sera, starych ubrań, biedy. Może pożyczona od Kiki sukienka sprawiała, że nie rzucało się tak w oczy moje pochodzenie z tego innego Paryża. Paryża, który nie korzysta z tkanin ułożonych tu jak klejnoty na wystawie, odziewa się raczej, niż stroi, nie spaceruje, lecz żyje w ciągłym biegu, ochlapuje się wodą zamiast zażywać kąpieli. Uciekłam wzrokiem pomiędzy błyszczące drewniane meble, wstydząc się swojej rodziny. Poczulałam się biedna, poniżona.

– Mieszkam kawalek stąd.

– Jesteś bardzo ładna – powiedziała pani Lanvin. – Jaką sukienkę byś chciała?

Na widok przerażenia w moich oczach Thora uratowała sytuację.

– Zdamy się na panią, Jeanne. Nie odważyłybyśmy się udzielać pani rad.

– Wiesz przecież, że was uwielbiam. Co słyhać u Nilsa?

– Wszystko w porządku. Świetnie się nam układa.

– To wspaniały człowiek.

Zacząłam przeglądać kupony materiału złożone na stosie za obitą aksamitem sofą. Nigdy wcześniej nie czułam się tak zagubiona. Nie chciałam popełnić jakiejś gafy, niefortunną uwagą zdradzić swojego pochodzenia. Pani Lanvin zaczęła szeptać coś do Thory – na pewno zauważyła mój nieszczęśliwy wyraz twarzy. Liczne lustra odbijać mogły tylko smutną rzeczywistość: nie należałam do tego świata. Mimo to jednak podobał mi się.

– Wszystkie jesteście takie młode, takie urocze.

Thora westchnęła i przytaknęła.

– Zdejmiemy miarę. – Jakaś dziewczyna owinęła centymetr pod moją klatką piersiową.
– Może pani podnieść ramiona?

– Oczywiście – odparłam.

I tak stałam z wyciągniętymi rękami, ukrzyżowana pośród bogactwa, i nie chciałam nawet myśleć, ile to wszystko kosztuje. Nie mogłam jednak oderwać wzroku od żyrandoli. Byłam jak zaczarowana. Przyglądając się freskom na suficie, dojrzałam niebieskiego ptaka i przeniosłam się w czasy dzieciństwa. Przylatywał na parapet i karmiłam go okruszkami. Nagle poczułam, że muszę na chwilę zamknąć oczy.

Kiedy je otworzyłam, pani Lanvin zaczynała właśnie tłumaczyć, że na mojej szczupłej sylwetce największy efekt zrobi suknia inspirowana grecko-rzymskimi boginiami. W takim stroju zabłysnę na wernisażu jak prawdziwa muza. Rozwinęła belę białego jedwabiu, który falował w powietrzu, i oświadczyła, że sukienka będzie odkrywała ramiona i plecy, zawiązana na szyi, delikatnie podkreśli talię i opadnie aż do stóp, „trochę dłuższa, żeby przykryła też buty, jak u rzeźby”.

– Na ramiona narzucisz pelerynę z szerokimi rękawami, będziesz wyglądała jak anioł. – Stanęła za mną i obie odbijałyśmy się w olbrzymim zwierciadle.

Trzęsły mi się ręce, pomyślałam o matce i znów łzy napłynęły mi do oczu.

Thora rozsiadła się w zielonym fotelu, bardziej niż ja przyzwyczajona do luksusu. Spojrzała na mnie porozumiewawczo i rzekła:

– Będziesz boginią.

– Ta dziewczyna już jest boginią – odparła Jeanne, patrząc na pomocnicę i moją przyjaciółkę.

– Bez dwóch zdań.

Tamtej nocy dziewczynka z Paryża imieniem Alice przeistoczyła się w pannę Humbert; wiedziałam, że stoję u progu nowego świata. Być może to przesada nazywać „nowym światem” pewien sposób na życie, ale nawet w najśmielszych snach, gdy leżałam w swoim łóżku w rodzinnym domu, nie marzyłam, że kiedyś znajdę się w takim miejscu. Nikt poza mną nie rozpoznawał we mnie dziewczyny proszącej o pracę na rue de la Grande Chaumière. Zaczęłam przyzwyczajać się do myśli, że los się odmienił. Udawałam, że cały ten blichtr – bogacze podziwiający obrazy i wznoszący kolejne toasty – to dla mnie chleb powszedni. Wciąż świadoma swojej tożsamości i pochodzenia, pozwoliłam sobie na zapomnienie. Poczułam podniecenie już na chwilę po wejściu do galerii Taitbout.

- Przepiękne plecy.
- Wspaniała dziewczyna.
- Ładniejsza niż na obrazie.
- Niezły artysta z tego Kislinga!

Przechadzałam się pomiędzy gośćmi, teraz już powoli. Z początku biegałam podekscytowana, raz po raz przydeptując brzeg kreacji od Lanvin w kolorze kości słoniowej, i przystawałam, niby żeby obejrzeć dzieła mistrza i jego uczniów, a w rzeczywistości – by wyplątać tren sukni z obcasów. Wszyscy się uśmiechali i ku mojemu zaskoczeniu zwracali się do mnie po imieniu. „Miło mi, dzień dobry, miło mi, świetnie, miło mi...”. Nie dało się ukryć – było mi bardzo miło. Po jakimś czasie trochę się uspokoiłam, przestałam biegać i udawać. Znajdowałam się w centrum świata. Wszystko zdawało mi się nie z tego świata, miałam lodowaty nos, zimne dłonie i woskowo bladą skórę; myślałam, że umarłam. To wszystko nie mogło być prawdą. Może rzeczywiście nie żyłam. Od tej pory miałam istnieć jako duch. Może już odeszłam, a suknia od Lanvin to całun dla panny nikt. Bez domu, bez wieku, bez przeszłości. Spędziłam całe tygodnie nago – może to było niebo? Może. Jak to możliwe, żebym należała do tego świata, z dala od mojej ulicy, domu? Zaczęłam krążyć po sali w poszukiwaniu krzesła albo fotela, potrzebowałam oparcia. Kręciło mi się w głowie od wina i uczucia alienacji. Nie poznawałam się na dziwnym, utrzymanym w duchu koloryzmu obrazie, ale bez trudu mogłam wyobrazić sobie, że te piersi, rozchylone nogi, prowokująca poza, moje włosy, mój smutek – zwłaszcza to ostatnie – należały do mnie.

- Podoba się pani?
- Witam, panie Kisling.
- Witam, panno Humbert.
- To mam być ja?
- Oczywiście, że pani.

Odwróciłam się w stronę płótna.

- Czyżby zapomniała pani te długie godziny spędzone w pracowni?

– Ależ skąd.

– Dziwnie jest pani widzieć się taką?

– Nagą?

– Tak, nagą.

– Zawstydzą mnie obecność tyłu osób, ale mam nadzieję, że mnie nie rozpoznają...

– Myli się pani. Pani piękno przyćmiło moje dzieło.

– Nie uważam się za dzieło sztuki.

– Pani uroda ma wielką moc.

– Dziękuję panu.

– Jest pani w centrum uwagi. Przy pani wszyscy wyglądamy jak robotnicy z budowy. Wygląda pani wspaniale. Imponująco. Thora świetnie się spisała, prawda? Jeanne dobrze wie, jak w pełni wydobyć blask kobiecego piękna.

Głos Kislinga zmieniał się u boku żony, córki generała. Na jej twarzy malowała się irytacja. Odwróciła się i przyłączyła do innej grupki. Nie mogłam się powstrzymać.

– Kiedyś nazwał mnie pan dziwką, a teraz takie komplementy...

– Ciągle nią pani jest, ale tylko ja o tym wiem.

I na tym koniec, bo w tej właśnie chwili wróciła jego żona. Łzy napłynęły mi do oczu i mocno zacisnęłam wargi, żeby ich nie uронić, żeby nawet nie mrugnąć. Znowu spojrzałam na obraz. Pomieszczenie zdawało się wirować, czułam, że zaraz zemdleję, a tymczasem malarz i zachwyceni krytycy dobijali targu i wymieniali komplementy. Kiki odszukała mnie wzrokiem wśród tłumu, ale nie ruszyłam się z miejsca. Obraz wisiał tuż przed moimi oczyma, symbol nowego życia, w nagości. Zdawałam sobie sprawę, że ilu sukienek nie uszyłyby dla mnie Jeanne Lanvin, po ilu puszystych dywanach bym nie stąpała, ilu kieliszków szampana bym nie wypijała czy ilu wielbicieli by mnie nie okłaskiwało, na zawsze pozostanę dziewczyną z Mouffetard. Dziwką, która nago pozowała artystom przy piecu, uśmiechała się, kiedy kazali, ubierała i rozbierała na żądanie i pozwalala się penetrować. Niczym więcej. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś się uśmiechnę. Usłyszałam głos Kiki.

– Wszystko w porządku, Alice?

Przyjęcie trwało dalej, ale ja zupełnie nie miałam nastroju do zabawy. Zwykła dziewczyna z Paryża z dnia na dzień zyskała nagle imię i twarz. Pozbawiono mnie niewinności. Naiwna! Myślałam, że wystarczy horrendalnie droga sukienka Lanvin na grzbiecie, żebym jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniła się w jedną z tych dam, co uśmiechają się zagadkowo znad spowitego tiulem dekoltu. Byłam naga w samym środku galerii, wystawiona na płótnie, oglądana i oceniana przez wszystkich. Moja chłopięca nagość stanowiła smakowity kąsek dla tych bestii.

Tytuł: *Akt młodej kobiety*

Technika: olej

Rok: 1918

Autor: Kisling

Nastrój: ...

– Wyglądasz na smutną.

Treize podeszła do mnie wraz z Kiki.

– Nie przejmujcie się mną – odparłam, wycierając bezsensowną łzę z policzka. – Nic się nie dzieje. Wszystko w porządku. Zakręciło mi się w głowie.

– Wiesz, że cię ubóstwiam, Alice. – Kiki podniosła mnie na duchu. – Napij się i zapomnij o smutkach.

– Chyba masz rację.

– Pewnie, że mam rację.

– Nie mam innego wyjścia, prawda?

– Zanurz się w tej orgii sukcesu. Korzystaj, czerp z tego, ile wlezie. Pozwól sobie na próżność. Nikogo nie obchodzą nasze nastroje czy humory.

Treize przytaknęła.

– Kiedy już wejdiesz w ten świat koktajli, modelek i malarzy, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko wkładać buty na coraz wyższym obcasie. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Jesteśmy z tobą. Może to ci się wydać dziwne, ale ja pochodzę z francuskiego półświatka – jadałam w najgorszych garkuchniach, żebrałam, jeśli było trzeba, rozbierałam się za parę groszy, żeby przeżyć. Uroda to wspaniały dar od losu, wykorzystaj go dobrze! I wykorzystaj ich! Co ci pozostaje?

Oczy nadal piekły mnie na wspomnienie okrutnych słów Kislinga.

– Jesteśmy po prostu modelkami.

– Wiem. Jestem nikiem.

– Nie, nie, nie! Mylisz się! – zaoponowała Kiki z żarem w oczach. – Jesteśmy wszystkim! To my mamy władzę. Dla nich jesteśmy tylko kawałkami mięsa z cyckami, dupą i nogami... I co?

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć – odparłam.

– Dzięki nim możemy wyrwać się do innego życia. Nie mogłaś mieć lepszego wejścia w świat Montparnasse’u. Znajdujesz się w samym centrum wydarzeń, wszyscy chcą cię malować, fotografowie błagają, żebyś dla nich pozowała, sama Jeanne Lanvin nie posiada się ze szczęścia, że nosisz dziś jej sukienkę... Wystawa odniosła prawdziwy sukces. Spójrz sama!

Z pomocą Treize Kiki odwróciła mnie w stronę głównej części sali.

– Popatrz tylko! – wykrzyknęła, wskazując na wielkie płótno. – To właśnie ty, zupełnie nowa Alice.

Nowa Alice. Jakbym patrzyła na kogoś innego.

– Zapomnij o tej poprzedniej!

Byłam przytłoczona i zaszokowana jej słowami. Wzięły mnie pod ramię z obu stron i tak splecione w uścisku rzuciłyśmy się w wir zabawy.

Podniosłam wzrok, wciąż kurczowo ściskając dłonie przyjaciółek. Polak Kisling stał pod moim aktem. U jego boku zobaczyłam Modiego – wpatrywał się we mnie pijany jak zawsze, aż do ostatnich chwil życia. Za nimi stali kolekcjonerzy i w dwuosobowych grupkach prowadzili afektowane dyskusje „o dziele”. Spojrzałam na siebie z boku, oczami innych, wychyliłam kieliszek i stałam się taką kobietą, jaką chcieli zobaczyć. Potem przez dłuższy czas zgrywałam niedostępną, kokietowałam nieznanym, śmiało patrząc im w oczy. Panowie ślinili się, kiedy prosiłam o ogień, gorączkowo przetrząsali kieszenie w poszukiwaniu tytoniu i gwałtownie wyciągali ręce z papierośnicami błyszczącymi jak najcenniejsze klejnoty. Panie zaś z rosnącą niechęcią patrzyły na moją lubieżność i dumnie wyprostowane plecy – paraliżujący lęk przekułam w brawurę. To wszystko zdarzyło się na przestrzeni minut. Dopchałam się do obrazu, trzymając mój tren jak flagę, żeby mnie przepuścili – z początku materiał mi przeszkadzał, ale sprawił, że tłumy rozstępowały się przede mną, kiedy kroczyłam jak największa diwa. W głębi duszy śmiałam się z tego do rozpuku, ale na twarz przywołałam wyraz zaskoczenia. Myślałam o tym, jak wraz z matką obieramy ziemniaki przy kominku, żeby je potem upiec, o zapachu jej ubrań, o jej czułych pocałunkach na dobranoc. Lubiła czesać mi włosy przed snem i otulać mnie kołdrą – i ja też to lubiłam. Siadałam między jej nogami i wiłam się pod pociągnięciami grzebienia – było mi niewygodnie, ale jednocześnie czułam się szczęśliwa.

Teraz też poczułam lekkie szarpnięcie za włosy, ale zupełnie inne.

– O co chodzi? – odwróciłam się.

– Będziesz dalej taka niedostępna?

Kisling odurzył się eterem. Górował nade mną, a biła od niego woń alkoholu tak silna, jak zapach terpentyny w pracowni. Kurczowo zacisnęłam dłonie na sukience, żeby nie przewrócić się w tłumie. Dostrzegłam w jego wzroku coś równie paskudnego jak unoszący się od niego odór. Poczuałam się osaczona i przypomniałam sobie słowa Kiki i Treize. Z całej siły nadepnęłam mu na stopę, a kiedy zbliżył się, żeby pocałować mnie w ucho, ugryzłam go w szyję. „Ty dziwko!”, wrzasnął. Nikt się nie zdziwił i ja nie zareagowałam. Panował hałas, więc mało kto w ogóle go usłyszał, a stojący najbliżej wybuchnęli serdecznym śmiechem. Zaczął marudzić jak dziecko, a ja odwróciłam się do tłumy, bardziej wyprostowana niż kiedykolwiek. Dokładnie w tej samej chwili wstał nowy dzień. Poczuałam dziwne trzepotanie w żołądku.

– Jestem pani nowym właścicielem.

– Słucham? – wydukałam.

– Właśnie kupiłem pani obraz. Proszę pozwolić, że się przedstawię: Ęrno Hessel.

ROZDZIAŁ 16

Jakiś odgłos wyrwał mnie z zamyślenia. Dzwoniła komórka. Telefon leżał gdzieś w salonie, a ja wciąż wylegiwałam się ze zdjęciami pod kołdrą i próbowałam przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy ktoś towarzyszył mi w łóżku. Czasem samotność wynikała z lęku i obawy przed zranieniem, czasem z pruderii, czasem z wciąż na próżno odgrzewanych wspomnień... Wszystko zostawia swój ślad. W końcu zaczynamy pokrywać przeszłość warstwami makijażu, tak jak nakładałam ciemny podkład na piegowatą twarz, żeby odróżnić się od bladolicej ciotki. Bólu nie da się jednak zamaskować. Kobietom o sercach zaszytych szarą nicią – w odcieniu mundurka Liceum Francuskiego – po jakimś czasie nawet błękitne oczy wydają się popielate. Zerwałam się na równe nogi, jednocześnie starając się nie zrzucić zdjęć na podłogę. Słońce oświetlało salon, jak zwykle w te piękne, jasne dni, którymi bogowie nagradzają Paryż po czasie deszczu i mgły. Odebrałam.

– Tak, słucham?

To pan Ardisson dzwonił z propozycją obiadu w La Tour d'Argent. Na dźwięk tej nazwy poczułam gęsią skórkę. Nigdy wcześniej tam nie jadłam – zawsze uważałam tę restaurację za typowy wabik na bogatych turystów – ale teraz jakaś myśl zaczęła mi chodzić po głowie.

– La Tour d'Argent? – powtórzyłam.

– Spodoba się pani. Myślę, że to najlepsze miejsce, żeby usłyszała pani, co mam jej do powiedzenia. Czyż nie chce pani mieszkać w Paryżu, jaki znamy z filmów? Ten lokal to obowiązkowy punkt programu.

– Brzmi świetnie. O pierwszej?

– Dobrze.

Oparłam się o parapet. Odniosłam wrażenie, że zależy mu na tym spotkaniu bardziej niż mnie; ale dlaczego? Przez głowę przemykały mi chaotyczne myśli i obrazy, jedne rozsądne, inne nedorzeczne, a większość – zupełnie przypadkowa. Nie potrafiłam tego pojąć, ale odetchnęłam głęboko i poszukałam zapomnienia w widoku za oknem. Most Saint-Louis wyglądał jak puzzel wciśnięty pomiędzy dwie duże, już ułożone części miasta. Powoli zaczynałam dopasowywać swoje fragmenty do obrazka. Wszystko zdawało się nabierać kształtu, a odbijające się od chodnika promienie słońca oświetlały także moją duszę.

– Poza tym ma pani blisko. To przy quai de la Tournelle. Widać to miejsce z pani mieszkania.

– Widać... – Wyjrzałam w stronę nabrzeża. – Przechodziłam kiedyś tamtędy w drodze do

Notre Dame.

– Nie mam dla pani zbyt wielu nowych informacji – dodał, czym pogłębił moje obawy – ale może na coś się przydadzą.

– W porządku, o pierwszej w La Tour.

Poczułam nagle wibracje, jakby w moim żołądku ktoś umieścił grzechotkę. Zrobiło mi się też dziwnie gorąco.

„La Tour d’Argent...”.

Potem włączyłam muzykę Françoise Hardy, jedną z piosenek, które prześladowały mnie w Madrycie, jakby zapowiadały nowe życie zmieniające się niczym skala muzyczna. Tym razem jednak wybrzmiewały w odpowiednim miejscu: w Paryżu. Nie ma nic piękniejszego, niż znajdować się w samym środku przyjemnego snu i poczuć, że wcale się nie śni, że wszystko to dzieje się na jawie. Tak właśnie się czułam. Jednocześnie beztroska i zmartwiona. Wiesz, jak to jest, kiedy przeczuwasz, że zdarzy się coś złego? Znasz to podenerwowanie? Zapowiedź czegoś? Ale to było coś więcej. Motyle w brzuchu towarzyszyły mi, odkąd tylko przybyłam do nowego miasta, i nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego z jednej strony chciałam, żeby ta niepewność jak najszybciej się skończyła, a z drugiej – pragnęłam osiągnąć apogeum tego nerwowego podniecenia i dać się mu ponieść. Choć może nie jest to wcale dziwne. Emocje, jakie towarzyszą pierwszemu otwarciu drzwi, poznaniu nowej ulicy, spróbowaniu nieznanego dania, dreszcz przechodzący nas na widok zabytku wcześniej znanego wyłącznie z fotografii czy z filmów, wrażenie odczuwane przy zrobieniu pierwszego zdjęcia, poczuciu po raz pierwszy zapachu kawy, zagubieniu się w obcej okolicy, kiedy obawa miesza się z ciekawością... Wszystko to czujesz na własnej skórze, tę burzę emocji, ogarnia cię zaskoczenie, jak dziecko z nierozpakowaną zabawką, jak pierwszy pocałunek... To uczucie nigdy się nie powtórzy. Nigdy, nigdy, nigdy.

Nigdy, nigdy, nigdy. Nigdy nie wróci ten pierwszy raz.

Tak właśnie przechadzałam się wówczas po Paryżu, jak wiecznie zaskoczone dziecko. Jak to możliwe, że dopiero teraz się tu przeprowadziłam? Jak mogłam pozwolić, żeby upłynęło tyle szarych, jałowych lat? Co ja robiłam przez cały ten czas? Lenistwo, strach, niepewność... Pogrążałam się w marazmie, aż w końcu się obudziłam. Spanie ma sens tylko wtedy, kiedy śnimy.

Nigdy nie znudzi mi się wspomnianie tej konkretnej chwili. Paryż i ja. Zamykam oczy i znów słyszę muzykę, która wtargnęła do mojego domu i życia.

Je ne sais pas qui tu peux être, je ne sais pas qui tu espères, je cherche toujours à te connaître et ton silence trouble mon silence...

Zacząłam szykować się na spotkanie z panem Ardissonem. Miał mi coś do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 17

Nazajutrz po wystawie Kislinga obudziłam się u Kiki. Odgłosy parzenia kawy postawiły mnie na nogi. Z łóżka widziałam wpadające przez okno światło dnia.

– Jaki piękny dzień...

– No ba! *C'est Paris!*

Skrzywiła się z bólu.

– Chyba ciągle jestem pijana.

– Nie dziwi mnie to.

– Aaa! Kto wczoraj podszedł do tego wielkiego pana? – zapytała. – Ja?

Niezwykła witalność Kiki sprawiła, że się uśmiechnęłam.

– Nie, to nie ty. To ja.

– A co to za dżentelmen?

– Ęrno Hessel, węgierski architekt.

– Proszę, proszę, panienska dopiero co weszła na salony...

Ciągle jeszcze czułam drżenie pod skórą. Niby to zwykła rozmowa nabywcy obrazu z modelką. Niby trwało to krótką chwilę. Niby tylko tłumaczył mi, dlaczego dokonał zakupu. Niby interesowało go wyłącznie olbrzymie płótno Polaka, wypełniające kolorami całą salę.

– No, Alice – zachęcała Kiki, nalewając kawę. – Ta chwila, kiedy uciekłaś od Kislinga, a on do ciebie podszedł, była cudowna. Wszyscy zaniemówili, malutka. Patrzył na ciebie z pożądaniem. Już ja coś o tym wiem!

– Uśmiechaliśmy się do siebie.

– Uśmiechaliśmy się! Oj, Alice! Z Kopciuszka zmieniałaś się w piękność pokroju hrabiny Greffulhe!

– Co masz na myśli?

– Kiedy patrzy się z zainteresowaniem... Takie spojrzenie jest zupełnie inne, o mała, naiwna Alice.

– W moich oczach mogło malować się co najwyżej zdenerwowanie tą całą sytuacją.

– Ha, ha, ha! Zdenerwowanie sytuacją. Pewnie, sytuacją nieskończenie romantyczną i zmysłową.

– Jesteś pijana!

– Zdradził cię blask w oczach. Oczy są najpewniejszym dowodem, nie mogą kłamać...

A Kiki z Montparnasse'u nie da się oszukać, nawet gdyby złożyć mi u stóp wszystkie suknie Paula Poireta. Ha! I owszem, jestem pijana.

– Nie masz zasad.

– Mam cele, to dużo ciekawsze.

– Jak to?

– Tak to. Przestań marudzić.

– Ja nie zmieniam przekonań z dnia na dzień.

– To właśnie u progu nowego dnia, w tej godzinie przed świtem, najczęściej zmieniają się zasady...

– Zrobiłam tylko to, co musiałam.

„Zrobiłam, co musiałam”. Sama nie wiedziałam, co mówię. To, co musiałam zrobić, to żyć po tylu latach szarej egzystencji. Ona już przyzwyczała się do takiego życia, ja musiałam szybko nadrobić stracony czas.

– A to, co powinnaś zrobić, to wyjść z nim.

– Chętnie coś bym ci powiedziała, ale tego nie zrobię. Masz tupet. A on to dżentelmen.

– Uuuuu, wygląda na to, że nasza mała Alice jest romantyczką! W dzisiejszych czasach...

Zamilkła i spojrzała mi w oczy z trzeźwością pijaka pewnego swoich słów.

– Tylko się przypadkiem nie zakochaj w dżentelmenie. Oni się w nas nie zakochują. – Złapała mnie za ramiona.

Nie odpowiedziałam.

– Rozumiesz chyba, prawda? Nie są dla nas.

Nadal milczałam. Wycedziła to tak powoli, że aż się przestraszyłam. „Nie. Są. Dla. Nas”. W zaledwie kilka tygodni moje życie wypełniło się po brzegi, od zera doszłam do setki. Cały ten świat, ukryty dotychczas gdzieś w Paryżu, wybuchł mi nagle prosto w twarz jak roztrzaskany flakon perfum. Nie mogłam już się cofnąć – siedziałam w pociągu, na miejscu przy oknie, i ruszałam w najwspanialszą, najbardziej fascynującą podróż mojego życia. Czego mogła pragnąć dziewczyna z biednej dzielnicy zaproszona na wielki bal? Tańczyć. Podziwiać. Żyć. Dać się ponieść. W dzieciństwie patrzyłam, jak tańczą damy w kapeluszach o szerokim rondzie i z kwiatami we włosach, jak co roku 14 lipca pod Panteonem kręcą piruety z panami w garniturach. To ten bal co roku budził we mnie największe emocje ze wszystkich zabaw organizowanych na świeżym powietrzu: wszystkie panie na galowo, w najlepszych strojach, z błyszczącymi spinkami we włosach, a spódnice zaplątywały się w spodnie partnerów. Bawiła się cała ulica. Bawił się cały Paryż. Ja zaś obserwowałam to wszystko z chodnika i nie mogłam wyjść z podziwu. Chciałam być jedną z nich. Stopami odzianymi w odświeżone buty – teraz już schodzone i rozklapane – wystukiwałam rytm wszystkich utworów. Matka mocno ścisnęła mnie za rękę, ojciec porwał do tańca gdzieś na uboczu, żebyśmy nie mieszały się z eleganckim państwem. Ja

zaś chciałam znaleźć się w samym środku, marzyłam o staniu się kiedyś jedną z nich, w spódnicy z błyszczącego jedwabiu, nowych butach, z wielkim kokiem na głowie, kolczykami w uszach, szminką na ustach i różem na policzkach. To był szczyt moich marzeń, nie pragnęłam niczego więcej. Wtedy miałam tylko dziesięć lat, teraz mogłam naprawdę stać się jedną z nich...

– Zrozumiałaś?

– Tak.

– To mężczyźni. Pewnego dnia będziemy traktowane tak jak oni. Ale jeszcze nie teraz.

Na parę minut zapadła cisza, a tymczasem nalałam sobie kawy do jednej z filiżanek. Kiki umyła twarz, spryskała się perfumami i narzuciła na ramiona błękitny peniuar.

– Ktoś dzwoni do drzwi.

– Ja otworzę.

Jakiś chłopaczek wręczył nam zalakowaną kopertę, zaadresowaną niezwykle eleganckim i wymyślnym pismem, tak pełnym zawijasów, że na pierwszy rzut oka niemal nieczytelnym. Goniec wyciągnął otwartą dłoń i Kiki położyła na niej monetę. Złapała list i szeroko wytrzeszczyła oczy. Wypity poprzedniej nocy rum wzmocnił jeszcze jej zwykłą skłonność do przesady. Koperta była mocno wypchana i z początku Kiki myślała, że przeznaczona jest dla niej. Kokieteryjnie westchnęła. Powąchała list i podeszła z nim do światła. Na kopercie nie umieszczono adresu nadawcy, a jedynie adresata. Teatralnym gestem obróciła ją w dłoniach. Skłoniła szyję i ukryła ją w ramionach, wygłupiając się, wciąż z kopertą w rękę. Przybrała jeszcze bardziej dramatyczną pozę, odchrząknęła uroczyście i głośno przeczytała: „Panna Alice Humbert”.

– Patrzcie państwo! List do panienki Humbert!

– Możesz mi go dać?

– Przeczytajmy razem.

– Od kogo to?

Odwróciła kopertę.

– No proszę! Sam wielki pan Ęrno Hessel je ci z ręki już po jednym spotkaniu!

– Kto?

– Ęrno Hessel.

– Poważnie, Kiki?

– Poważnie, dziewczyno. Wszystko wskazuje na to, że to od niego.

Czarująca Alice!

Taki początek mógł prowadzić tylko do najintymniejszych, poruszających wyznań. Nie dałoby się zacząć lepiej. Pierwszy raz w życiu dostałam od kogoś list.

Poznaliśmy się wczoraj na otwarciu wystawy w galerii Taitbout. Udało mi się dowiedzieć, że zatrzymuje się Pani obecnie u panny Kiki, prawdziwej gwiazdy tego Paryża, który najpewniej niedługo wybuchnie i szczytnie w płomieniach. Tak długo naciskałem na naszą drogą przyjaciółkę Thorę Dardel, że – uprzejma jak zawsze – podała mi pani tymczasowy adres.

Wiem, że pewnie Panią zaskoczyłem, ale zaręczam, że zaskoczyłem również samego siebie. Długo zbierałem się na odwagę, żeby do Pani napisać, ale kiedy zobaczyłem Pani portret na ścianie mojego salonu, nie miałem innego wyjścia – dopadłem do kartki, żeby skreślić kilka słów. Muszę wyznać coś, co wstydziłem się powiedzieć wczoraj, w obecności tylu ludzi: obraz Kislinga nie oddaje rzeczywistości. Jest Pani niewiarygodnie piękna. Przyznaję jednak, że to wielkie płótno przypomina mi o naszym spotkaniu i chciałbym znów się z Panią spotkać.

Zdaję sobie sprawę, że moje słowa, choć szczerze, są też zuchwałe. Zapewne powinienem wziąć pod uwagę, że może mieć Pani narzeczonego albo że po prostu nie przypadłem Pani do gustu. Zrozumiem więc, jeśli odmówi mi Pani i odrzuci moją propozycję. Wiem, to szaleństwo, ale po to właśnie jest życie. Chciałbym Panią zobaczyć. Zobaczyć choć jeszcze jeden raz, jak błyszczą Pani oczy i jak wypełnia Pani swoją urodą całą przestrzeń wokół. Wyjechałem dziś z Paryża w podróż służbową – interesy wzywają mnie do Clermont Ferrand – ale marzę, że po powrocie spełni Pani moje życzenie i sprawi mi tym niezmierną radość.

Zrozumiem, jeśli nie odpowie Pani na ten list i poświęci się sztuce oraz pozowaniu dla wielkich artystów. Jeśli jednak przystaje Pani na propozycję spotkania, zapraszam Panią na obiad w następny piątek. Będę czekał przy stoliku koło okna w La Tour d'Argent. Wyślę po Panią samochód.

Na Boga, błagam: niech obraz zdobiący teraz mój salon ozdobi także moje życie.

Z oddaniem,

Ërno Hessel

ROZDZIAŁ 18

Punktualnie o trzynastej popchnęłam drzwi do La Tour d'Argent ręką, w której trzymałam komórkę. W rezultacie przycięłam sobie dłoń i postanowiłam schować telefon do torebki. Od wielu dni zbierałam się, żeby zadzwonić do fundacji i jakoś usprawiedliwić nieobecność na pogrzebie ciotki. Choć ciągle jeszcze byłam w szoku, to życie w dużym stopniu mnie znieczuliło, uodporniło na ból. W głębi duszy wiedziałam, że teraz już rzeczywiście zostałam sama jak palec. Wszyscy odchodzili ode mnie bez ostrzeżenia. Złość nie miała sensu. Mogłam wybrać: całkowita wolność albo bolesna samotność. Zdecydowałam się na to pierwsze.

– Mam rezerwację na nazwisko Teresa Espinosa.

– Ktoś już na panią czeka. Proszę za mną.

Kelner roztaczał wokół siebie surową, niemal wojskową atmosferę. Otworzył mi drzwi i poprowadził w stronę sali. Czułam, że robię krok w przeszłość, że zagłębiam się w nie swoje życie, jednak coraz bardziej znajome. Jak gdyby wszystkie zastępy duchów umówiły się, żeby tego właśnie dnia przekazać mi jakąś wiadomość. Szłam za szczupłym, wysokim i wyprostowanym jak struna młodzieńcem przez korytarz o ścianach obwieszonych zdjęciami ważnych osobistości – miały robić wrażenie na gościach – premierów, prezydentów, królów, generałów, choreografów, Agi Chana, gwiazd srebrnego ekranu, estrady, wybiegów...

Czułam się jak dziecko. Podczas podróży samolotem zawsze w wyobraźni szybowałam wśród chmur – marzyłam, że wylatuję przez okienko i zanurzam się w tej puszystej miękkości. Teraz zdałam sobie sprawę, że aby spacerować w chmurach, nie potrzebuję wcale uruchamiać fantazji. Obcasy moich butów tonęły w cudownie puszystym dywanie, aż doszłam do windy i wjechałam nią do głównej sali. Po otwarciu drzwi zobaczyłam olbrzymie okno, dokładnie takie jak na zdjęciach, z widokiem na całą katedrę Notre Dame, a także na wieżę Eiffla. Zaniemówiłam z wrażenia. Czas stanął tu w miejscu. Luksus, przepych, elegancja, okazałość, wytworność doprowadzona do granic możliwości i francuski dobry smak pochodziły z innej epoki. Kelnerzy witali mnie z uśmiechem, jakby cały świat zgodnie uparł się sprawić mi dziś radość. Mocno wcisnęłam palce stóp w miękką jak obłoczki podłogę. Frunęłam. Przy stolikach siedzieli siwowłosi panowie z żonami, kilka par zakochanych turystów, pogrążonych w swoim świecie i ignorujących moją obecność, biznesmeni dyskutujący półgłosem nad butelką wina, a w głębi, przy najlepszym stoliku w lokalu – Ardisson. Dziennikarz uśmiechnął się na mój widok i uniósł kieliszek szampana w powitalnym geście. Podeszłam do okna, stremowana i speszona,

próbowałam nadrabiać miną, ale daremnie – ze zdenerwowania drżały mi dłonie i czułam, jakbym stała po kostki w lodowatej wodzie. Od dziecka brałam udział w dziesiątkach oficjalnych przyjęć w fundacji, ale wszystkie przeżycia i doświadczenia na nic się zdały w tej sytuacji, w tym miejscu i czasie. To tu było prawdziwe serce Paryża.

Podeszłam do stolika, a Ardisson wstał i ucałował mnie w oba policzki.

– No i przysłała piękna Hiszpanka – powiedział.

Wodziłam nerwowym wzrokiem od stolika do złożonych szklanek, od fasady katedry do światła odbijającego się w wodach Sekwany, i z powrotem do stolika. Niepewność, czy uzyskam dziś jakieś nowe informacje, minęła jak ręką odjął, kiedy dojrzałam na stole plik dokumentów podpisany „Alice”. To wystarczyło, żeby przeszedł mnie dreszcz podniecenia.

– Są państwo gotowi?

Kelner bezszelestnie wyrósł za moimi plecami.

– Wybrali państwo wino?

Ardisson tylko się uśmiechnął.

– Rozumiem, że to co zawsze?

– W rzeczy samej.

– Doskonale.

Chłopak mimowolnie zaglądał mi w dekolt – kiedy stał tak sztywno wyprostowany obok mnie, jego wzrok padał wprost na moje piersi. Nie przeszkadzało mi to, a wręcz pochlebiało. On jednak najwyraźniej miał już na końcu języka słowo „przepraszam”, kiedy jego nieprzyzwoite spojrzenie spotkało się z moim.

– Świetny wybór. To wspaniałe wino – wyjąkał, żeby powiedzieć cokolwiek.

Spojrzałam mu w oczy. Pod jego wzrokiem czułam się kobieco. Tego ranka obudziła się we mnie kokietka i założyłam nową zieloną sukienkę z uwodzicielskim dekoltem. Absurdalny wybór stroju na spotkanie z podstarzałym Ardissonem, ale w Paryżu chciałam czuć się kobietą. W końcu był mężczyzną, niezależnie od wieku. W ciągu długich tygodni przed otwarciem sklepu zafundowałam sobie taką terapię.

– Jeśli pani pozwoli – zaczął dziennikarz – proponuję, żebyśmy przenieśli się w czasie do samego początku istnienia tej restauracji. Zamówmy kaczkę, to popisowe danie La Tour.

– Domyśliłam się już przy wejściu – odparłam, żeby przełamać lody i trochę rozluźnić podniosłą atmosferę. – Słyszałam kwakanie przy drzwiach.

Natychmiast poczułam się jak idiotka, ale twarz Ardissona rozjaśniła się. Zaśmiał się serdecznie, po czym dostał ataku kaszlu.

– Ma pani rodzinę? – odchrząknął i zapytał.

– Nie. Już nie. Niedawno zmarła moja ostatnia krewna, ciotka. Siostra mojej matki. Wychowała mnie.

– Przykro mi. Nie chciałem być wścibski.

– Nic się nie stało. Prawdę mówiąc, odczułam ulgę – wyznałam. – Tak jak po przyjeździe tutaj.

Rozumiał mnie jak ojciec.

– A pan? Ma pan rodzinę?

– To nie takie proste...

– W takim razie może lepiej zmienimy temat. Pokażę panu zdjęcie.

Zrobiłam fotografię mojego drewnianego szyldu i wyjęłam ją teraz, żeby mu pokazać. Podkreślałam wagę tego zakupu i impulsu, który mnie do niego popchnął.

– Tego wrażenia nie da się racjonalnie wytłumaczyć – wyjaśniłam.

– Mówi pani, że czuje coś dziwnego w obecności różnych starych przedmiotów. Ma pani na myśli coś złego?

– Nie, nie. Czasem to uczucie negatywne, czasem pozytywne. Mam na myśli pewne wrażenie. Nie wiem, czy mówię z sensem, to bardzo ulotne, nieuchwytne, trudne do opisanie i nie jest łatwo...

– O definicję – dokończył.

– Tak. Przedmioty zachowują wspomnienia. Noszę na przykład ten wisiołek po mamie. Nie ma żadnej wartości materialnej, jest pozłacany. Dla mnie jednak przedstawia niezwykłą wartość sentymentalną. Kiedy go dotykam – zacisnęłam wisiołek w dłoni – czuję, że ona jest przy mnie. Jej obecność mówi mi: „Spokojnie, jestem tu, u twojego boku”. Dzięki niej idę naprzód. Ściskam wisiołek z całej siły, kiedy czuję się niepewnie, potrzebuję wsparcia. I znajduję je. W niej. Ona mi towarzyszy.

– Naszyjnik ma więc wielką wartość – powiedział.

– Dlatego że należał do niej. Kiedy zbliżę go do nosa, niemal czuję jej zapach. Wiem, że to niemożliwe, nie zdejmuję go nigdy, także do kąpieli... Ale przypomina mi się zapach i ciepło jej skóry, pocałunki na dobranoc. Pewnie wydaje się to panu głupie.

– Ależ skąd! Absolutnie tak nie uważam.

– Jedno jest pewne: to, co ma zostać, zostaje. Mama zawsze to mówiła. Jeśli do dziś noszę ten naszyjnik, to dlatego że potrzebowałam jej obecności u mojego boku. Nie chodzi o ochronę, ale o potrzebę obecności. Jeśli zdejmę go i nie będę mogła w każdej chwili do niego sięgnąć, oszaleję. Być może zbyt silnie przywiązuję się do przedmiotów.

– Bzdura! Sama pani powiedziała, że przedmioty też dają nam życie.

– Do czego pan zmierza?

– Chcę powiedzieć, że to, co czuje pani w związku z wisiorkiem po matce, a także pani przecucie przy zakupie szyldu, wykracza poza ten świat. Niektóre przedmioty nas wybierają i zostają z nami.

Zamilkłam, jak zahipnotyzowana obracając w myśli jego ostatnie zdanie: „Niektóre przedmioty nas wybierają, przedmioty nas wybierają, przedmioty...”.

Drżałam, gdy obnażałam swoją duszę przed Ardissonem. Miałam już dość śmierci – przez całe życie musiałam żegnać się ze wszystkim i wszystkimi. Umarli moi rodzice, umarł pies, umarła miłość. Otaczała mnie śmierć, a teraz ktoś zaczął mi mówić o życiu.

– Alice to piękne imię – zmienił temat.

– Wie pan, że już wszystko przemyślałam w związku z otwarciem sklepu? Poważnie się zastanowiłam i serce podpowiada mi, że potrzebne jest miejsce, gdzie będzie można kupić drobną biżuterię, pierścionki, kolczyki, wyroby złotnicze i jubilerskie w rozsądnych cenach, dostępne dla wszystkich. Skontaktowałam się też z rękodzielnikami, wytwórcami broszek i kapeluszy, wszystkie będą wyjątkowe i niepowtarzalne. Ach, no i oczywiście apaszki! Kolorowe szaliki, fulary...

– Widzę, że fascynują panią kolory.

– Potrzebowałam koloru. Nawet pan nie wie, jak bardzo.

– Rozumiem. Życie dostarcza nam dość szarości. Nie zauważyła pani, jak szare jest to miasto?

– Mnie Paryż zdaje się tryskać feerią barw.

– To dlatego, że jesteśmy naiwni. Koloru się nie szuka, on zjawia się sam.

– Tu czuję się lepiej.

– Bo jest pani szczęśliwa. Dlatego widzi pani wszystko w innych barwach.

– Cieszy mnie to.

Przypomniały mi się słowa starego malarza. Obaj mieli rację: kolor pojawia się, kiedy porzucamy szarości, a dopóki nie pozbedziemy się resztek smutku, nie można ubarwić życia. I choćby ktoś niestrudzenie próbował ukryć prawdę, zamalowywać ją kolejnymi warstwami koloru, ubierać się w czerwienie, pomarańcze czy zielenie, spojrzenie zawsze zdradzi smutek i żal. Tylko na czystym białym płótnie można stworzyć nowy obraz. Na rysunkach radosnych, beztroskich dzieci widać wszystkie kolory tęczy. To w bólu barwy przygasają, szarzeją, matowieją. Nie można żyć szczęśliwie na brudnopisie, trzeba wziąć czyste płótno i zacząć od nowa.

– Dla mnie wszystko wygląda szaro. Myślę, że z wiekiem kolory zaczynają się zlewać. Nie pomaga też ta przeklęta zaćma mąca mi wzrok.

Nie chciałam widzieć smutku w jego oczach. Nalałam nam wina i wzniosłam kieliszek w geście toastu.

– Planuję też wprowadzenie niewielkiej kolekcji ślubnej, takich drobiazgów dla pań młodych na najszczęśliwszy dzień w życiu...

– A ślub jest najszczęśliwszym dniem w życiu?

– Tak sędzę.

– Jest pani mężatką?

– Nie, panną.

- Skąd więc może pani wiedzieć, że to najszczęśliwszy dzień w życiu kobiety?
- Skoro wszystkie tak mówią... Szczerze mówiąc, dla mnie... – wbiłam wzrok w okno – najszczęśliwszym dniem był...

Doskonale pamiętałam najszczęśliwszy dzień mojego życia, ale jednocześnie przypomniiał mi się ten najbardziej nieszczęśliwy. Postanowiłam więc wyrzucić z głowy Laurenta.

- Co jest w tej teczce?
- Wszystkie dokumenty o Alice Humbert, jakie udało mi się dla pani zebrać.

ROZDZIAŁ 19

Erno Hessel nalał mi czerwonego wina. Bałam się poplamić białą sukienkę – może nie wybrałam najlepszego stroju na obiad z dopiero co poznanym mężczyzną, ale nie posiadałam się ze szczęścia i chciałam, żeby biło ode mnie światło.

– Pani obraz zawiśnie kiedyś w muzeum.

– Co za wstyd! Wszyscy mnie zobaczą.

– Nikt pani nie pozna, Alice. Technika tego Polaka...

– Jest specyficzny.

– Wiem, co ma pani na myśli. Nie postępuje etycznie.

– Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć.

– Proszę nic nie mówić.

– Już od wielu tygodni pozuję w jego pracowni.

– I co? Nie myślała pani, żeby odejść?

– To moja praca. Wiem, że to nie...

– Proszę się nie usprawiedliwiać. To dzięki niemu teraz tu siedzimy. Jakie on ma znaczenie?

– Początki były straszne. Gdyby nie piec, który rozgrzewał mi zeszywniałe mięśnie, zdrętwiałabym już podczas pierwszej sesji i zwolniliby mnie. To ciężki kawałek chleba, a mistrz też nie ułatwiał mi zadania...

– To błazen, ale udaje surowego.

– Sam pan wie, jaki jest Kisling.

Zamilkliśmy na chwilę, jakbyśmy oboje dysponowali tą samą wiedzą i tak samo chcieli o niej zapomnieć. Schowałam ręce pod stołem jak mała dziewczynka, on zaś podniósł kieliszek do ust, pociągnął łyk wina i nie spuszczał ze mnie wzroku. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na jego oczy – dwa zielone ogniki, w źrenicach odbijał się cały świat. Dojrzałam w nich Sekwanę. Wypełniała je cisza.

– Jest pani piękniejsza niż na obrazie.

– Dziękuję.

– Wszyscy podziwiają obraz wiszący w moim salonie. Wychwalają zarówno pani piękno, jak i geniusz autora. Kisling może stać się kimś wielkim, jeśli uda mu się wyjść w końcu z cienia Modiego.

– Tak pan myśli?

– Ęrno. Mogę mówić do pani Alice? Proszę mówić mi Ęrno...

Dokładnie w tej samej chwili, gdy przeszliśmy na ty, zrozumiałam, że ten mężczyzna zostawi po sobie trwały ślad w moim życiu. I faktycznie – wzniosł toast po węgiersku, stuknęliśmy się kieliszkami i odrobina wina wylała się na moją suknię. Zostawił swój podpis i pieczęć, jak weksel na czas nieokreślony, bez terminu wymagalności ani nazwy spółki. „Wypłata miłości nastąpi w terminie zapisanym w umowie, poręczyciel staje się dłużnikiem solidarnym z dłużnikiem głównym, posiadaczowi weksla należy się częściowa spłata zobowiązania, ale dokument pozostanie w jego posiadaniu”. „Przepraszam, Alice, nie wiem, co się dzieje, zadrżała mi ręka”, a może „wybacz, w momencie toastu ogarnęła mnie nagła panika”. Co powiedzieliśmy? Czy to ważne, że nie pamiętam? Ja też aż podskoczyłam, też oblałam się rumieńcem, oszołomiona natłokiem uczuć, i nie wiem, co powiedział ani co na to odparłam, na pewno coś godnego dwojga wariatów, co brzmiało jak fantazja, ułamek szczęścia, najprawdopodobniej nerwowo wyjąkany toast. Marzyłam o tym, żeby umilkły głosy ofiarujących pomoc kelnerów i żeby znów oblało mnie wino.

Miłość złożyła swój podpis w kolorze bordo.

– Poplamiłaś sukienkę... – powiedział.

Próbowałam zlekceważyć sprawę.

– Nic się nie stało.

– Może wezwę kelnera? Przyniosą ci inną sukienkę.

– To nic takiego, naprawdę. Mówi się, że wino przynosi szczęście – odparłam.

– W takim razie polejmy się jeszcze!

– Słucham?

– Żartowałem – rozciągnął usta w najpiękniejszym uśmiechu na świecie. – Przed wyjściem weźmiemy te kwiaty z wazonu. Zasłonisz bukietem plamę i będziesz wyglądać jak panna młoda krocząca uroczyście pomiędzy stolikami.

Nic nie odpowiedziałam. Czasem lepiej milczeć. Patrzyłam w jego błyszczące oczy i zastanawiałam się, o czym może myśleć. Z całych sił zacisnęłam pięści pod stołem i pomyślałam życzenie do mojej świętej patronki: modliłam się, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Poczułam, że powinnam zachować białą suknię na inną okazję, że trochę się pośpieszyłam, przywdziewając strój panny młodej. Tak bardzo śpieszyło mi się, by choć raz w życiu być tą pierwszą. Nagląca potrzeba zaczęcia od zera, chęć wymazania przeszłości, uczuć, przekształcenia serca w białą kartę. Oto siedziałam w najdroższej restauracji w Paryżu, a zarazem u progu podróży w nieznane. Zakochana na zabój. Plama na sukience powiększała się, a ja coraz bardziej dawałam się ponieść, pogrążona raczej w jego myślach niż w swoich. On zaś siedział pochylony w moją stronę i otulał mnie tym głosem z szorstkim, chrapliwym akcentem. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

Miłość przenikała z sukienki do serca.

Z taką pewnością siebie i przekonaniem opowiadał mi o wielkiej piwnicy na wino w lokalu, że moje życie wywróciło się do góry nogami przed tym ogromnym oknem z widokiem na starą Notre Dame i żelazną wieżę, pozostałość po wystawie. Tak zatopiłam się w jego słowach, że metalowy kolos zaczął mi się nawet podobać. Wiem, że mówił o podróżach, o ulubionych książkach, o przyjaciółach, o architekturze, o życiu na Montmartrze i Montparnassie, o zamiłowaniu do sztuki i kupowania dzieł nowych malarzy... Ale ja znajdowałam się zupełnie gdzie indziej. Wszystko było zupełnie nowe. Ja też byłam zupełnie nowa.

Głęboko nabrałam powietrza i zanim się spostrzegłam, opowiadałam mu historię mojej rodziny – śmierć ojca, Fresnaultowie, dzieciństwo, matka. W miarę jak mówiłam, jego twarz coraz bardziej łagodniała. Wyglądał jak lekarz, który postawił diagnozę. Miałam wyrzuty, że wcześniej nie byłam z nim szczerą, ale ulgę sprawiało mi też niemówienie całej prawdy. Może nawet lepiej.

Kiedy skończyłam, Ęrno położył dłoń na mojej dłoni.

Chciałam spojrzeć mu w oczy, ale nagle stchórzyłam. Obróciłam się w stronę okna – wszystko pozostawało na swoim miejscu, Paryż, o jakim nie miałam pojęcia, rozpościerał się przede mną nagi jak ja na obrazie w galerii. Znowu przeszedł mnie dreszcz, ale tym razem wywołany przez rzeczywistość. W szybie odbijała się jego twarz, patrzył na mnie, i kiedy udawałam, że podziwiam łuki katedry, ukazywał się moim oczom, namalowany na szkle, nieśmiały i zakochany. Wpatrzony we mnie.

Miłość rozlała się w moim sercu jak wino plamiące sukienkę.

ROZDZIAŁ 20

Zamarłam. Podniosłam się powoli, na pozór spokojnie, żeby ukryć szok, i czym prędzej poszłam w stronę łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze. Miękki, puszysty dywan w La Tour d'Argent utrudniał mi zwinne poruszanie się pomiędzy stolikami, kilka razy straciłam równowagę, zanim zdołałam ukryć się za drzwiami toalety, przyłoczona informacją przekazaną mi przez Ardissona. Schroniłam się w łazience, sama w obliczu wstrząsającego odkrycia. Schowałam się przed światem. Potrzebowałam chwili dla siebie.

„Czy mógłby pan powtórzyć datę?”

Albo była to jakaś pomyłka, albo makabryczny zbieg okoliczności. Odkręciłam wodę i przez kilka minut myłam ręce, pochylona nad umywalką. Ogarnęły mnie lęk, niepewność, poczucie osaczenia, a do tego bezsilność – nie wiedziałam, co mówić, co myśleć, co robić. Przełknęłam ślinę. Mama mówiła, że kiedy śni nam się koszmar, wystarczy zapalić światło, ale tu lampy świeciły jasno. Jak zareagowałby stary malarz? A ja? Jak powinnam zareagować? Pewnością siebie? Spokojem?

„Szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku”.

Oddychałam głęboko, tak jak nauczył mnie lekarz, kiedy w młodości cierpiałam na astmę. Nabrałam powietrza i mocno je wypuściłam. Z trudem zmusiłam się do bardziej miarowego oddechu. Zacerpnęłam tyle powietrza, ile zdołałam, po czym je powoli wypuściłam. I jeszcze raz. Zrobiłam ćwiczenia na szyję, żeby rozluźnić napięte plecy. Z każdym głębokim wdechem czułam, że wchłaniam wszystkie dziwne zdarzenia ostatnich miesięcy. „To tylko przypadek, Tereso... Kolejny zbieg okoliczności, nic takiego... Nic się nie dzieje, to zwykła zbieżność dat... Nic więcej”. W końcu oddech się uspokoił, a wydobywający się z moich płuc świst ucichł.

Zapaliłam papierosa i dałam sobie jeszcze kilka chwil na uspokojenie przed powrotem do stołu, gdzie czekał już pewnie deser. Musiałam siedzieć tu od dłuższego czasu. Co się działo? Czy to wszystko zwykły przypadek, zbieg okoliczności? Jedna z tych dziwnych igraszek losu, które odwracają nasze życie o sto osiemdziesiąt stopni i bawią się nami jak marionetkami? Z pewnością. Skłaniałam się ku myśli, że ta zbieżność dat to właśnie taki kaprys losu. Jak bardzo ta kobieta mogła kontrolować moje życie? Czy to ja byłam sprawczynią tych wszystkich wydarzeń? Krążyłam od ściany do ściany, a towarzystwa dotrzymywało mi tylko moje własne odbicie w rzędzie lusterek. Mimo to wciąż mamrotałam pod nosem pojedyncze, oderwane od siebie słowa: szyld, antykwariat, Paryż, materiały, fotografie, sklep...

„6... września... 1972 roku”.

Nagle poczułam, że muszę usiąść. Szarpnęłam za drzwi jednej z kabin i opadłam na sedes, chciałam jeszcze bardziej się ukryć. „To tylko przypadek, zbieg okoliczności”.

Skupiłam się na tym, jak cudownie żyło mi się do tej pory w Paryżu, z uczuciem nowego otwarcia, nowego życia, które towarzyszyło mi podczas każdego spaceru nieznanymi ulicami. Przypomniałam sobie wielkie okno z widokiem na Sekwanę, leniwie płynącą rzekę, gorące naleśniki w L'Ébouillanté, stare księgarnie, pomysły na sklep, nowy niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. Zaczęłam myśleć o błękitnym odcieniu materiału, o sympatycznej ekspedientce, o zapachu unoszącym się w butik. I nagle...

Hałas.

Główne drzwi prowadzące do łazienek otworzyły się i usłyszałam kobiece kroki przemierzające damską toaletę. Zatrzymały się przed drzwiami mojej kabiny. Serce biło mi jak szalone. Wzięłam głęboki wdech i od nowa zaczęłam ćwiczenia oddechowe. Poczułam jednak ucisk w klatce piersiowej i wstrzymałam oddech. „To ona?”. Takie samo ukłucie w piersi towarzyszyło pierwszemu spotkaniu z Alice, kiedy moją uwagę przykuł szyld w madryckim antykwariacie i wiedziałam, że nic już nie będzie takie samo. Kobieta bez słowa stała pod drzwiami, o jej obecności świadczył tylko zapach perfum – staromodny, zwietrzały przez lata. Znajdowała się o mniej niż dwa metry ode mnie, starałam się nie wydawać z siebie żadnego dźwięku, ukryć swoją obecność. Wystarczyło tylko odkaszląć albo zdecydowanym krokiem wyjść z kabiny, żeby wiedzieć, kto spowija mnie chmurą perfum... Czego się bałam?

Oparłam ręce o drzwi i przybliżyłam do nich ucho, aby złowić jej oddech, ale słyszałam tylko swój własny. Nawet tu dobiegały dźwięki fortepianu, mimo grubych aksamitnych kotar zasłaniających korytarzyk prowadzący do toalet i dość skutecznie tłumiących wszelkie odgłosy z sali. Co robić? Zza drzwi nie docierał nawet najcichszy szelest – ani głos tajemniczej kobiety, ani szum wody z kranu, ani trzask zamykanych drzwi wyjściowych. Wciąż jednak stała tam bez ruchu. Potwornie bałam się, że okaże się... nią. Odległa muzyka fortepianowa pozwoliła mi się nieco uspokoić. Po jakimś czasie poczułam, że serce bije mi spokojniej.

Odczekałam jeszcze kilka sekund i postanowiłam wyjść z ubikacji. „Teraz otworzę drzwi i ją zobaczę. Nie dzieje się nic strasznego. Pójdę umyć ręce. Zobaczymy się, przywitamy i wreszcie odetchnę z ulgą”. Chwyciłam dłonią za gałkę u drzwi, delikatnie przekręciłam i wyszłam.

Jak to możliwe?!

Obracałam się we wszystkie strony. „Nic! Nikogo!”. W łazience znajdowała się tylko jedna kobieta: ja – i moje odbicia w lustrach. Rzuciłam się do drzwi innych kabin – wszystkie były puste, ale w powietrzu nadal unosił się zapach, coraz słabszy, w miarę jak gwałtownie kręciłam się w kółko, szukając nie wiadomo czego. Musiałam przemyć twarz zimną wodą.

„Alice Humbert zmarła szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku”. Słowa Mathieu Ardissona odbijały się echem w mojej głowie.

Wróciły nagle lęki z dzieciństwa i poczułam się niedorzecznie, absurdalnie, ale przede wszystkim – bezsilnie w obliczu nieznanego, niewidzialnego. Choć ani na chwilę nie ogarnęło mnie prawdziwe przerażenie, to zaczęłam podejrzewać, że obecność tej kobiety w moim życiu miała większe znaczenie, niż mogłam przypuszczać. Zaczęłam powoli zbierać się do wyjścia z łazienki. W rzeczywistości nie minęło wcale tak dużo czasu, nie musiałam więc wymyślać żadnej wymówki dla czekającego przy stoliku towarzysza. Alice zajmowała więcej miejsca w moich myślach niż kiedykolwiek wcześniej: miałam jej szyld, znałam jej twarz, widziałam jej zdjęcia, a teraz dowiedziałam się, jakich perfum używała. Zanim zamknęłam za sobą drzwi łazienki, ukradkiem zerknęłam w barokowe zwierciadło nad toaletką. Odbijało się w nim niepewne spojrzenie, może niezbyt wesołe, ale pełne spokoju i pogody ducha. Oczy kobiety szczęśliwej.

Moje oczy.

Wyszłam z łazienki i wróciłam na salę, gdzie oczekiwał mnie pan Ardisson.

ROZDZIAŁ 21

– Chciałabym coś panu powiedzieć w związku z tą datą...

– Datą jej śmierci? – przerwał mi Ardisson.

– Tak.

Zapadła cisza.

– Dokładnie tego samego dnia... urodziłam się. Właśnie szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

– Piękny zbieg okoliczności.

– Nie użyłabym słowa „piękny” – zachnęłam się. – Raczej „makabryczny”. Nie dziwi to pana?

– A czemu miałbym się dziwić?

– Ten sam dzień, miesiąc, rok...

– Życie nigdy nie przestaje nas zaskakiwać. Tyle jest przypadków...

Nadal kręciło mi się w głowie, przebiegały przez nią wciąż te same myśli. Aż trudno uwierzyć, że niemożność zrozumienia jakiejś sytuacji może wywołać tyle stresu. Mathieu dołał mi wina i wskazał palcem jedno ze zdjęć.

– Proszę przyjrzeć się jej twarzy. A teraz temu obrazowi – zmienił temat. – Alice Humbert pozowała anonimowo wielu malarzom z Montparnasse’u w dwudziestoleciu międzywojennym. Jej rysy można dostrzec na licznych płótnach w paryskim muzeum sztuki współczesnej. Zwróciła pani uwagę na podobieństwo tych kobiet?

Przytaknęłam, a on mówił dalej:

– Ostatnio poszedłem do muzeum, żeby coś sprawdzić, choć znam je na pamięć. Wielu z tych ekscentrycznych malarzy korzystało z usług tych samych modelek, przekazywali je sobie z rąk do rąk jak butelkę wina podczas kolacji. Jestem pewien, że ta kobieta pozowała zarówno Kislingowi, jak i Modiglianemu, Pascinowi i innym członkom bandy z Le Dôme. Towarzyszyła wielkim mistrzom, gdy odnosili największe sukcesy, i gdy ich sława przygasła. Trendy zmieniały się w zawrotnym tempie, sztuka nieustannie ewoluowała. Lata trzydzieste, lata czterdzieste, fotografia, kino... Mówiłem już pani, że zmarła szóstego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku...

– Ze wszystkich sił staram się zachować spokój, kiedy słyszę tę datę.

– Pani Tereso, skoro los dał pani znak w postaci zwykłego drewnianego szyldu, to może to po prostu musiało się stać.

– Jak to?

– Sama pani widzi. Przyjeżdża pani do Paryża, gnana niewytłumaczalnym impulsem do zmiany życia, ucieczki od bezbarwnej egzystencji, i na miejscu odkrywa pani więcej punktów wspólnych.

– To właśnie mnie martwi... Czy może raczej nie daje mi spokoju. Nie potrafię wytłumaczyć, o co mi chodzi... – kluczyłam, a potem uśmiechnęłam się nerwowo. – Mam wrażenie, że istnieje jeszcze jakaś inna, nieuchwytna przyczyna.

– Wręcz przeciwnie. Ten strach z pewnością przybliży panią do rozwiązania. Czasem, gdy uciekamy od własnego życia, zderzamy się z cudzym.

– Chce pan powiedzieć, że uciekając od mojego życia, jednocześnie zbliżam się do Alice?

– Być może. A może do swojego prawdziwego przeznaczenia – stanowczym tonem odparł Mathieu.

– To jakiś koszmar. Ta kobieta nie żyje. Zmarła w dniu moich urodzin. Nie wydaje się panu, że już to samo może sparaliżować mnie strachem?

– Albo skłonić do biegu – odrzekł z naciskiem.

– Jak? Dokąd?

– Dokądkolwiek – lakonicznie odparł dziennikarz i sięgnął po dokumenty. – Kilka tygodni temu porzuciła pani Madryt, gdzie wszystko zdawało się szare, a teraz tu, w Paryżu, goni pani za...

Urwał w pół zdania. Znowu zapanowała wymuszona, niezręczna cisza.

– Chce pan powiedzieć „duchem”? – zapytałam w końcu, gwałtownie wyrzucając z siebie ostatnie słowo.

– Tak. – Ardisson odwrócił spojrzenie.

– Niech pan zapomni o tym słowie. W tym wszystkim czuć jakąś pozytywną energię. Żeby to było jasne: nie widziałam żadnego ducha. Wbrew temu, co może pan myśleć, nie prześladuje mnie zjawa z przeszłości. Jak dziś pamiętam dzień, kiedy zobaczyłam ten szyld. Zaintrygował mnie, przyciągnął. Zbliżyłam się do niego niczym do odbicia w lustrze, jakbym spodziewała się usłyszeć jakieś słowa wypowiedziane szeptem. Oczywiście nie usłyszałam żadnego głosu, nic podobnego, nie jestem wariatką, nie postradałam zmysłów. To raczej tak, jakby ktoś mnie obrócił i popchnął w innym kierunku.

– Być może. Co w tym złego? Trafiła pani tutaj.

– I chcę tu zostać, ale proszę zrozumieć mój szok, kiedy poznałam datę jej śmierci...

– Jeśli nie czuje się pani na siłach, możemy zrezygnować z przedsięwzięcia.

– Ależ nie! – Nawet się nie zawahałam.

– Nie? – upewnił się.

– Oczywiście, że nie.

– Czasem odnoszę wrażenie, że pani wątpi... – zauważył, zniżając głos.

– Może wyda się to panu szalone – zastrzegłam – ale teraz nie mogę się już cofnąć. Nieważne, dla mnie czy dla Alice, muszę dalej podążać tą ścieżką. To tak, jakby moje życie wreszcie ruszyło z miejsca. Ten szyld, to nazwisko ma nade mną całkowitą kontrolę.

Mathieu Ardisson wyjął z teczki fotografię przedstawiającą Humbert z żółwiem. Zdjęcie zrobił Man Ray; nie tylko Alice tak pozowała – w niemal identycznej konfiguracji uwiecznił też Kiki. Potem dziennikarz otworzył stary, rozpadający się album, przejrzał strony oznaczone żółtymi karteczkami samoprzylepnymi i pokazał mi portrety autorstwa wspomnianych wcześniej malarzy. Faktycznie, aż dziwne, jak podobne zdawały się te twarze. „Jestem przekonany, że to Alice”, powiedział chrapliwym głosem, pozując trochę na detektywa. Nie odpowiedziałam. Przyglądałam się wspólnym cechom tych twarzy, łukom kości policzkowych i kształtowi oczu powtarzającym się na fotografiach i obrazach. Mathieu przez kilka minut patrzył tylko, jak malujące się na mojej twarzy zaskoczenie ustępuje miejsca olśnieniu. Poprosił o rachunek i gestem dał znać kelnerowi, że zapłaci kartą. Nie ruszyłam się nawet o włos, a on tymczasem poszedł do łazienki, wrócił i znów zasiadł przy stoliku. Nadal nie mogłam otrząsnąć się z szoku. Przez chwilę w ciszy przerzucałam zdjęcia i kserokopie. Nie wierzyłam własnym oczom. Poruszyła mnie świadomość, że zagłębiam się w życie kobiety, która pozowała być może dla najważniejszych malarzy ostatniego stulecia. Przeszłość zdaje się nie istnieć, dopóki nie ożywimy jej wyobraźnią.

– Skąd zdobył pan te informacje? Jak doszedł pan do tych wszystkich wniosków?

– Mam pomocników – odparł, chowając kartki do teczki.

– Opowiedział pan komuś moją historię?! – przestraszyłam się. – Pomyślą, że oszalałam. Mathieu Ardisson spoważniał. Znalazł się przeze mnie w kłopotliwym położeniu.

– Nie prosiła mnie pani o dyskrecję

– Powinien pan się domyślić. Mówiłam, że to bardzo osobista sprawa – rzuciłam ostro, dając mu przy tym do zrozumienia, że zdjęcia należą do mnie. – Nie pamięta pan, jak przerażona byłam podczas mojej pierwszej wizyty?

– Ależ oczywiście. Wyglądała pani na bardzo zdenerwowaną. Wypiła mi pani herbatę.

– Słucham?

– Kiedy skończyła już pani swoją filiżankę – odparł ze stoickim półuśmiechem.

– Czemu nic mi pan nie powiedział? Wyszłam na źle wychowaną.

Mathieu wzruszył ramionami i powiedział:

– Nieważne. Mnie też poruszyło wtedy pani odkrycie.

Tym razem nie odpowiedziałam. Czuję się jak niewychowane babsko.

– A zresztą, cóż w tym złego? Wypić czyjaś herbatę?

– Nalał ją pan dla siebie.

– Ale pani wydawała się bardzo spragniona... Również wiedzy.

– Tak czy inaczej, najmocniej przepraszam.

Ardisson nie wyglądał na przejętego. Wyprostował się na krześle i odsunął na bok talerz, żeby zrobić miejsce dla moleskinowego notesu, do którego od czasu do czasu zaglądał lub zapisywał w nim krótkie uwagi nieczytelną francuszczyzną. Przez chwilę oboje milczeliśmy i tym razem to ja wróciłam do tematu.

– Mówił pan, że opowiedział komuś naszą historię.

– Nie musi się pani obawiać. – Zawahał się, spojrzął do notesu i ściszył głos. – To zaufany człowiek.

– Jak bardzo mu pan ufa? – zapytałam z niepokojem. – Musi mi pan przysiąc, że nie wyjdę na wariatkę.

– To mój syn.

Jednocześnie gryzmolił coś piórem w notesie. Wyglądało na to, że bazgrze bez sensu, byle tylko uciec wzrokiem. Bez słowa patrzyłam, jak stalówka plami tuszem jego palec wskazujący. Po chwili wręczyłam mu chusteczkę higieniczną.

Pierwszy raz usłyszałam, że jego głos drży z emocji, jakby w gardle urosła mu nagle wielka gula. Najwidoczniej on też coś przede mną ukrywał. To zrozumiałe – w końcu praktycznie się nie znaliśmy, dlaczego miałby mi się zwierzać? Wystarczy, że wpuścił nieznajomą do domu. Mimo to zaczęłam zachowywać się tak, jak wtedy, gdy jeszcze mieszkałam w Madrycie, jakbym nie rozumiała aluzji.

– Chce mi pan coś powiedzieć?

Spojrzał na mnie, czując się wyraźnie nieswojo, i odparł zwięźle:

– Nie układa nam się najlepiej, ale przyjechał pomóc mi przy wystawie, którą chcę zorganizować. Nie mieszka na stałe w Paryżu.

– To wspaniale.

– Tak – odparł, wycierając atrament z ręki. – Chyba tak.

Patrzyłam, jak opuszcza głowę i zagubionym wzrokiem wpatruje się w gryzmoły w notesie. Zrozumiałam, że życie Ardissona także pełne jest cieni, jakich nie chciałam rysować węglem. Nie wiedziałam, jak zareagować, z udawanym ożywieniem oznajmiłam więc, że trzeba wznieść toast za planowaną wystawę fotografii.

Kieliszki zadźwięczały, a ja powiedziałam szczerze:

– Proszę mu ode mnie podziękować.

– Nie omieszkam.

Może miałam rację i życie Mathieu pełne było innych plam, a on nie chciał ich rozjaśnić. Rozumiałam go, nie darzyliśmy się wzajemnie zaufaniem. W końcu ten elegancki, kulturalny francuski dziennikarz w sile wieku zdecydował się mi pomóc z ciekawości i entuzjazmu dla sprawy. Łączył nas tylko wspólny zapach. Trudno powiedzieć, co myślał, co czuł.

Rozmowa toczyła się dalej. Odbitki powoli zmieniały się w karty do gry, wypełniane przez nas kolejnymi pytaniami. Ardisson zatrzymał się przy jednym ze zdjęć i podkreślał jego specyficzny charakter, nadający mu szczególnej wartości. Na pierwszy rzut oka, mówił, ta kobieta zdawała się żyć pełnią życia – zupełnie inaczej niż ja, pomyślałam. Ardisson opowiadał, a ja niemal słyszałam śmiechy i przekomarzenie Alice i jej koleżanek, opartych o kontuar w jakimś klubie jazzowym, z kieliszkami w ręku.

– Odwiedziłem pracownię Calviera na terenie galerii Saint-Paul – wspomniał. – Zgromadził niezwykle interesującą kolekcję starych fotografii. Na szczęście na jednej z nich umieszczono podobne zapiski jak na tych należących do pani. Dla mnie to czyste szaleństwo, ale mój syn spędził długie godziny na przetrząsaniu skrzyń – wie pani, właściciel nie jest zbyt dobrze zorganizowany. Ma tam prawdziwe perełki, ale opisane bardzo ogólnie: wiek XIX, wiek XX... A mnie na starość wzrok zaczął odmawiać posłuszeństwa. Turyści często kupują litografie zupełnie przypadkowo, dla ozdoby.

– Możemy pójść do tej pracowni?

– Do Claviera? Oczywiście. – Uśmiechnął się i zaczął porządnie składać zdjęcia. – Ale nie sądzę, żebyśmy coś jeszcze znaleźli. Sam jestem w posiadaniu najlepszych okazów z epoki, część pokazano już w paryskim ratuszu, a resztę chcę wystawić z pomocą...

Głos mu zadrżał, więc szybko zmieniłam temat.

– Wie pan co? – zapytałam z przesadnym entuzjazmem. – Chciałabym powiesić któreś ze zdjęć w nowym sklepie.

– W jakim celu?

– Dla ozdoby.

Znow wyglądał jak poważny francuski dziennikarz, kiedy odparł:

– Zrobimy więcej odbitek, panno Tereso.

Zmarszczyłam czoło, a on ciągnął:

– Podejrzewam, że nasza tajemnicza Alice trzymała je w piwnicy, bo nie chciała, żeby ujrzały światło dzienne. To bardzo osobiste fotografie, nietypowe dla tej epoki, niewiele z nich przetrwało do dziś, a i to głównie w podręcznikach historii. Ci ludzie chcieli być podziwiani, niezmiernie liczyło się dla nich piękno, wyznawali hedonizm. To naprawdę zaskakujące, że zupełnie zniknęła z życia ówczesnego Paryża... Jestem pewien, że coś się za tym kryje.

– Musiało stać się coś strasznego.

ROZDZIAŁ 22

Coco Chanel zaprosiła nas na kolację do apartamentu przy avenue Gabriel. Ęrno mówił, że ciągle nie doszła do siebie od śmierci ukochanego „Boya” Capela, nosiła żałobę i siłą tylko dawała się wyciągnąć z domu. Mimo to zaprosiła na ósmą nie tylko nas, ale i sporą grupę znajomych.

Coco nalegała na punktualność. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś zaprosił mnie na kolację w tak elitarnym, zamkniętym gronie. Dzięki Ęrnowi sytuacja stała się jeszcze bardziej wyjątkowa – na dwie godziny przed umówionym spotkaniem dostarczono mi paczkę.

„Dla Alice, mojej ukochanej”, napisano odręcznie na opakowaniu.

Dotychczas słowa „moja ukochana” widywałam tylko w starych powieściach czytanych u Fresnaultów, więc naturalnie wzruszyłam się do łez. Ostrożnie rozerwałam brązowy papier, żeby nie uszkodzić starannie wykaligrafowanego napisu, i zrobiłam na łóżku miejsce na dość duży pakunek. Wycięłam skrawek papieru z jego pismem, złożyłam go wpół i schowałam do niewielkiego tomiku po angielsku, jednej z podarowanych mi przez Thore książek, które służyły za dekorację mieszkania. Miałam już pewność: Ęrno był niewątpliwie wspaniałym, hojnym i przystojnym mężczyzną. A także obdarzonym świetnym gustem, kiedy przyszło do wyboru prezentu. Zdjęłam pokrywkę, odwinęłam delikatny biały papier i znalazłam w środku olśniewająco piękną sukienkę z szyfonu w kolorze akwamaryny. Natychmiast ją włożyłam i przejrzałam się w lustrze. Po policzku spłynęła mi łza. Zebrałam włosy w luźny kok i spięłam je szylkretową szpilką, a nagą szyję spryskałam perfumami Kiki – nieco ciężkimi, ale kobiecymi i odpowiednimi na wieczór.

Podeszłam do okna i zobaczyłam go. Ęrno stał w bramie i uśmiechał się do mnie, a potem puścił oko. Charakterystyczny spokój i pogoda ducha przydawały elegancji każdemu gestowi tego pięknego, silnego i wytwornego mężczyzny. Wybiegłam z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami, i pomyślałam, że jestem najszczęśliwszą kobietą w całym Paryżu. Wciąż nie wierzyłam, że to wszystko mnie spotyka, i uszczypnęłam się, a drugą ręką odgarnęłam włosy za uszy. Zatem szczęście było możliwe – właśnie je czułam.

Zimny wiatr podwiał moją cieniutką sukienkę.

– Promieniejesz, Alice. W zielonym ci bardzo do twarzy.

– Przestań, zawstydzasz mnie – otworzyłam bramę, żeby wpuścić go do holu.

Nie mylił się – faktycznie promieniałam szczęściem.

– Nie pozwolę ci tak pójść na przyjęcie.

– Jak to?

– Odwróć się tyłem.

Przez twarz Ęrna przemknął cały repertuar uśmiechów, jakie może przybrać człowiek w mniej więcej dziesięć sekund. Odwróciłam się plecami i patrzyłam w głąb budynku – wszystko odbijało się w szybach kantorka dozorczy. Widziałam, jak sięga ręką do kieszeni, wyjmując puzderko w kształcie muszli, otwiera je i zbliża dłonie do mojej szyi. Gdyby mnie teraz zabił, umarłabym szczęśliwa. W małym okienku odbijał się blask szmaragdowego naszyjnika, który zapinał mi właśnie na szyi.

– Ęrno... To piękne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów.

Nic nie powiedziałam. Nie wiedziałam, co mówić. I choćby ta sytuacja powtórzyła się tysiąc razy, nadal bym nie wiedziała. A wszystko przez niego.

U Coco Chanel kelnerzy w białych rękawiczkach krążyli wśród gości z tacami pełnymi szklanek rumu. Tuż po wejściu wychyliłam jedną dla kurażu i odprężenia. Wszystkie kobiety zwróciły na mnie wzrok. Przełknęłam ślinę, przełknęłam rum i przełknęłam też nieśmiałość. Ciągłe nie potrafiłam przyzwycząić się do tej nagłej zmiany dekoracji w moim życiu, na każdym kroku coś mnie zaskakiwało. Najtrudniej jednak przyszło mi przywyknąć nie do aksamitnych sof – lubiłam głąskać ich miękkie obicia, gdy nikt nie patrzył – nie do polerowanych na wysoki połysk drewnianych mebli czy talerzy z czystego srebra, ale do nowego towarzystwa, nowych tematów rozmów. Musiałam nauczyć się udawać, żeby nie wychodzić na kompletną idiotkę za każdym razem, kiedy Ęrno zabierał mnie w jedno z takich eleganckich miejsc. Kiedyś obserwowałam Paryż z zewnątrz: spacerowałam szerokimi alejami i reprezentacyjnymi bulwarami, przyglądałam się pięknym fasadom domów i – skoro ich wnętrza były dla mnie niedostępne – wyobrażałam sobie historie toczące się po drugiej stronie okien, a dziś sama stałam się ich główną bohaterką. Zawsze widziałam te budynki jako szkatułki pełne drogocennych kamieni, a teraz znajdowałam się w takim puzderku z klejnotami. Dom Coco imponował rozmachem, moją uwagę przykuwał coraz to inny zachwycający detal.

Muzyka – „uroczy jazzik”, jak określił ją Ęrno – wypełniała salę i sączyła się przez szerokie korytarze prowadzące do pełnych światła, zastawionych meblami pokoi.

Przed przyjściem Ęrna opowiedział mi o Leopoldzie – fabrykancie tkanin, bliskim przyjacielu zarówno jego, jak i gospodyni. Poznali się w Nowym Jorku przez znajomego architekta zbijającego w Wielkim Jabłku fortunę na projektach w stylu paryskim, który niezwykle przypadł do gustu zafascynowanym stałą Amerykanom. Ubierali się identycznie i śmiali z tych samych kawałów – opowiadał Ęrno. Leopold zaskoczył mnie wylewnym powitaniem.

– To pani musi być tą słynną Alice Humbert. – Pocałował mnie w dłoń. – Pięknością, co podbiła serce mojego drogiego Hessela. Żałuję, że to nie ja poznałem panią pierwszy.

Teraz rozumiem, dlaczego tak panią przede mną ukrywał. A to łajdak! Bardzo mi miło, panienko.

Bliźniacze niemal podobieństwo Ęrna i Leopolda kończyło się jednak na fryzurach i nienaganych garniturach. Pan Vionnet – tak zwróciła się do Leopolda jedna z obecnych na przyjęciu kobiet, całkowicie mu uległa i wijąca się kusząco jak wąż – był niepoprawnym kobieciarzem. Z okrutną determinacją wychwalał mnie trzem innym dziewczynom, które zdawały się bezsilne w obliczu jego nieodpartego uroku.

– Panie pozwolą... – Bezczelnie objął w pasie jedną z zapatrzonych weń dziewcząt.

One zaś podchodziły do nas ze względu na niego raczej niż na mnie.

– To będzie cudowny wieczór, miło mi znów was widzieć. Nie znoszę, gdy dni upływają mi bez widoku piękna. Przedstawiam paniom pannę Humbert. Alice, pozwól: te oto piękności pogrążone w rozmowach o modzie to Valentine, Isère i Loulou. Ta ostatnia, o ile się nie mylę, blisko współpracuje z Coco.

Wszyscy się uśmiechnęli, on – brutalnie uprzejmy, z drapieżnym błyskiem w oku, one – uwiedzione jego męskim zapachem, pozą wszystkowiedzącego obieżyświata. Ęrno dobrze go znał i natychmiast zaczął znaczyć teren – podszedł do mnie, przywarł piersią do mojego ramienia, aż czułam jego oddech na plecach. Po chwili obaj panowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo – pora się czegoś napić.

– Przed kolacją dobrze jest wznieść toast. Zaraz napijemy się razem. – Leopold rozglądał się w poszukiwaniu kelnera. Ęrno ruszył mu z pomocą.

– Tak, to świetny pomysł – zauważyła jedna z dziewczyn, a pozostałe ją poparły.

Panowie udali się do baru.

Isère przerwała ciszę i zwróciła się do Valentine:

– Nienawidzę dziwki, która go złapie.

– Najlepsza partia w Paryżu.

– Zagryzłabym taką.

– Sama widzisz.

Nerwowo zaplotłam palce i spuściłam wzrok na pokrytą dywanem podłogę, one jednak nie zwracały na mnie uwagi.

– Im bardziej mi się podoba – powiedziała ta po mojej lewej – tym dłużej na niego patrzę, a im dłużej na niego patrzę, tym bardziej mi ucieka. Okropne.

Westchnęła.

– Wszystkie się w nim kochają, a on pozuje na najlepszego kawalera w mieście. Ciebie też zabrał na przejażdżkę?

– Zapraszał mnie nawet na kolację, i to nie raz.

– I... nic?

– Nic.

– Jego sprawa, niech sobie będzie sam. W końcu trafi mu się najgorsza.

Wbiłam wzrok w splecione palce i oczy zgasty mi jak wyłączona latarnia.

– Patrzcie, to Dardel. Na pewno przyszedł z Thorą – powiedziała jedna z dziewczyn z wyrazem podziwu na twarzy. – Słyszałam, że są w siebie wpatrzeni jak młodzi kochankowie. Ona dopiero co przyjechała do Paryża ze Szwecji, studiuje sztukę i pochodzi z wyższych sfer. Poznali się bodajże na statku.

– To najprzystojniejszy mężczyzna w Paryżu. On i Modigliani.

– Zapomnij o nim, ubóstwia Jeanne.

– Kto, Dardel?

– Nie, Modi. Gdyby tyle nie pił, byłby ideałem. W kółko tylko maluje i pije... Wiecznie pijany! Mówi, że pije na kaszel.

– Znam go – wtrąciłam konfidencjonalnie, żeby włączyć się do rozmowy. – Jest przesympatyczny.

– Nie nazwałabym Modiego szczególnie przyjemnym, zawsze cuchnie od niego rumem, ręce ma całe uświnione farbą i wygląda, jakby dopiero co wstał z łóżka. Chociaż może... – Isère zamyśliła się na chwilę. – Może to właśnie tak w nim pociąga.

Zaśmiały się porozumiewawczo.

– Nie zapominaj o Abdulu! Nie ma drugiego jak on – bezceremonialnie wtrąciła Valentine.

– Och, jak mogłam zapomnieć! Pan Abdul Wahab z Tunezji to najbardziej łakomy kąsek na całym Montparnassie – odparła Isère z wyraźną aluzją w głosie. – Choć brakuje mu magnetyzmu Leopolda, jest...

– Uroczy, a do tego sprawnie gra dla wszystkich drużyn.

– Nie miej złudzeń, to ekspert w dziedzinie uwodzenia. – Loulou wybuchnęła śmiechem.

– Arogancki czaruś – oznajmiła Valentine, a tymczasem trzecia, Isère, dodała na zakończenie:

– Ale taki nam odpowiada. Możemy dać się oszukiwać. Nie ma co się bać największych drani, widać ich z daleka. Lepszy znany łajdak niż obcy.

Wtedy dotarło do mnie, że to nie tylko piękne dziewczyny, ale też niegłupie – wiedziały, co robią. Szybko odtworzyłam całą scenę w pamięci, żeby sprawdzić, czy nie wyszłam na naiwną. Te trzy znały się na życiu, można by określić je mianem światowych kobiet, dalej udawałam więc bardziej wyrafinowaną niż w rzeczywistości, żeby się do nich dopasować.

– Właściwie to nie wiem, dopiero co go poznałam. To przyjaciel Èrna. Ale rzeczywiście, robi duże wrażenie. Wspominał, że zajmujecie się modą, prawda? To musi być cudowne.

– Niektóre z nas pracują z Coco – odparła Loulou – a pozostałe w warsztacie tkackim, wybieramy materiały, kolory i desenie. Ostatnio projektanci poszaleli, nie ma żadnych

ograniczeń. Ale wszystkie trzy mamy za sobą wyczerpujący okres pozwania.

– Wiesz, do fotografii.

Odniosłam wrażenie, że domyślają się mojego źródła dochodu. Natychmiast ogarnął mnie wstyd i wychyliłam do dna szklaneczkę rumu.

– Fascynuje mnie świat mody, różnorodnych tkanin... To na pewno niezwykle interesujące – zmieniłam temat.

– Bo nigdy nie widziałas warsztatu, to jak drukarnia: nożyce, maszyny, bele materiału...

– Już nie przesadzaj, moja droga, to nie huta metalu – Valentine złagodziła nieco wypowiedź Isère. – To naprawdę fascynujące miejsce, kochana, widok tych wszystkich kolorów robi niesamowite wrażenie. A z jaką precyzją wykonuje się każdą czynność! No i można tam spotkać wielkich projektantów. Najbardziej osobliwy to Paul Poiret, bez ustanku szyje te swoje ciężkie suknie.

– Osobliwy! Ciekawy wybór słowa, Valentine. Owszem, jest bardzo osobliwy. I boski.

– Jeśli miałabyś ochotę go poznać, możemy się kiedyś umówić.

– Brzmi wspaniale – odparłam nieśmiało.

– Alice z przyjemnością się wybierze – dopowiedział Ęrno. On i Leopold nieśli po kieliszku, towarzyszył im też kelner.

– Na pewno będzie świetnie. – Loulou porwała jeden z kieliszków. – Zobacysz, jak pracuje się u Chanel. Coco jest wyjątkowa. Po męsku silna, a zarazem tak kobieca. Zresztą zaraz ją poznasz.

Salon pełen był ludzi związanych z domem mody Chanel, a także gości z zagranicy – trochę szalona Elsa Schiaparelli prowadziła przyjazną pogawędkę z Thorą. Starłam się zapamiętać wszystkie imiona, żeby nie skończyć z łatką tej sympatycznej nowej, co to kojarzy twarze, ale za nic nie może przypomnieć sobie nazwisk. Moja pamięć szybko została wystawiona na próbę – zadymiony salon wypełniał się kolejnymi gośćmi lawirującymi pomiędzy tacami kelnerów. To nie kolacja, to uroczyste przyjęcie. Ktoś uśmiechnął się do mnie, jakby mnie znał. Z tymi egzotycznie wyglądającymi kobietami i mężczyznami w dopasowanych garniturach mogłam zetknąć się co najwyżej w okolicach szpitala położniczego, objuczona ciężkimi kosztami. Bałam się, że nie ukryje tego nawet przepiękna suknia z zielonego szyfonu podarowana mi przez Ęrna.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, kiedy szliśmy w stronę jednego z olbrzymich okien wychodzących na avenue Gabriel.

– Jeśli chciałeś zrobić na mnie duże wrażenie, to udało ci się.

– A jesteś szczęśliwa? – dopytywał z niepokojem.

– Bardzo szczęśliwa – odparłam i położyłam dłoń na dekolcie, by poczuć ciepło szmaragdów.

Coco prosiła, żeby gdzieś ją zabrać, bo tego wieczoru „dom walił jej się na głowę”

bardziej niż zwykle. Przez głowę przemknął mi nagle obraz matki siedzącej przy kominku wśród woni gotowanej cebuli. Odetchnęłam głęboko i napiłam się rumu. Uderzała mnie ta mieszanka radości i smutku – ci ludzie mieli wszystko: eleganckie stroje, drogie samochody, perfumy, a mimo to wielu z nich pogrążało się w rozpacz. „To przez eter”, mówił Ęrno. „Artyści narkotyzują się, kiedy tworzą, kiedy wychodzą na przyjęcia, kiedy piją”.

– Ten lęk mnie wykończy – powiedziała Coco. – Lepiej zjedźmy gdzieś w mieście.

– W takim razie wychodzimy – odparł Ęrno. – Pójdziemy do Maxima.

Coco wyciągnęła płaszcz z przeszklonej szafy i zarzuciła go sobie na ramiona.

– Zgadnij, kogo spotkałem dziś rano? – Ęrno pomagał jej się ubrać.

– Zaskocz mnie.

– Beaux. Skarżył się, że musi przez ciebie ciągle jeździć do Grasse po jaśmin. Co ty na to?

– Perfumy – odparła lakonicznie. – Postanowiłam stworzyć zapach, w przyszłym tygodniu mamy oceniać próbki. Nie chcę, żeby przypominał cokolwiek, co teraz się nosi. Czuję ten zapach w głowie, ma być zdecydowany i przesiąknięty seksem.

Ęrno zignorował wyzywający ton, jakim Coco wymówiła ostatnie słowo.

– Nie podoba ci się, że mówię o seksie? To naturalna rzecz. Też myślałam, że zdołam żyć bez mężczyzny, ale jednak nie mogę.

Nawet nie mrugnęłam, żeby jej nie przerywać. Staralam się nie zwracać na siebie uwagi, ale ona była tak otwarta i swobodna jak dziewczyny z Le Dôme.

– Spryskaj się perfumami tam, gdzie chcesz, by cię całowali – zażartowała pod moim adresem.

Z udawanym entuzjazmem Ęrno zapytał o nazwę zapachu. Coco wymamrotała coś w rodzaju „nazwa to ostatnie, o czym pomyślałam”. Oczywiście nie skomentowałam, uśmiechnęłam się za to do pań, które zbliżały się do nas, próbując zwrócić na siebie uwagę projektantki.

– Słyszałaś o Maggy Rouff? Robi przepiękne rzeczy.

Treize wybuchnęła gromkim śmiechem – wszyscy obecni na sali mogli podziwiać jej zęby.

– Popełnia błąd. Powinna trzymać się raczej Paula Poireta niż Lanvin. Wojna przeszkodziła tym nowym – odparła Paulette, grubaska w moim wieku. Gdyby nie piękny strój i róż na policzkach, wyglądałaby wypisz wymaluj jak przekupka z warzywniaka przy mojej starej ulicy.

– Masz rację, nie będzie drugiego takiego jak „le Magnifique”. Pionierzy pozostaną pionierami.

– Święte słowa!

- Potrzeba innowacji. Zostawmy im trochę miejsca.
- Ale nie piraniom.
- Jesteś okropna! – powiedziała Coco do tej rumianej.
- Znasz Jeana Patou i Molyneux?
- Oczywiście, moja droga. Co za pytanie!
- Robią piękne rzeczy.
- Czasem używają zbyt wielu ozdób...
- Moim zdaniem za dużo koronek.
- Wygoda i komfort! Na miłość boską, gorset to przeżytek. Trzeba też uważać z kapeluszami, nie przesadzać ze zdobieniami.

– Mnie się podobają.

– Błagam! – Wsparta o barenkę dziewczyna z kieliszkiem w ręku wyprostowała się gwałtownie. – Gdybyśmy zostawiły te wszystkie ozdóbki z przełomu wieków na głowie, ramionach, biodrach i tyłkach, to nie dałoby się odróżnić kobiety od zdobnej karocy!

Mój udział w dyskusji ograniczał się do uprzejmego uśmiechu i potakiwania. Pani Pozzati, która dopiero co włączyła się do rozmowy, spojrzała na mnie wyczekująco. Ta cała Paulette również zdawała się czekać na moją wypowiedź. Wiedziały, że mnie oneśmielają. W końcu zebrałam się na odwagę.

– Każdej kobiecie przyporządkowany jest inny rodzaj materiału, tak jak na każdą z nas czeka ten jeden szczególny mężczyzna. Tkanina jest jak druga skóra, i tak samo cenna.

Nie powiedziałam nic więcej. Dwie najstarsze kobiety, o twarzach nieboszczek, patrzyły na mnie osłupiałe, marszcząc przy tym czoło, ale Coco obróciła się płynnie jak ptak w locie, wybuchnęła śmiechem i doceniła moją wypowiedź.

– *Elle a du chien!*^[3]

Twarz mnie paliła. Pociągnęłam z kieliszka i próbowałam pokryć zakłopotanie porozumiewawczym uśmiechem w rodzaju „między nami kobietami”.

– Trzeba przyznać, że dobrze powiedziałaś tym nudziarom – powiedziała mi potem, kiedy prowadziła mnie do Ęrna. – Nie mają bladego pojęcia ani o tkaninach, ani o mężczyznach – podsumowała i otaksowała spojrzeniem moją sukienkę.

– O to mi chodziło.

– Gdzie ty ją znalazłaś, Ęrno? – zapytała panna Chanel, wciąż nie odrywając ode mnie wzroku.

– To Alice, najcudowniejsza kobieta w Paryżu. Nie pamiętasz? Przedstawiłem was sobie na początku, ale...

– Nie zwróciłam uwagi. Wiesz, jaka jestem – stwierdziła z afektacją i podała mi rękę. – Wybacz... Alice, tak?

– Tak – odparłam.

– A nie mówiłam? Ostatnio nie jestem sobą.

– Opowiadałem ci już o niej – powiedział Ęrno.

Zadrżałam na myśl, że zdradzi więcej szczegółów z mojej przeszłości. Coco skinęła głową, a ja zagryzłam wargę i odruchowo wbiłam wzrok w dłonie. Żeby temu zaradzić, jednym haustem dopiłam resztę rumu ze szklanki – może wyglądałam przy tym jak tancerka z kabaretu, ale dodawało mi to odwagi.

– A więc interesujesz się tkaninami?

Przytaknęłam.

– Są niezwykle ważne. Dobra sukienka z kiepskiego materiału nadaje się na szmaty, a wysokiej jakości tkanina może nadać blasku nawet przeciętnemu krojowi.

– Pani sukienka wygląda na bardzo delikatną – powiedziałam.

– To jedwab.

– Mogę?

– Proszę bardzo.

Dotknęłam dłonią jednej z plis, falujących wokół jej bioder jak liście na drzewie. Zwiewna sukienka wielokrotnie przewyższała jakością stroje dam tańczących na balach 14 lipca, które w dzieciństwie tak chętnie podziwiałam.

– Szanujesz tkaniny, widać to w sposobie, w jaki dotykasz materiału. Mogłabyś pracować w moim warsztacie. Chciałabyś?

Nie mogłam wydusić z siebie słowa pod uporczywym wzrokiem Ęrna.

– Przemyśl to. Moda przemija, styl pozostaje. Ty masz styl, a do tego jesteś piękna. Kobiety muszą być piękne, żeby mężczyźni je kochali...

– W rzeczy samej! – przypochebiał się Ęrno.

– ...i głupie, żeby kochać mężczyzn. – Coco wybuchnęła śmiechem.

Odwróciła się gwałtownie i wbiła wzrok w Ęrna.

– Pilnuj tej dziewczyny – rzuciła, po czym dołączyła do innych gości i wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia.

Podziękowałam za jej słowa i zostałam z Ęrnem. Na szczęście nikt nie zwracał na nas uwagi w tłumie wypełniającym salon. Delikatnie złapał mnie pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi. Zobaczyłam swoje odbicie w ogromnym lustrze i przez kilka chwil nie mogłam oderwać od niego wzroku. Pomyślnie przeszłam pierwszą próbę paryskiego high-life'u i byłam zadowolona z rozwoju wydarzeń. Oto stałam tutaj w pięknej sukni. Nagle poczułam się onieśmielona i równie zielona, co okrywający mnie szyfon: musiałam od nowa nauczyć się mówić, chodzić, pić i gestykulować, zapomnieć o swoich przyzwyczajeniach. Te damy, z ich dyskusjami, umiłowaniem luksusu i przyjemności, wiedziały już, jak żyć, a ich życie kręciło się wokół strojów. Moje też. Wyprostowałam

ramiona i poprawiłam błyszczący mi na piersi naszyjnik. Coraz mocniej wciągał mnie świat, którego istnienia nawet nie podejrzewałam w czasach, gdy przesiadywałam wraz z mamą przy kominku.

Samotna łza spłynęła mi po policzku.

– Coś się stało, Alice?

– To przez ten przeklęty dym. Nienawidzę papierosów.

– W końcu sama zaczniesz palić. Tak to zwykle bywa.

Odetchnęłam głęboko, żeby odpędzić melancholię, a Ęrno otarł łzę swoją chusteczką.

– Zrobiłaś wielkie wrażenie na Coco. Chanel to wspaniały dom mody. Ledwie panowałam nad emocjami, kiedy z tobą rozmawiała. Podejrzewam, że nie pomyliłem się w stosunku do ciebie. Chciałabyś rozwijać się w tym kierunku?

– Chciałabym prowadzić sklep bławatny, z tkaninami na sukienki, z półkami aż pod sufit pełnymi bel materiału. Wiesz, co mam na myśli?

W odpowiedzi pogłaskał tylko mój policzek grzbietem dłoni i niemal szeptem zapytał:

– Naprawdę o tym marzysz? O sklepie?

– O sklepie w Paryżu.

Pokonaliśmy schody prowadzące do drzwi i całe towarzystwo udało się samochodami do Maxima. Na obitym skórą tylnym siedzeniu Ęrno złapał mnie za rękę i krew zaczęła krążyć w naszych żyłach z prędkością koni wyścigowych. Splotłam palce z jego palcami, mocno ścisnęłam i nagle przypomniało mi się, jak Kisling miętosił moje piersi. Z obrzydzeniem przyjrzałam się swojemu odbiciu w szybie pojazdu i jak oparzona puściłam jego rękę. Nie bałam się seksu – wykorzystałam go, żeby przetrwać pozowanie w pracowni i wyjść z biedy – bałam się zakochać. Ęrno był mężczyzną, a ja chciałam korzystać z bycia kobietą.

ROZDZIAŁ 23

Następne tygodnie wypełniła nadzieja. Im bardziej zbliżałam się do Èrna, tym bardziej oddalałam się od dawnego życia. Wraz z Kiki i dziewczynami odwiedzałyśmy wszystkie spelunki Montparnasse’u, szalone przyjęcia w The Jockey. Z Èrnem zaś chadzałam do teatrów, restauracji i najdroższych butików Paryża. Miasto pozostało to samo, ale ja się zmieniłam. To nie tylko inny punkt widzenia, to inna rzeczywistość. Po raz pierwszy w życiu wszyscy mnie podziwiali, rozpoznawali, przyjaźniłam się z ludźmi znanymi i poważanymi. Paryska bohema przyjęła mnie z otwartymi ramionami, a jednocześnie poznawałam zwyczaje, manieri i zasady dobrego smaku, które mogły otworzyć mi wiele drzwi poza Montparnasse’em. Wielkie damy postrzegały mnie jako słodką Alice, idealną narzeczoną dla Èrna, mężczyźni wyobrażali mnie sobie jako kochankę – krążyły słuchy o mojej przeszłości i *savoir faire*. „Bądź kobieca i pozwalaj im wierzyć, że mają szansę – wtedy zawsze będą cię pożądać”, radziła Kiki. Nauczyłam się dostosowywać do każdej sytuacji jak kameleon. Świetnie wiedziałam, kiedy milczeć jak zaklęta, a kiedy pokazać bardziej zuchwałą twarz. Obudziła się we mnie zupełnie nowa kobieta, śmiała, beztrocka i szczęśliwa.

Związek z Èrnem był dla mnie idealny. Nieustannie ktoś się z nim witał, zabiegał o uwagę, prosił o radę czy opinię na jakiś temat. Poznawałam projektantów i przedstawiałam się fotografom zainteresowanym moją urodą – łączyłam rozrywkę z okazją zarobienia kilku franków, żeby czuć się pewniej, choć i tak to on za wszystko płacił. Zawożono mnie, odwożono, czekano na mnie pod drzwiami sklepów, konsjerże mnie rozpoznawali, doradzano mi stroje, pytano o zdanie, jakbym stanowiła przedłużenie samego Èrna Hessela. I tak cały czas. Szybko się przyzwyczałam.

Zainstalowałam się w uroczym mieszkaniu vis-à-vis wyspy Świętego Ludwika, w pobliżu Hôtel de Ville, pomiędzy rue des Barres a rue Pont Louis-Philippe. Mogłam sobie na nie pozwolić dzięki cotygodniowym sesjom zdjęciowym dla różnych żurnali oraz dla tych nowych, zmanierowanych fotografów – stroili mnie do katalogów zgodnie z najnowszymi trendami, a poznałam ich dzięki przyjaciółkom Coco i Thory. Wkrótce przebierałam się zawodowo, pod morderczymi spojrzeniami szwaczek i krawców, rywalizujących o to, kto uczyni ze mnie najpiękniejszą kobietę w Paryżu.

Kiedy wychodziliśmy napić się rumu w ogródku przed Le Dôme lub La Rotonde, Hessel nalegał, bym wyjątkowo się stroiła. „Masz rozświetlać lokal swoją urodą”, mówił. Nie próbowałam się oszukiwać – Èrno zabronił mi pozować dla malarzy, „tych wariatów”, jak ich pogardliwie określał. Wiedziałam, że wśród kłębow dymu i tłumów pijanych od nieprzespanych nocy i nadużywania życia łatwiej mógł mnie dojrzeć – i upilnować – kiedy

miałam na sobie wszystkie możliwe błyskotki. Faktycznie – było ode mnie światło jak od latarni morskiej w ciemną noc. On też nie próbował mnie oszukiwać – świetnie znał ten światek, na równi z tym bardziej eleganckim, leżącym na drugim brzegu Sekwany. Nie podobały mu się nieustanne propozycje pozowania do aktów, składane mi przez kolejnych malarzy pod pretekstem zorganizowania nowej wystawy.

– Wielu z nich to moi przyjaciele, ale... Sama zresztą wiesz, co to za typy.

– Nie martw się, robiłam to tylko dlatego, że musiałam.

– Wiem.

Prześladowała go jednak wizja mojego ciała wystawionego na widok mistrzów i adeptów malarstwa. Zastygał nagle z ponurym wyrazem twarzy, a ja mówiłam słodkim głosem:

– Spójrz na mnie. Nie chcę, żebyś się smucił. Ale też nie potępiaj mojego pozowania. W końcu to dzięki temu jesteśmy tu razem.

– Nie chcę sobie nawet wyobrazać, że mogłoby nie być cię teraz w moim życiu.

– Powtórz.

– Nie chcę sobie nawet wyobrazać mojego życia bez ciebie.

Już dobrą minutę wpatrywaliśmy się sobie w oczy i Ęrno dopełnił wyznanie delikatną pieśczęcią. Choć zawsze był nienagannie ubrany, a do tego wyjątkowo przystojny, rzetelny i solidny, elokwentny i pewny siebie w dyskusjach, teraz jego głos lekko drżał, dało się w nim dosłyszeć nutkę niepewności. Przez chwilę w milczeniu wbijaliśmy wzrok w podłogę, jak nastolatki, po czym równocześnie unieśliśmy głowy. Już miałam zacząć coś mówić, żeby przerwać niezręczną ciszę, gdy on, dziwnie skrepowany, wziął mnie w ramiona i przycisnął do piersi.

– Przeraza mnie myśl, że mieliby oglądać cię nagą.

Dopiero na dźwięk słowa „naga” uświadomiłam sobie, że on sam jeszcze mnie takiej nie widział. O dziwo, jak do tej pory do niczego między nami nie doszło. Traktował mnie z szacunkiem i czułością, i marzył tylko o tym, by codziennie mnie uszczęśliwiać i mieć blisko przy sobie. Nie miałam żadnej konkurencji.

Gdy wychodziliśmy tej nocy z Le Dôme, Kiki namawiała nas na „szałowe” przyjęcie w Le Boeuf.

– Alice, nie skusisz się? Jeszcze jeden rum? – Wspaniała Kiki z Montparnasse’u stała w drzwiach wyjściowych i próbowała nas przekonać, dziko przy tym gestykulując. – Spodoba wam się, namów Hessela! Ach, Hessel, co to za zabawa, kiedy nie mogę zatańczyć z moją przyjaciółką!

– Nie, dziękujemy. Późno już.

– Na tym brzegu Sekwany? O której na Montparnassie robi się późno? Fujita, Toutain, Moysès, Wiener, Doucet... Wszyscy będą w Le Boeuf!

Ërno pozostawił decyzję mnie.

– Hessel ma rację, Kiki, jest późno. Chcę już wracać.

– No nie! Alice! Ty umiesz się zabawić... Najmocniej przepraszam, monsieur! Chciałam powiedzieć, że potrafi... Nie mam nic złego na myśli. Wszyscy się tam wybierają. Bez dyskusji, idziemy.

Dziesiąty stycznia, siarczysty mróz, a tam faktycznie bawili się absolutnie wszyscy. Uliczki wokół Le Boeuf sur le Toit pękały w szwach od samochodów i ludzi próbujących dostać się do środka. Poeci, muzycy, przedsiębiorcy, dziennikarze, wydawcy... Wszyscy przyszedli na Boyssy d'Anglas, żeby spotkać się z gospodarzami, Cocteau i Moysesem. Ogłuszająco głośno grała muzyka jazzowa i niemal nie dało się dojrzeć stolików. Nazwisko Hessela znaczyło coś jednak nawet w najbardziej popularnych spelunach Paryża: Kiki – z największym dekoltem w lokalu – w towarzystwie uroczej Treize wskazała nam stolik, jakimś cudem dla nas zarezerwowany.

– Wiedziałam, że przyjdziecie.

– Zawsze zbyt wiele wiesz, Kiki – odparłam z przyganą, a ona pokazała mi język.

– Patrzcie, to Jean, znam go przez Maksa Jacoba. Uroczy, błyskotliwy i bardzo kochliwy... Potrafi z każdego wydobyć najlepsze cechy. Mieszka z matką.

– A czy ty przypadkiem nie kochasz się w tamtym fotografie? – zapytałam zaskoczona.

– Tak, ale teraz jest noc, a nocą wszystko się może zdarzyć. Niektóre fotografie tam, w głębi, są jego autorstwa, te przy tamtym obrazie...

– Widzę, że brakuje nam napojów. – Ërno wezwał kelnera. – Macie ochotę na szampana?

– Cudownie! Mamy ochotę, prawda, Alice?

– Tak, Kiki.

Hessel szybko złożył zamówienie i już po chwili kelner otwierał butelkę i przynosił nam ją do stolika. Zobaczyliśmy Leopolda, którego również zaproszono na przyjęcie – znał jednego z właścicieli, Moysesa.

– Co za szaleństwo! To zdecydowanie zmiana na lepsze, tamten lokalik Charleville'a zrobił się już za mały. Zdrowie, mój drogi panie Hessel, za... kobiety! – Ërno szybko uciął rozmowę z przyjacielem, kiedy zdał sobie sprawę, że siedzi w otoczeniu wianuszka modelek. Nie on jeden.

– Patrz, tam przy barze stoi Pascin – Kiki zwróciła uwagę Treize. – Pełno z nim modelek, a raczej „modelk”. Wszędzie pojawia się w towarzystwie przyjaciół i z grupką dziewczyn. Bez wyjątku. To tu, to tam. Zawsze tak samo.

– Znam Pascina.

– Tak? Jest jak Jean, wystarczy im dwa razy krzyknąć, wznieść kieliszek do toastu i już są panami lokalu.

– Wcześniej knajpę prowadził barman, niejaki Charleville, przyjaciel jednego mojego znajomego pianisty...

– Jeana Wienera – wtrąciła Treize.

– Dokładnie. To właśnie Wiener wspomniał niedawno Moysesowi, że Gaya przy rue Duphot przestaje im wystarczać. Od dnia otwarcia przewinął się przez tamten lokal chyba cały Paryż, jak przez Le Dôme. Zadzwoił do Milhauda i do Cocteau, i znaleźli nowe miejsce. Tak naprawdę tylko pomagali przy przeprowadzce, choć zachowują się jak gospodarze.

– Rozumiem.

Cały ten przepych sprawiał, że czułam się coraz bardziej nieporadna towarzysko, bo – w przeciwieństwie do Kiki – zwykłam skupiać się na swoich słabych stronach i kompleksach.

– Jean jest wspaniały. Przychodził czasem posłuchać, jak śpiewam, i raz podarował mi kolbę godną królowej.

– Czego to ty nie przeżyłaś... – Treize pociągnęła solidny łyk z kieliszka.

– A tam nie stoją przypadkiem Thora i Nils Dardel?

– To oni. Rzeczywiście są tu wszyscy.

– Nic dziwnego, przyjaźnią się przecież z Marie Laurencin i Irène Lagut, a one często tu bywają, żeby poplotkować, pobudzić intelekt...

– ...i nie tylko intelekt.

– No cóż, pewnie zależy im na kobiecym towarzystwie.

– Co do tego nie ma wątpliwości.

– Dobrze, niech będzie. Idę przywitać się z Nilsem. – Kiki zerwała się z miejsca i podeszła prosto do stolików, przy których siedzieli znajomi.

– Będziemy się już zbierać.

Podnieśliśmy się z Ęrnem od stolika i zaczęliśmy żegnać z wszystkimi po kolei. Panował zresztą taki tłok, że można by spokojnie wymknąć się bez słowa. Dudnienie jazzu odbijało się od ścian i wprawiało w drganie abażury na wiszących pod sufitem lampach. Musieliśmy przebyć prawdziwy slalom między krzesłami, zanim udało nam się dotrzeć do wyjścia, gdzie czekał szofer.

– Do jutra, Alice! – krzyknęła Kiki, już w swoim żywiole. Tańczyła i śpiewała na jednym ze stołów, a wszyscy radośnie ją dopingowali: „Kiki! Kiki! Kiki!”.

Na widok tego przedstawienia Ęrno uśmiechnął się zmęczony i zażenowany zarazem. Ja jak zwykle odwzajemniłam spojrzenie, jakbym liczyła na aprobatę za dzielenie jego opinii. Nie zwlekaliśmy już ani chwili i wyszliśmy na ulicę. Gdy tylko znaleźliśmy się poza lokalem, wybuchnęliśmy gromkim śmiechem, mimo przenikliwego mrozu.

– Ach, ta Kiki! – wydyszał. – Nigdy się nie zmieni. Czysty dynamit.

– Ale... – poczułam, że muszę ją usprawiedliwić – nie jest zła. Taka już jej natura. Żywe srebro.

Gestem wezwał samochód stojący po drugiej stronie ulicy. Przy moim boku czuł się silny i troskliwy. A ja jak się czułam? Stałam się nową kobietą i nie potrafiłam sobie przypomnieć tej dawnej Alice. Wystarczyło mi tylko spojrzeć na Ęrna i nie zadawałam sobie już więcej pytań.

– Coś się stało?

– Nie, po prostu mi zimno – odparłam.

Naprawdę, tylko na to mogłam się skarżyć.

– Masz, załóż to na siebie.

Wyraz jego twarzy sprawił, że zupełnie zapomniałam o chłdzie, nie tylko fizycznym. Narzucił mi swój płaszcz na ramiona i podniósł klapy, żeby ochronić mnie od lodowatego styczniowego wiatru. Chwycił moje dłonie i rozgrzewał je, rozcierając. Życie czasem traktuje nas sprawiedliwie, trzeba tylko długo na to czekać. Samochód zahamował przed nami i kiedy wsiadałam, mimowolnie podniosłam wzrok na przeciwległy chodnik. W tej samej chwili omal nie zemdlałam.

Zobaczyłam matkę.

Była owinięta w koc, jak zawsze w dni, kiedy brakowało nam drewna na opał i musiałyśmy szczelnie się okrywać, żeby nie zamarznąć na śmierć w zimnym powietrzu wpadającym przez szpary w lufciku. Spod spowijającej ją płachty ledwo dało się dojrzeć twarz i płonące smutkiem oczy. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Poza mną. Ta kobieta, która w mroźne noce spała ze mną w jednym łóżku, żeby ochronić mnie przed chłodem, teraz trzęsła się z zimna, a ja nie potrafiłam odwzajemnić jej troski.

– Samochód czeka, wsiadaj! – Hessel popchnął mnie lekko do środka.

Matka stała po drugiej stronie i patrzyła na mnie, zeszywniała i zmarznięta w przenikliwym wietrze i trzaskającym mrozie. Zrobiłam dokładnie to, czego nie powinnam. Niepewna, niezdecydowana, przytłoczona sytuacją, pod ciężarem jej spojrzenia pozbawionego najmniejszych śladów gniewu, za to pełnego współczucia... Wsiadłam. Wśliznęłam się do samochodu w poszukiwaniu ciepła i poczułam się jak najbardziej nieczuła i okrutna kobieta na świecie. Zostawiłam ją tam, po drugiej stronie ulicy. Opadłam na siedzenie.

– Zimno ci?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

ROZDZIAŁ 24

Od dawna już tak nie padało. Mimo parasola, rękawiczek i peleryny dotarłam do muzeum sztuki współczesnej zmoknięta jak kura i ze zgrabiałymi z zimna dłońmi. Nie ma nic gorszego niż deszcz w połączeniu z silnym wiatrem – człowiek przemaka do suchej nitki. Rozpętała się burza, raz po raz niebo przecinały błyskawice. Byłam jednak zdesperowana, gotowa przyjąć każdy znak, który mógłby dostarczyć jakiejś odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Od dłuższego czasu kręciłam się w kółko i miałam już tego dość. Nie potrafiłam znaleźć wyjaśnienia, każdego dnia czułam lęk przed powrotem do domu i dalszym trwaniem w niepewności. Scenariusz tych kilku miesięcy w Paryżu ograniczał się do bardzo długiej sekwencji pełnej pytań, możliwości, bujnej wyobraźni i syropu czekoladowego. Każdego dnia próbowałam kolejnej pozycji z menu naleśnikarni przy Saint-Andrè des Arts, również w niedziele. Przytyłam chyba ze dwa kilo i to nie od samych słodkości – po prostu czułam się niezwykle spokojnie w Paryżu i mogłam wreszcie się odprężyć. Na szczęście teraz już nikt nie mógł upokorzyć mnie słowami rzuconymi pogardliwie ze szczytu schodów: „Przybrałaś na wadze”. Ciotka umarła i w spadku zostawiła mi to, co najważniejsze: wolność. Wolność decydowania o tym, co jem, co mówię, jak się ubieram... Groziła mi otwartą, kościstą dłonią, a ja czułam się coraz bardziej beznadziejnie, jak zagubione zwierzę. Plask dłoni o policzek mówił mi, że mam przestać jeść. Rozpadałam się na kawałki. Tak dorastałam.

Zamknęłam oczy, delikatnie dotknęłam twarzy i poczułam się wolna. Nie byłam już zagubionym psem ciągnącym za sobą zerwaną smycz, teraz mogłam jak kot chodzić własnymi ścieżkami. Może wciąż trochę zabłąkana, opuszczona, ale wyzwolona i nareszcie w swoim nowym miejscu na ziemi.

Spodziewałam się, że moje życie w Paryżu wypełni gorączkowa aktywność – z oddali postrzegałam miasto jako magiczną wyspę, gdzie spełnią się wszystkie moje marzenia. Tymczasem w rzeczywistości czekały mnie ekwilibrystyczne negocjacje z ekipą remontującą sklep. Trudno nam było dojść do porozumienia. Budowlańcy chcieli zburzyć schody, „bo stare”, ja upierałam się, żeby zachować niemal wszystko. Oni z kolei obstawali przy generalnych porządkach i zaczęciu od zera. Przerazała mnie myśl, że mogą pozbawić mój sklepik duszy. Cały urok tego miejsca tkwił w jego niedoskonałościach, w nierównych podłogach i starych zakamarkach. Nie przewidziałam, że przez takie szczegóły całe przedsięwzięcie wydłuży się w nieskończoność. Stolarza poleciła mi sąsiadka zza ściany, Hélène, właścicielka Orphée. Podczas pierwszej rozmowy z ekipą francuskich fachowców od remontów starych budynków wszystko wydawało się jasne. Choć zgodnie z umową dostali zaliczkę w wysokości trzydziestu procent ustalonej kwoty,

zaczęły się problemy. Nasza współpraca przypominała zawody w przeciąganiu liny. Przyznaję, nie znam się zbyt dobrze na elektryczności, zmurszałym drewnie czy belkowanych sufitach, ale oni też mi tego nie ułatwiali.

Jestem pewna, że za wszystko liczyli mi podwójnie. Kiedy zwierzyłam się Hélène, zaśmiała się tylko i rzekła: „Nie cackaj się z nimi, mów konkretnie, na czym ci zależy. Jeśli podjęłaś jakąś decyzję, doprowadź plan do końca”.

Uff.

Powoli, bo powoli, ale sklep nabierał kształtu. Przekonałam ich, żeby zachowali szerokie, bielone belki wspierające podłogę antresoli, a także oryginalne deski pokrywające ścianę po prawej stronie – wystarczyło je oczyścić i delikatnie polakierować, żeby przywrócić im życie. Na szczęście zostawili w spokoju strome schody, bo choć piekielnie niewygodne, to bardzo mi się podobały. Ścianę pod spodem odarli z tynku i, jak powiedział jeden z budowlańców, odsłoniли kamień. Pomieszczenie było pełne światła, dzięki praktycznym halogenom, które zapewniały dobre oświetlenie i nie męczyły przy tym oczu. Tak naprawdę chciałam tylko zachować atmosferę tego miejsca i nie okazało się to szczególnie trudne.

– Powiem pani szczerze: zanosi się na ciężką robotę, zajmie nam to więcej czasu, niż się umawialiśmy.

– Byle tylko zachowali panowie ścianę tak, jak jest.

– Powinniśmy zabrać się do tego dużo wcześniej.

– Ustaliliśmy to w pierwszym tygodniu.

– Ale to niemożliwe...

– Nie, to nie jest niemożliwe.

– I tak już trudno nam zdążyć ze wszystkim na czas.

– Rozumiem, ale tak się umawialiśmy.

– Nie mówię, że nie, ale mamy inne metody. My tak nie pracujemy.

– Zobaczymy.

Musiałam przeprowadzić dziesiątki takich rozmów z ekipą budowlaną i elektrykami. Trochę jak hazard, trochę jak negocjacje. Czasem czułam niepokój, potem znów pewność siebie, kiedy indziej zaś miałam ich już dość i doprowadzali mnie do szału.

– Cierpliwości, nie daj nic po sobie poznać – radziła Hélène. – Oni są jak słonie, potrafią wywęszyć tragedię.

Decyzje, decyzje, decyzje: na jaki kolor pomalować wystawę (pozostała zupełnie niezmieniona), żelazny słup, starą mosiężną lampę wiszącą pod sufitem. W takich chwilach niepewności zadawałam sobie pytanie: co na moim miejscu zrobiłaby Alice? Jaki kolor by wybrała?

– Kiedy już zamówimy farby, szybko nam je dostarczą i będziemy mogli zacząć

malować, czekamy tylko na panią.

– Niech mi panowie dadzą jeszcze trochę czasu – prosiłam uprzejmie.

– Jak będzie opóźnienie, to już nie nasza wina.

Ugryzłam się w język. Obie strony już dawno straciły do siebie cierpliwość.

– Niebieski. Chcę pomalować sklep na niebiesko.

– Świetnie, proszę pani, ale na jaki odcień niebieskiego?

Pomyślałam o Alice i w odpowiedzi wyciągnęłam rękę w stronę paryskiego nieba.

– Taki!

Chciałam mieć sklep w kolorze nieba nad Paryżem. Główny majster wyciągnął kartkę z kieszeni wiatrówki, głęboko się zamyślił – trochę, żeby okazać mi lekceważenie, ale też poważnie potraktował moją prośbę i chciał stawić czoło wyzwaniu – przez jakąś minutę wpatrywał się w niebo i coś zapisywał. Chyba chciał mi udowodnić, że nie potrzebuje więcej wyjaśnień, podkreślić swoją wiarygodność jako eksperta w tej dziedzinie, choć widziałam, że wciąż nie jest do końca przekonany.

Alice podejmowała za mnie decyzje. Chciałam jej zaufać, a jednocześnie bałam się pomyłki...

Tego nieprzyjemnego poranka, kiedy umówiłam się z Ardissonem na wspólną wyprawę do muzeum sztuki współczesnej, znalazłam schronienie w jedynej otwartej w okolicy – i w związku z tym mocno zatłoczonej – kawiarni na rogu George V. Zamówiłam kawę i zapytałam, czy daleko mam jeszcze do celu.

Kawa okazała się piekielnie gorąca. Mleko również. Kelner przyniósł mi też szklaneczkę wody, jakby wystarczająco dużo nie lało się jej z nieba i ze mnie. Wypiłam i ruszyłam w dalszą drogę.

Drżałam jak osika, kiedy koło południa dotarłam na plac przed muzeum. Chciałam przewietrzyć głowę i przygotować się na obejrzenie portretu Alice Humbert. Jednak ulewny deszcz i porywisty wiatr odebrały mi całą przyjemność ze spaceru czy raczej pośpiesznego slalomu pomiędzy kałużami.

Irytował mnie spokój paryżan, przyzwyczajonych do paskudnej pogody, ignorujących deszcz z tym jakże francuskim opanowaniem. W duchu powtarzałam sobie: „Idź tak jak oni, spokojnie”. Zatrzymałam się na chwilę przed rzeźbą złotego płomienia przy Pont de l’Alma – moście położonym nad tunelem, w którym straciła życie księżna Walii – a potem podniosłam wzrok i przyjrzałam się imponującym budynkom ósmej dzielnicy. Nieprzerwaną melodię pędzących pojazdów raz po raz zagłuszał huk piorunów.

Na początku czekałam obok kolumnady przy wejściu, niedaleko kasy sprzedającej bilety grupowe, ale szybko okazało się, że wszyscy wybrali właśnie to miejsce, żeby schronić się przed deszczem. Kupiłam więc bilet i weszłam do środka. Mathieu Ardisson – teraz już mój przyjaciel – wysłał mi esemes i zapowiedział, że wkrótce powinien dojechać.

– Nawet pani nie wie, jak trudno złapać w tym mieście taksówkę.

To Ardisson dotarł wreszcie na miejsce zdyszany i zostawiał za sobą długi strumień wody ciekącej z parasola.

– Już zdążyłam się zorientować, to obłąd. Zupełnie inaczej niż w Madrycie, aż trudno to sobie wyobrazić.

– Oho, turystka stęskniła się za domem!

– Nie, nie. Chodzi mi tylko o liczbę taksówek, w Madrycie tak łatwo znaleźć wolnego kierowcę, że tutaj wszędzie się spóźniam. Przyzwyczaiałam się do dobrego.

– Nic dziwnego. Tutaj radziłbym nauczyć się planu metra.

Uznałam, że przy okazji tak błahego tematu nie ma sensu wyznawać prawdy, a mianowicie, że nie potrafiłam zmusić się do zejścia w podziemne tunele – od czasu dziecięcych zabaw w chowanego cierpiałam na klaustrofobię.

– Dobrze, w takim razie chodźmy. Zaprowadzę panią do obrazu.

– Szczerze mówiąc, chciałam najpierw pochodzić trochę po muzeum, ale... Jeśli pan chce...

– Wydaje się pani zdenerwowana.

– Jestem, i to bardzo – odparłam bezsilnie.

– To tylko obraz.

– Być może, ale dla mnie to wszystko jest coraz bardziej emocjonalne. Nie chcę wyjść na tchórza, nie tak łatwo mnie przestraszyć. Ale od jakiegoś czasu obracam w myślach wszystkie możliwości i nie mogę dojść do żadnego rozsądnego, sensownego wniosku.

– A może wcale nie chce pani być rozsądna? Nie po to żyjemy! Nic tak nie paraliżuje i nie unieszczęśliwia jak strach.

– Teraz czuję się szczęśliwa.

– Mówi to pani bardzo nieśmiało. Kiedy pierwszy raz mnie pani odwiedziła, zobaczyłem przed sobą śmiałą kobietę, gotową na ryzyko i zupełne przemeblowanie życia.

– Powiedziałabym raczej, że chciałam w ogóle zacząć żyć.

– Bała się pani, prawda? Zdecydowała się pani opowiedzieć mi, co leży pani na sercu, o drewnianym szyldzie i umieszczonym na nim nazwisku. Wstałem wtedy z fotela i podszedłem do okna. W ten sposób chciałem dać pani więcej przestrzeni.

– Chyba do dziś czuję tamtą treść. Myślałam, że weźmie mnie pan za wariatkę.

– Wszyscy jesteście szaleni! U jednych rzuca się to w oczy, u innych nie.

– Bez dwóch zdań.

Uśmiechnęłam się. Szliśmy w stronę sali, która stanowiła cel naszej wizyty.

– Jakie ma być pani życie w Paryżu?

– Sama nie wiem...

Zawahałam się.

– Nowe. Ma być nowe, inne. Powinnam być... – znów się zawahałam i zawiesiłam na chwilę głos. – Szczęśliwa.

– A co stoi pani na przeszkodzie? – zapytał bezpośrednio.

– Chyba ja sama.

– A ja upierałbym się jednak, że strach. Paraliżuje nas i nie pozwala się cieszyć. Pani ma wszystko, czego potrzeba do szczęścia. Nawet mieszka pani w swoim wymarzonym mieście.

– Owszem.

– Zatem w czym problem?

– Nie wiem. Nie dostrzegam tego, co mam tuż przed nosem. Wie pan, co powiedział mi kiedyś nauczyciel rysunku?

Mathieu skinął zachęcająco głową, ujął mnie pod ramię i skręciliśmy w szeroki korytarz. Konsekwentnie prowadził mnie do celu.

– Powiedział, że muszę nauczyć się zaczynać od nowa, zmiąć papier w kulę, wyrzucić do kosza i zacząć kolejny rysunek. Nie bać się błędów. Ja wolałam ukrywać pomyłki, a on zaszczerpił we mnie tę umiejętność podarcia kartki na strzępy i sięgnięcia po kolejną.

– Czemu nie maluje pani też w Paryżu? To dobra rozrywka.

– Nie wiem. Chyba w Paryżu nie jest mi to potrzebne. Tam chodziłam na lekcje dla zabicia czasu, zajęcia czymś myśli.

– Kiedy pozna już pani Paryż od podszewki, też będzie pani potrzebowała czegoś, co odwróci pani uwagę. Miasta się nie zmieniają, jeśli sami się nie zmienimy.

Zupełnie zbił mnie z tropu. Co miałam mu na to odpowiedzieć? Ardisson zdecydowanie należał do osób o bystrym umyśle i skłonnościach do analizowania zachowań innych. Mnie jednak w tej chwili było wszystko jedno. Mieszkałam tam, gdzie zawsze chciałam mieszkać, i robiłam to, co chciałam, coś zupełnie innego. Szukałam nadziei, ideałów zagubionych przez lata. Przeprowadzka niewątpliwie znacząco wpłynęła na moje samopoczucie.

– Była pani kiedyś zakochana?

– Skąd to pytanie? Zachowuje się pan jak dziennikarz!

W obliczu mojego wyraźnego skrępowania zmarszczył czoło i przyjrzał mi się badawczo.

– Proszę nie zapominać, że mimo wieku nadal nim jestem.

– Dobrze, ale wolałabym odpowiedzieć jak przyjacielowi.

– Odpowiedź będzie chyba taka sama.

– Otóż...

Podniosłam na niego wzrok i nie wiedziałam, czy chcę odpowiedzieć. Świetnie pamiętałam chwilę, w której czułam się szczęśliwa. Wbił we mnie swoje szczere, spokojne spojrzenie i bez zająknięcia powtórzył pytanie. Wytrzymałam jego spojrzenie i nie odpowiedziałam.

Z zewnątrz dobiegały odgłosy burzy z piorunami wprawiającymi w drżenie szyby i mój spokój.

– Dobrze, w takim razie porozmawiajmy o pani sklepie.

– Za kilka tygodni powinien być gotowy.

– Już? Świetnie.

– Wydaje się to niemożliwe, remont strasznie się komplikuje... Ale wszystko się dobrze skończy. Jestem pewna.

– Wszystko będzie dobrze. Wiem to na pewno.

Serce zabiło mi mocniej. Sala z portretem Alice znajdowała się tuż za zakrętem korytarza.

– Jesteśmy – powiedział.

– To dziwne uczucie.

– Raczej ciekawe.

Usiadł na jednej z ławek i odetchnął głęboko, nie kryjąc zmęczenia.

– To właśnie to miejsce – powiedział głębokim głosem. – Tu wisi obraz, dla którego tu przyszliśmy.

– I jak mam zachować spokój, kiedy oświadcza to pan tak zniecka?

– A jak mam to powiedzieć? To nie Święty Graal.

Spojrzał na mnie z arogancją.

– Pani Tereso...

Jego spojrzenie łagodniało, coraz bardziej przypominając wzrok troskliwego ojca.

– Przeprowadziłem tu panią, bo to prawdopodobnie tego miejsca szukała pani od wielu miesięcy. Tu może znaleźć pani odpowiedź na pytania o to, kim była ta kobieta i kim jest pani.

Poczułam, że miękną mi kolana. Co mi da wizyta tutaj? Nic. Zobaczę jakiś portret? Poczuję związek z obrazem sprzed wieku? Najrozsądniej będzie rozejrzeć się, wypić kawę i wyjść z Ardissonem. Może dotarłam zbyt daleko. Pragnienie poczucia jedności z kobietą, której życie diametralnie różniło się od mojego, przypominało fantazje nastolatki. A jednak coś mnie doprowadziło aż tutaj. Coś irracjonalnego.

– O proszę, tam jest.

– Kto?

– Mój syn, kazałem mu przyjść. Wyszukiwał zdjęcia w archiwach, pasjonuje się

fotografią, malarstwem...

– Doskonale.

– Tu jesteśmy! Tutaj! – zawołał Ardisson.

Wyłonił się spośród tłumu turystów, podświetlony od tyłu, w marynarce, kapeluszu i fioletowym szaliku powiewającym w rytm jego kroków. Osłupiałam, a serce przepęłniała mi radość. To rzeczywiście przeznaczenie przywiodło mnie w to miejsce, gdzie powinnam trafić przed laty. Okazało się, że uśmiechnięty mężczyzna, przeciskający się w naszą stronę pomiędzy zwiedzającymi, to... Laurent. Mój ukochany Laurent.

Przebiegł mnie dreszcz. To nie mogła być prawda, nie, to halucynacje, wizja spowodowana nadmiernym napięciem, całą tą sytuacją. Laurent, Laurent...

Oboje znieruchomieliśmy. W milczeniu patrzyliśmy sobie w oczy. Wyglądał na równie zaszokowanego.

– Teresa?...

– Witaj...

– Teresa.

– Laurent...

Poczułam, że zaraz zemdleję. Wcale nie umarł, żył. Zapach jego perfum – ten sam, co przed laty – wypełnił powietrze szczęściem, tak jak tego wieczoru na wernisażu, kiedy poczułam jego oddech na plecach. „Podoba ci się?”. Trudne do nazwania uczucia wymazały wszystkie te dni, które upłynęły od czasu, kiedy porzucił mnie na tamtym madryckim poddaszu, osierocił i pozbawił miłości. W jego wzroku widziałam takie samo osłupienie, jakie musiało malować się w moich oczach. Jak dwa lustra odbijaliśmy swoje emocje i nie byliśmy w stanie zareagować. Ze stuporu wyrwał mnie dopiero widok łez napływających mu do oczu.

Nic nie powiedział. Ja też milczałam. Zaskoczony Ardisson obserwował całą scenę i to on przerwał ciszę, a jego pytanie zabrzmiało głośniejsz niż bijące na zewnątrz pioruny.

– Znacie się?...

Zrobiłam pierwszy krok w jego stronę, ale zdołałam tylko przytulić go bez słowa. Przez dłuższą chwilę staliśmy tak w milczeniu. Poczułam, że serce wali mu tak mocno, jak moje biło za nim, za mną, za tamtym pożegnaniem, za niemożliwym do zniesienia bólem po jego odejściu.

ROZDZIAŁ 25

Od wielu dni prześladował mnie obraz matki stojącej na ulicy, zziębniętej i zawiniętej w koc. Nie mogłam zawrócić, za bardzo oddaliłam się już od niej i od dawnego życia. Nie tylko nie odwzajemniłam jej spojrzenia, ale wprost wyparłam się jej, kiedy Ęrno zapytał, czy znam „tę panią w kocu, bo patrzy na ciebie”. W odpowiedzi przecząco pokręciłam głową, czym sama siebie przeraziłam. Im dalej szłam tą drogą, tym większe obrzydzenie czułam do kobiety, w jaką się zmieniałam.

Musiałam w końcu przyznać sama przed sobą, że coraz bardziej upodabniałam się do Kiki, jeśli chodzi o lekceważący i obojętny stosunek do świata, a zwłaszcza do ludzi w moim życiu. Stałam się uczuciowym nomadą, zdolnym do wszystkiego. Długo nie potrafiłam wymazać z pamięci bólu, jaki malował się na jej twarzy. Moje życie nabrało jednak tempa.

Od czasu do czasu uciekaliśmy z miasta do zamieszkałego przez wielu artystów domu pod miasteczkiem Le Blanc. Zawsze była jakaś okazja od świętowania, na przykład urodziny Pascina w Dagorno, na których jubilat stawił się zawinięty w szlafrok i ze złotym melonikiem na głowie – podarowany mu przez przyjaciół kapelusz zaczął traktować jak talizman. Na przyjęcie przyszło wielu znajomych Ęrna, Valentine’a, Leopolda i Isère. A także modelki, wiecznie młode modelki, zmieniały się tylko ich imiona i aspiracje. Pascin uwiecznił mnie na kilku portretach i zawsze mawiał, że „portrety należy malować od środka na zewnątrz”. Tak też się zakochiwałam, od środka na zewnątrz. Z początku Ęrno mówił, że jestem nieśmiała, potem narzekał, że nie cieszę się wystarczająco, kiedy przynosi mi kolejny prezent. „Nie wiem, jak cię zaskoczyć”, powiedział mi pewnego wieczoru w La Rotonde.

- To piękne.
- Wiem, że piękne. Najpiękniejsze.
- Bardzo mi się podoba, kochanie.
- Czemu więc nie błyszczą ci oczy?

Nie potrafiłam wytłumaczyć mu, że zakochuję się w nim jak Pascin maluje swoje portrety: od środka na zewnątrz. Niewiele wiedziałam o miłości, ale jedno na pewno – to najgorsza forma zakochania, bo o ile strach przed porażką można pokryć szminką i różem, o tyle nie da się ukryć wewnętrznego cierpienia. Jak tego dokonać? Thora mówiła, że wyglądam „jak siedem nieszczęść” i jeśli nie zmienię zbolałego wyrazu twarzy, to w końcu odstraszę Ęrna. Ja zaś z całych sił próbowałam nie zakochać się, nie zakochać się, nie zakochać się, nie zakochać się...

Nie zakochać się bardziej.

Następnego dnia po powrocie z Saint-Tropez z Thorą, Nilsem, Kiki i dziewczynami, ból nieco złagodniał na wieść o rychłej podróży Ęrna i Leopolda do Nowego Jorku. Poruszyło mnie to do głębi – uznałam, że Ęrno chce mi dać czas do namysłu.

– Wiesz przecież, że kocham cię z całego serca, Alice – powiedział. – Jadę, bo muszę, i dobrze wiesz, że chcę być o ciebie spokojny.

Ęrno nerwowo przechadzał się po salonie, zaplatał dłonie, zaczynał kolejne zdania i żadnego nie kończył. Położył rękę na sercu i przez chwilę wpatrywał się w wiszący nad kominkiem obraz, od którego wszystko się między nami zaczęło. Kiedy się denerwował, blizna na jego szyi stawała się bardziej widoczna, bo zaczynał ją uporczywie drapać. Nie chciałam widzieć go słabym, podatnym na zranienie. Był moją oazą. Bezpiecznym schronieniem. Potrzebowałam jego siły, żeby mocno się go chwycić, jak mała dziewczynka, co nie potrafi pływać.

– Wiesz, że jadę do Nowego Jorku.

– Tak, wiem.

– Masz się dobrze bawić z dziewczynami i wszystko mi opowiadać, o klubach, o warsztacie Coco; pamiętaj, że masz do niej iść. Nie zapominaj o listach, ale przede wszystkim nie zapomnij o mnie – mówił, nerwowo splatając palce. Próbował powstrzymać łzy, ale oczy miał wilgotne.

Widząc jego zachowanie, mogłam tylko obgryzać w myślach paznokcie ze strachu.

– Wyduś z siebie wreszcie to, co chcesz mi powiedzieć.

Nie odrywał wzroku od mojego portretu. Cały ciężar ciała przeniósł na ramiona, którymi opierał się o kominek, i pochylił się nad płomieniami. Wyobrażałam sobie najgorsze: skoro tak się męczył, na pewno miał mi coś nieprzyjemnego do powiedzenia. Wszak choć teraz otaczał mnie blask i przepych, nie przywykłam do szczęścia. Kiedy tak patrzyłam, jak wpatruje się w ogień, przypomniały mi się iskry parzące stopy moje i mojego rodzeństwa. Mama własną śliną łagodziła ból. Zadrżałam na to wspomnienie – możemy wyjść z biedy, ale bieda nigdy z nas nie wyjdzie. Życie pchnęło mnie w stronę szerokich bulwarów, ale moje sny – a zwłaszcza koszmary – toczyły się nie w wysadzanych drzewami alejach i parkach, gdzie zwykłam spacerować z Ęrnem, ale w wąskich, wilgotnych zaułkach, gdzie Fresnaultowie wręczali nam jak jałmużnę paczki z jedzeniem. Ta rana była dużo poważniejsza niż blizna na szyi ukrywana przez mojego ukochanego.

– Obiecuj mi, że nie zapomnisz – powiedział Ęrno.

Oderwał wzrok od marmurowego gzymsu, stanął przodem do mnie i uśmiechnął się.

– Nie podoba mi się, że jedziesz z Leopoldem. To łajdak – wyrzuciłam z siebie.

– Lepiej nie można go określić – powiedział, a ja zrobiłam krok w stronę okna, żeby zbliżyć się do światła. – Możesz mi zaufać. Ale ja też chcę móc ci ufać.

Musiałam wyglądać na zdezorientowaną, bo powtórzył to raz jeszcze, po czym sięgnął

do kieszeni.

– Oczywiście, że możesz mi ufać... – wyszlochałam.

– Będę za tobą tęsknił przez te kilka tygodni – stwierdził Ęrno, bardziej niż ja pewny swoich słów.

– Ja też – odparłam.

Wbiłam wzrok w lśniące deski podłogi i prosiłam w myślach, żeby skończył choć jedną myśl, bo inaczej się pod nie zapadnę.

– Myślę o tobie nieustannie – powiedział i w końcu wy dobył z kieszeni aksamitne pudełeczko. Przełknął ślinę i dodał chrapliwie: – Po powrocie z Ameryki chcę się z tobą ożenić.

Moja oaza, mój azyl zamienił się w pierścionek z brylantem – nie miałam nawet okazji mu się przyjrzeć, bo Ęrno nerwowo złapał mnie za rękę i wcisnął go na palec serdeczny. Krew uderzyła mi do głowy, płuca niemal pękły od gwałtownie nabranego powietrza. Gdybym była w stanie normalnie oddychać i powstrzymać łzy, może zdołałabym powiedzieć mu, jak bardzo go kocham, jak cierpię z miłości do niego, jak odmienił moje życie, jak za nim szaleję, jak... Zamiast tego tylko głupio się uśmiechnęłam i rzuciłam mu się w ramiona.

– Dlaczego płaczesz, Alice?

Objęłam go za szyję i pogładziłam po bliźnie, jak sanitariuszka w czasie wojny. Na moim palcu błyszczał diament, a nieprzebrane pokłady nadziei w sercu przysłoniły wszelkie wcześniejsze smutki i niepowodzenia.

– Boję się, że możemy być razem niewiarygodnie szczęśliwi.

Tej nocy postanowiłam zostać u niego. Objęłam go, pocałowałam, przylgnęłam do jego piersi i zatopiłam w niej twarz. Myślałam o tym, jak kruche są moje marzenia, i o uległości wobec malarzy spotykanych nad ranem, kiedy wychodziłam z Kiki. Nauczyła mnie, że cipa to nic więcej jak tylko przepustka do dobrej zabawy i nawiązywania znajomości: „To tylko kawałek mięsa, używaj go”. Teraz jednak po raz pierwszy miałam rozebrać się z miłości i opadł mnie strach.

Drżałam. Całe moje ciało dygotało.

Nie chciałam, żeby wyglądało to tak, jakbym płaciła seksem za szczęście. W obliczu tego rozedrgania, wątpliwości, niepewności cały Paryż wydał mi się malutki i nieistotny w porównaniu z jego łóżkiem. Ile lęków mieści się w jednej historii miłosnej?

Jeszcze mocniej zadrżałam. Jeśli nieskromnie okażę zapał, to zdradzę się z moim doświadczeniem i bezpruderyjnością. Nie mogłam się odprężyć. Uznałam, że najlepiej mieć ten pierwszy raz szybko z głowy, żeby nie przywiązywał szczególnej wagi do detali. Poskromiłam więc swoje zapędy i poprosiłam, żeby wyszedł z pokoju i pozwolił mi się rozebrać, wejść do łóżka i czekać na niego. Zgodził się i kiedy wrócił do sypialni, leżałam już jak ptaszek wymoszczony w gniazdku z poduszek, delikatna i bezbronna.

– Mógłbyś zgasić światło, Ęrno? – poprosiłam.

W pokoju zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Niemal.

Przez niezastłonięte okna wpadało wystarczająco dużo światła, żebym widziała jego ciało, kiedy rozbierał się, stojąc w nogach łóżka i nie odrywając ode mnie wzroku. Miał szczupłe, jędrne, żylaste, niemal bezwłose ciało. Pragnęłam odrzucić kołdrę, podejść do niego i przejąć inicjatywę. Na pewno by mu się to spodobało, ale chciałam, żeby z Ęrnem było inaczej. Nigdy nie posunęliśmy się dalej niż pocałunki, trzymanie się za ręce czy gorące uściski na pożegnanie po wizycie w operze, restauracji czy na przyjęciu. Ęrno zachowywał czystość; a teraz, kiedy stał zupełnie nagi, nie dało się tego ukryć – blask ulicznych latarni oświetlał jego członek, wyraźnie gotowy do przypieczętowania miłości. Rzucił się na mnie, nie odkrywając nawet pościeli i, dysząc, wyznawał mi miłość. Ęrno, choć inteligentny i wspaniale zbudowany, zbyt wolno posuwał się do przodu. W końcu nie wytrzymałam, wpuściłam go pod kołdrę i spleliśmy się w miłosnym uścisku.

ROZDZIAŁ 26

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz.
- Powiedzieli mi, że nie chcesz mnie widzieć.
- Laurent... Nie wiesz nawet, jak żyłam...

Wtedy mój malarz westchnął wyczerpany, obrócił się na łóżku w moją stronę i wypowiedział następujące słowa:

- Tereso, moja ukochana.

ROZDZIAŁ 27

- Powiedz, że po powrocie poświęcisz mi każdą wolną chwilę.
- Powiedz, że nie możesz się doczekać mojego powrotu z Nowego Jorku.
- Ęrno... Nie przestawaj o mnie myśleć.

Wtedy mój generał westchnął wyczerpany, obrócił się na łóżku w moją stronę i wypowiedział następujące słowa:

- Alice, *mon amour*.

ROZDZIAŁ 28

Kochaliśmy się całą noc. Kilkakrotnie, aż do wyczerpania, do ostatnich sił i ostatniej kropli potu. Przez te wszystkie lata pożądanie pokryło się twardą skorupą i teraz musieliśmy ją skruszyć. Nasze stremowane, nastoletnie niemal serca nie pomagały nam, kiedy przyszło do objęć, pieszczot i pocałunków. Nigdy wcześniej dwoje ludzi nie było zarazem tak chętnych i tak nieporadnych. Zdawało się, że od nowa tracimy dziewictwo, z tymi samymi lękami, ale też tą samą nadzieją. Wymienialiśmy tylko krótkie, urywane zdania, które topiliśmy w pocałunkach, jakby świt miał nigdy nie nadejść, zaplątani w wyznania miłości, wspomnienia i obietnice.

Nie dało się spać – słońce wzeszło i świeciło nam w oczy, i w naszym życiu też zaczął się nowy dzień. Zebrałam się na odwagę i zaczęłam mówić:

– Znałam innych mężczyzn, ale z żadnym nie mogłam związać się na dłużej, wszyscy przypominali mi o tobie, ale żaden nie był tobą... Próbowałam szukać cię w ciałach innych. Planowałam nawet odwiedzić cię w domu. Pamiętałam adres...

– Wielokrotnie się przeprowadzaliśmy – przerwał moje wymówki. – Zaczęliśmy wędrować od jednego domu do drugiego, szukając czegoś czy może próbując uciec od problemu...

– Co się stało, Laurent?

– Właściwie nie utrzymuję stosunków z ojcem, przyjechałem do Paryża tylko po to, żeby pomóc mu z wystawą. Błagał, żebym mu towarzyszył i został jego prawą ręką.

– Opowiadaj – wyszeptalam.

Nie odpowiedział od razu. Odwrócił wzrok w stronę okna – nowy dzień wstał już na dobre.

– Nie wiem, od czego zacząć.

Westchnął.

– Laurent... – zaczęłam, żeby mu pomóc. – Minęło wiele lat, ale chyba wciąż możemy sobie ufać...

– Wiem.

Nabrał powietrza w płuca, wyraźnie czuł się skrępowany.

– Mój ojciec umiera.

– Twój ojciec? Ardisson?

– Tak.

– Nie miałam pojęcia. Nawet przez myśl mi to nie przeszło, nie wyglądał na słabego czy

chorego. A może jestem ślepa i nie zauważyłam niepokojących sygnałów. Tak bardzo pochłonęła mnie sprawa fotografii...

– Jego też. Podchodzi do tego przedsięwzięcia z dużym entuzjazmem.

Smutek oddalił nas od siebie, jakby przez środek łóżka przebiegła niewidzialna granica. Wyprostowaliśmy się, na siedząco lepiej rozmawia się o tak poważnych sprawach. Stary Mathieu, mój przyjaciel, ojciec mojego ukochanego, umierał.

– Musisz zrozumieć, Tereso, że już od dawna nie układało nam się najlepiej. Uciekłem, zostawiłem go, bo nie mogłem patrzeć na jego twarz, widzieć, jak oddycha...

– Ale...

– Kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu zadzwonili moi rodzice. Poczulem, że powinienem być przy nich i wróciłem do domu, ale tuż po przyjeździe zorientowałem się, że ich związek zamienił się w koszmar. Ona była kiedyś pełna życia, urocza, czuła i zabawna, chodziła po domu ze śpiewem na ustach i przytulała mnie, jakbym wciąż miał cztery latka. Teraz patrzyła w ziemię i całymi dniami ukradkiem piła, to w kuchni, to w salonie... Dopiero po kilku miesiącach zorientowałem się w sytuacji. Rzuciłem się jej na pomoc, codziennie gdzieś wychodziliśmy, do kawiarni, teatru, na koncerty... Stałem się raczej jej ojcem czy mężem niż synem. Poświęcałem jej każde popołudnie, spędzaliśmy razem czas, snuliśmy plany, które ja potem realizowałem, nawet tak błahe, jak wycieczka do Tuileries na obiad. Powrót do domu zawsze wiązał się jednak z tym samym osaczającym ją lękiem i bólem tak głębokim, że w końcu zwyciężył.

– Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy...

Oczy Laurenta zaczerwieniły się i zaszyły łzami.

– Nie jestem tego pewien. Popełniła samobójstwo jednego z tych wieczorów, kiedy mieliśmy iść do teatru, a ja zostawiłem ją samą. Mówiła, że nie ma problemu, żebym wyszedł ze znajomymi, że ona zostanie w domu, że jest zmęczona... Posłuchałem jej, poszedłem do knajpy i wróciłem nad ranem. Nie zorientowałem się, że śpi nieżywa w salonie. Lekarze mówili potem, że dałoby się ją uratować, że pigułki ją uspiły, że... Konała w sąsiednim pokoju, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie wiedziałem.. Poszedłem prosto do sypialni.

– A twój ojciec, Mathieu?

– Nic mi nie powiedział i zadzwonił na policję, czekał, aż obudzi mnie hałas i zamieszanie po przybyciu policjantów. Wiedział, że matka nie czuła się dobrze, wiedział, że mogło do tego dojść, ale nie okazał nawet cienia skruchy. Wynosili ją na noszach, przykrytą prześcieradłem, a on stał odwrócony plecami, żeby tego nie widzieć, i wykonywał kolejne telefony. Słyszałem głosy jego rozmówców i jeden z nich zwrócił moją uwagę. Jakaś kobieta go uspokajała. Brzmiała, jakby bardzo dobrze się znali. Możesz sobie dośpiewać resztę. Nie potrafiłem zostać w tym domu, nie byłem w stanie nawet na niego patrzeć ani pozbierać rzeczy matki. Dostałem niemal obsesji, mogłem ją uratować,

mogłem ją uratować...

– Chyba w to nie wierzysz?

– Tak. Tak myślę – odparł, nie podnosząc wzroku.

W jego głosie nie usłyszałam nawet cienia wątpliwości.

– Nikt nie zawinił – zapewniłam go, żeby nie słyszeć tego strasznego bólu w jego słowach.

– Jak możesz być tego pewna? – odparł apatycznie.

– Jest już stary, choruje... Nie warto.

– Co do jednego na pewno masz rację: nie jestem do niego podobny. Nie jestem taki jak on.

Twarz znów wykrzywiła mu się w grymasie smutku, a do oczu napłynęły łzy.

– Dlaczego więc przyjechałeś?

Laurent przyglądał mi się bez słowa, a potem wzruszył ramionami i odparł:

– Wiem, że minęło już sporo czasu, że wykorzystuje chorobę, żeby mnie szantażować, żeby ściągnąć mnie do siebie, ale... Nie wytrzymałbym już większego poczucia winy. Ja też nie jestem wystarczająco silny, nie dałbym rady. Poza tym wystawa ma być poświęcona kobiecie francuskiej, a znając mojego ojca, ma to być próba zadośćuczynienia za grzechy czy upamiętnienia matki. Poznałem jej dłonie na przygotowywanym do druku plakacie, nigdy nie zapomnę szczupłych palców matki, bez żadnych pierścionków, ale za to pełnych życia. Tego jej charakterystycznego gestu, gdy chwytiała nadgarstek drugiej ręki i zaciskała dłonie.

Wyprostowałam się i wyciągnęłam do niego dłoń, żeby pokonać dzielący nas dystans.

– Nie odrzucaj go w tych ostatnich dniach, Laurent. Mogłabym pomóc wam zbliżyć się do siebie.

Pomyślałam oczywiście, że dzięki temu my też moglibyśmy się zbliżyć. Zniknął na prawie piętnaście lat i teraz nagle los na nowo rzucił go w moje życie. Kiedy jednak odważyłam się już spojrzeć mu w twarz, wyczytałam z niej, że w głębi serca nie wybaczył ojcu, a jego obecność w Paryżu była tymczasowa. Chciał wszystko mieć pod kontrolą, więc jakoś znosił przygotowania do wystawy, towarzystwo ojca i wspomnienia. Poczekalam, aż zaczął oddychać trochę spokojniej i przytulił mnie do piersi, i niezbyt składnie wymamrotałam:

– A ja?... Nasz Paryż? Pojedziesz, prawda?

Spojrzał na mnie z czułością.

– Nie wiem, co robić. Chcę pomóc mu przy organizacji wystawy, spełnić jego ostatnie marzenie, ale nie potrafię przebywać blisko niego.

Przełknęłam ślinę. Byłam jak ogłuszona, nie słyszałam jego tłumaczeń.

ROZDZIAŁ 29

Kilka dni po wyjeździe Ęrna do Nowego Jorku zaczęłam pracować w warsztacie Chanel. Nie sposób zapomnieć atmosfery, jaka panowała w pracowni. Coco jak cesarzowa stała na czele zastępów szwaczek, ustawionych w równych rzędach za stołami zawalonymi materiałami, nożyczkami, igłami i nićmi. Krawcowe intonowały zawsze tę samą piosenkę i ich ledwie słyszalny śpiew stanowił dźwiękowe tło dla tych popołudni i wieczorów – dla nich rutyna, dla mnie niezwykle wydarzenie. Trudno wyrazić słowami moją fascynację i podekscytowanie na widok przedstawicielek burżuazji, które regularnie przychodziły do pracowni, oczywiście w towarzystwie służących, i bez cienia sprzeciwu przyjmowały wszystkie sugestie mademoiselle. Chanel traktowała je po prostu jak klientki i bezosobowo narzucała im swój prosty styl. Kiedy pytały o przyczynę jakiegoś rozwiązania, wzruszała ramionami. Do pracowni płynął nieprzerwany strumień listów, paczek, przesyłek z zagranicy, podarunków...

– Połóż to tam! – rzucała do gońca po wręczeniu napiwku. Nigdy żadnemu nie spojrzała w twarz, być może z obawy, że któryś przypominać będzie jej „Boya”.

Ja postrzegałam to miejsce jako salę balową, gdzie wszystkie elementy poruszały się jak trybiki w lśniącym, świeżo naoliwionym mechanizmie. Mama byłaby szczęśliwa, gdyby zobaczyła, z jaką radością pracuję za jednym z parawanów zasłaniających stoły. Zamierzałam zabrać dla niej wszystkie niewykorzystane ścinki. Czasem czułam impuls, żeby wrócić do domu i opowiedzieć jej o tym miejscu, gdzie ból zamieniłam na rozrywkę.

– Jeden znany fotograf z bulwaru Croisette zrobił nam zdjęcie z kapeluszem podobnym do tego, droga Gabrielle – powiedziała piękna klientka i opadła na szeslong. – Tamtego wieczoru wszyscy nas podziwiali – dodała.

– Pamiętam – ucięła stanowczo Coco. – Nie warto.

– Zabrałam ze sobą dwadzieścia kapeluszy – wspominała dalej.

– Dwadzieścia! To bardzo dużo, prawda? – wyrwało się jednej z dziewcząt.

Czułam takie samo zaskoczenie jak to, które dało się słyszeć w jej głosie.

– Wczoraj wieczorem jeden zgubiłam – dodała inna szeptem. – Zupełnie przepadł.

– Kiedyś głowę zgubisz.

– Cicho! Przyganiał kocioł garnkowi.

W warsztacie życie nie ustawało nawet na chwilę. Powściągałyśmy żarty i przekomarzania, kiedy panie, strojne jak księżniczki, w wielkich kapeluszach zsuniętych prawie na kark, z zapalem opowiadały o podróżach do Nicei, Sankt Petersburga,

Deauville, hoteli w słońcu Saint-Tropez... W milczeniu przysłuchiwałyśmy się historiom – jak mogłybyśmy je zignorować? – i odkryłyśmy, że wielkie panie mówiły tylko o kochankach, generałach, książkach, meblach, szkłe od Lalique’a, biżuterii Cartiera i filmach, w których wypatrzyły sobie stroje. Coco, wciąż pogrążona w smutku i żałobie, reagowała niechęcią. Nie chciała upiększeń, każdą ozdobę uważała za zbędną, każdy nadmiernie zdobny projekt bez mrugnięcia okiem wyrzucała do kosza na śmieci. Tak jak mięła i darła na strzępy nieudane jej zdaniem szkice, tak bezlitośnie wyśmiewała pozbawione gustu klientki, którym zdawało się, że im więcej płacą za sukienkę, tym więcej powinna mieć kokardek i falbanek. „Nie”, odpowiadała krótko, ucinając dyskusję. Coco była kobietą wrażliwą, ale silną, i to wtedy przekonałam się, jak ważne są te trzy litery. To ostatnia cegła w murze, jaki wzniosłam pomiędzy starym życiem a nowym. Też nauczyłam się mówić „nie”. Kiki i dziewczynom to się nie spodobało.

– Szczęśliwa miłość nie wyklucza rozrywki, moja droga.

– Jestem wykończona, wszystkie poranki spędzam u Coco – tłumaczyłam się z faktu, że znów nie wychodzę z nimi na całą noc. – Muszę wcześniej wstawać. Obiecałam Ęrnowi.

– Nudna jesteś, wiesz? Przyszła pani Hessel to straszna nudziara.

– Wiesz, że za nim tęsknię...

– No coś ty? Nie zauważyłam! Najpierw Thora, teraz ty... Jak tak dalej pójdzie, zostanę bez przyjaciółek. Dobrze, że przynajmniej są jeszcze faceci...

– Wszyscy?

– Jak będzie trzeba, to wszyscy! Nie wybrzydzą. Zresztą, odkąd jesteś zajęta, mam większe powodzenie.

– Kiedy wróci Ęrno, umówimy się, ale teraz chcę jak najwięcej skorzystać z pracy u mademoiselle, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to pasjonujące! Obiecała, że pomoże mi otworzyć własny interes.

– A ty znowu z tym sklepem?

– Wiesz, że o tym marzę.

Kiki mruknęła coś pod nosem. Z mocno zaciśniętymi ustami wyglądała, jakby próbowała odgadnąć moje myśli. Najlepszą, a zarazem najgorszą cechą mojej przyjaciółki była jej umiejętność czytania między wierszami, i zawsze w milczeniu wyczuwała, co leżało mi na sercu. Oddałabym wszystko, żeby dowiedzieć się, co w tej chwili myśli, i choć mogłabym zapytać, postanowiłam milczeć, żeby uniknąć przesłuchania.

– Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będę przy tobie, tak jak wtedy, gdy brudna od farby i szminki wychodziłaś z innych malarskich pracowni – powiedziała Kiki, kiedy wychodziłyśmy z kawiarni.

Charakterystycznie pstryknęła palcami, jak zawsze gdy chciała zmienić temat, poprawiła szminkę, złapała mnie pod ramię i odprowadziła z powrotem do warsztatów Coco. Pstryknięcie odbiło mi się echem w skroniach. Jako moja przyjaciółka, Kiki świetnie

wiedziała, że pochodziłam z innego Paryża, gdzie nie stoi się w szyfonowych sukniach w drzwiach najlepszych restauracji, bawiąc się sznurem pereł zawieszonym na szyi. Przywykłam do smaku cebuli i nieraz zebrałam o kawałek sera dla młodszego rodzeństwa. Miałam żelazny żołądek i skórę odporną na siarczyste mrozy. Najbardziej bałam się, że bez wsparcia Èrna spadnę na sam dół drabiny społecznej. To on otworzył przede mną wszystkie drzwi i on mógł je w każdej chwili zamknąć. Wszystko będzie dobrze, pomyślałam. Wzięłam głęboki oddech, pożegnałam się z Kiki i poczułam, że wciąż próbuje drążyć w głębokich pokładach moich zmartwień.

– Prawdziwych przyjaciółek nigdy nie rozdzieli mężczyzna. Pamiętaj, że jestem.

– Wiem, Kiki.

– Nie zapominaj, że Leopold to playboy, a Èrno się z nim przyjaźni... To mężczyźni, a mężczyznom...

– Dosyc!

– Mówię ci to z troski, kocham cię i martwię się o ciebie... Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Oni są ulepieni z innej gliny niż my.

Zdałam sobie sprawę, że pozornie lekceważąc słowa Kiki, próbuję zignorować swoje własne lęki i niepokoje. Być może miała rację. Ale ja prosiłam, błagałam, modliłam się, żeby tylko „być może”.

– No dobrze, muszę uciekać, czekają na mnie. – Potrząsnęła swoją grzywą à la *garçon* dla rozluźnienia atmosfery. – Nie mogę stracić ani minuty!

Królowa Montparnasse’u wpadła w sidła kolejnego romansu, ale jak zwykle udawało jej się łączyć miłość z rumem i śpiewem. Stała się jedną z wielu gwiazdek, których pełno było na scenach: grała, śpiewała, malowała i pozowała do zdjęć swojej drugiej połówce, Manowi Rayowi, do wszystkich możliwych publikacji. Zawsze nago. Bez wstydu i bez lęku. Cały paryski świat kręcił się wokół mojej najdroższej Kiki, a ona każdą dobę wykorzystywała z pasją do ostatniej kropli, codziennie umierała i rodziła się na nowo, jak jedwabnik. Ja zaś z kolei ciągle się kontrolowałam, żeby nie poddać się pokusie. Nigdy nie pozbyłam się lęków, wciąż pokrywałam je grubą warstwą makijażu.

Kiedy Kiki już sobie poszła, wspięłam się po schodach do pracowni przy rue Cambon. Ciągle jednak myślałam o tym, że trafiła w czuły punkt, w moje lęki o przyszłość. Żeby sny się spełniły, trzeba śnić je wielokrotnie. Tak bardzo bałam się go stracić, że nie wychodził mi nawet jeden prosty szew. Klucz do mojego bezpieczeństwa leżał w moim świecie, w dzielnicy Mouffetard – teraz należała już do przeszłości, a ja potrzebowałam innego źródła wsparcia. Teraz to on trzymał klucz. Wszystkie próby skupienia uwagi na nożyczkach i niciach spełzły na niczym.

Wciąż jeszcze pograżałam się w rozmyślaniach, zagubiona we własnym świecie, kiedy podeszła do mnie Coco, jak zwykle od stóp do głów w czerni. Jej wzrok napotkał mój, utkwiony w oknie, ale udałam, że nic nie zauważyłam. Na nieszczęście pracowałam

właśnie nad suknią dla madame Arnauld, przyjaciółki szefowej. „Lekcja numer jeden: skupiać się na zadaniu. Lekcja numer dwa: nie pobrudzić materiału”. Gwałtownie obróciłam głowę i zauważyłam, że plamię wykrój krwią.

– Przepraszam, mademoiselle Chanel! – spanikowana wytarłam krwawiącą dłoń o spódnice.

Ona zaś, równie jak ja skonsternowana, podała mi chusteczkę do opatrzenia rany.

– Alice, widziałam, jak zacięłaś się nożyczkami, i nawet tego nie poczułaś.

– To już się nie powtórzy – odparłam, zawstydzona zniszczeniem rękawa.

– Oczywiście, że się nie powtórzy.

– Obiecuję.

– Co się dzieje? Poznałam pewną siebie, czasem wręcz zuchwałą dziewczynę. Teraz stoi przede mną sierotka, która jakby dopiero co przyjechała do Paryża.

– Przykro mi.

– Wiem, że ci przykro, ale chciałabym dowiedzieć się, co się z tobą dzieje. Bardzo się zmieniłaś, odkąd cię poznałam... Nie wmówisz mi, że to tylko nerwy.

Krawcowe ukradkiem podsłuchiwały naszą rozmowę.

– Zajmijcie się swoimi sprawami! – powiedziała dość opryskliwie.

– To... Jakby to powiedzieć... Strach.

– Strach? Przed czym?

– Trema, obawa przed porażką, lęk, że nie stanę na wysokości zadania, nie spełnię pani oczekiwań...

Patrzyła na mnie w milczeniu, z jedną ręką opartą o biodro, a drugą na stole, gdzie wciąż leżały zakrwawione nożyczki. Stała tak przez dłuższą chwilę, niewzruszona, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Widać było, że nie wierzy w moje tłumaczenie, i w końcu zdecydowałam się na szczerość.

– Nie jestem taką kobietą, na jaką wyglądam. Boję się, że Érna się zorientuje.

Z jej oczu wyczytałam, że się ze mną nie zgadza. Chwyciła nożyczki i zdecydowanym ruchem rozszarpała poplamioną krwią tkaninę.

– Co pani robi? Mogłam to wyprać!

– Moja droga Alice, to tylko kawałek sukienki. Panią Arnauld stać na dwieście takich sukni. Może nawet na więcej. Sama mogę przekonać ją, żeby wybrała inny kolor, inny krój, inny materiał. Nie potrafię jednak przekonać zakochanego mężczyzny. Érna cię kocha, dobrze go znam i wiem, że nie ma takich nożyczek, które zniszczyłyby jego uczucia do ciebie.

Obróciła się na pięcie i poszła do swojego gabinetu, ale w drzwiach jeszcze raz się odwróciła.

– I masz mi nie pobrudzić już żadnego materiału! – ostrzegła, z myślą o reakcji pozostałych dziewczyn z pracowni.

Po skończonej dniówce wróciłam do domu. W przytulnym mieszkaniu niemal zapomniałam, że byłam szczęśliwie zakochaną kobietą. Wciąż ściszałam w dłoni chusteczkę Coco, żeby zatamować krwawienie. Kiedy odkleiłam ją od rany, odkryłam, że cięcie podzieliło na pół moją linię życia.

W lustrze rozpoznałam strach, ale nie poznałam własnej twarzy, umęczonej ponurymi myślami. Znalazłam w szafie szmaragdowy naszyjnik podarowany mi przez Ęrna przed uroczystą kolacją i pogłaskałam go, jakbym gładziła bliznę na jego szyi, a on ubrany był w generalski mundur, jak na jednym ze zdjęć. Po chwili poczułam, że kiedy zaciskałam ozdobę w dłoni, rana na nowo zaczęła krwawić, plamiąc klejnoty.

Mimowolnie zadrżałam.

ROZDZIAŁ 30

Powrót Ęrna się opóźniał, a mnie wciąż prześladowały słowa Kiki. Czy tego chciałam, czy nie, z czasem przyznałabym jej rację. Dwukrotnie nie poszłam do pracowni, zamiast tego samotnie zalewając się łzami, przytłoczona presją mijających dni i samotnością. Nowy Jork leżał tak daleko, a ja nieustannie odliczałam dni potrzebne na podróż powrotną, jakbym mogła w ten sposób przyspieszyć pracę silników statku, ale jedyne, co przyspieszało, to bicie mojego serca. Robiło mi się słabo na myśl o Ęrnie opartym o barierkę na pokładzie i zapatrzonym w bezmiar oceanu. Każdego wieczoru co chwila zerkałam na zegarek i z naiwną wiarą, że tego właśnie dnia wróci, błyskawicznie sprzątałam po sobie w pracowni, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Zdawało mi się, że jeśli popędzę się przebrać i będę czekać na jego powrót, czas minie szybciej. Coco świetnie mnie rozumiała. „Zakochanie najłatwiej poznać po nerwach”, mówiła.

– Wiele bym dała, żeby to on był teraz na morzu.

Mówiła o sobie, o swojej stracie. Zrozumiałam, że ja mam na kogo czekać, ona już nie. I że tęsknota może być źródłem zarówno smutku, jak i wielkiego szczęścia.

– Wiele bym dała.

Przy tych słowach gładziła z zamyśleniem materiał, który przez moją nieuwagę zsunął się ze stołu z wykrojami. Uznałam, że nie mam prawa żalić się i narzekać, i szybko wzięłam się w garść. Skończyłam, co miałam do zrobienia, zrobiłam porządek w niciach i tkaninach i wyfrunęłam z pracowni. Nawet nie pamiętam, jak dotarłam do domu. Słowa Coco zepchnęły mnie w przepaść lęku i rozpacz. Doszłam do siebie dopiero w wannie pełnej piany – przeglądałam się w bańkach mydlanych, które w nieskończoność odbijały mój odwrócony do góry nogami obraz.

To ja, pośrodku mojego własnego morza.

Dmuchałam w bańki, jak wiatr nadyma żagle statku.

On znajdował się teraz pośrodku zupełnie innego morza.

Zrobiłam to, co każdego wieczoru, odkąd wyjechał do Nowego Jorku, codziennie, niezależnie od dnia tygodnia czekałam, czekałam na niego... Wybrałam najlepszą sukienkę, nienagannie ułożyłam włosy, spryskałam się perfumami, a potem sama nie wiem, ile razy przejrzałam się w lustrze – biegałam między łazienką a garderobą – i poprawiłam naszyjnik, żeby Ęrno po powrocie zastał dokładnie taką Alice, jakiej się spodziewał. Czekałam tak dłuższą chwilę. „Myślałam, że nie wrócisz, myślałam, że o mnie zapomniłeś, myślałam...”.

Przeklęte belki sufitu zaczęły wibrować – jak zawsze wprawiały je w drzenie czyjeś

kroki na schodach. Przywołałam na twarz zalotny uśmiech.

Ktoś zapukał do drzwi.

ROZDZIAŁ 31

Szczęście dodaje nam skrzydeł. Możemy szybko uciec, jeśli jest taka potrzeba, a mnie pozwoliło w mgnieniu oka znaleźć się przy drzwiach. Za progiem stał młody, sympatyczny chłopak i pytał o pannę Humbert.

– To ja. Alice Humbert.

– Mam dla pani list.

Nadawcą okazali się Fresnaultowie – charakter pisma wskazywał, że to mąż pisał w ich imieniu. Ostrożnie rozerwałam kopertę, rozłożyłam kartkę i zaczęłam czytać:

Kochana Alice!

Podejrzewam, że list dotrze do Ciebie zbyt późno. Pamiętaj, że zawsze ciepło o Tobie myślimy i pamiętamy radosne chwile spędzone w Twoim towarzystwie – byłaś zawsze tak uczynna i uprzejma! Pod Twoją nieobecność jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do Twojej rodziny. Rozumiemy, że jeśli nie ma Cię z nimi, to dlatego, że życie hojnie Cię obdarzyło, spełniły się Twoje marzenia i podążasz drogą, jakiej zawsze życzyli Ci Twoi bliscy.

Oboje z żoną z rozrzewnieniem wspominamy Twoje dzieciństwo i wczesną młodość. Wiemy, że wyrośniesz na szczęśliwą kobietę. Nie mamy najmniejszych wątpliwości, że Twój anioł stróż czuwa nad Tobą, tak jak czuwał nad nami przez te wszystkie lata. Życzymy Ci, żeby nigdy się to nie zmieniło. Mamy nadzieję, że odwiedzisz nas kiedyś – zawsze byłaś i będziesz mile widziana, ale do tej pory nie mogliśmy znaleźć Cię w Paryżu. Prawdopodobnie nie dotarła więc do Ciebie tragiczna wiadomość: Twoja matka zmarła po długiej chorobie. Twoje młodsze rodzeństwo już nie...

Nie mogłam złapać tchu: mama nie żyła. Z niedowierzaniem potrząsnęłam głową i zmiełam kartkę w dłoniach. Nie zdołałam przeczytać już ani słowa więcej. Ani jednego słowa więcej... Za oknem ludzie bawili się i tańczyli na chodnikach przy dźwiękach ulicznej orkiestry, a odgłosy cudzego szczęścia mieszały się z bezbrzeżnym smutkiem wypełniającym moje mieszkanie. Stałam się żywym trupem. Przechodnie śpiewali wesoło, a ja pogrzeżyłam się w bólu i rozpacz, w dojmującym chłodziu, jaki musiała odczuwać matka tamtej nocy, kiedy zignorowałam jej obecność. Żal wypełnił całe moje ciało, aż w końcu wylał się z oczu rzewnymi łzami. Serce waliło mi gwałtownie, czułam mocne, duszące pulsowanie w szyi. Wiedziałam, że jestem najbardziej nikczemną kobietą na świecie, godną najwyższej pogardy. Próbowalam przyjąć śmierć matki do wiadomości, zamknąć uszy na dobiegającą zza okna muzykę, oddychać, utrzymać się na nogach, a jednocześnie nie potrafiłam wyrzucić z pamięci obrazu zawiniętej w koc mamy, która

marzła, gdy ja, jakby nigdy nic, wsiadłam do samochodu z Ęrnem. Tamtej nocy uciekłam od niej, ale uciekłam zarazem od siebie samej. Nie wiedziałam, że to ostatni raz, kiedy widzę ją żywą, kiedy patrzy na mnie z nadzieją i oczekiwaniem. W pewnym sensie obie umarłyśmy, z jedną tylko różnicą – ja mogłam się pożegnać.

List wysunął mi się z ręki i opadł na podłogę, a ja usiadłam ze wzrokiem wbitym w drzwi, przez które przed chwilą wyszedł goniec. Nigdy w życiu nie czułam się tak fatalnie. Mogę powtarzać to aż do wyczerpania słów, jakie jeszcze mi zostały, bo nigdy, ani wcześniej, ani później, tak bardzo nie bałam się samej siebie. Właśnie w tej chwili zdałam sobie sprawę, że jestem sama i zawsze już tak będzie. Sama. Kto próbuje uciekać przed prawdą, zawsze w końcu się z nią zderzy. Wydaje nam się, że będziemy żyć wiecznie, że zdążymy naprawić wszystkie błędy, ale tak nie jest. Błędy już zadbają o to, żeby sypnąć nam solą w oczy.

Tak jak stałam, wypadłam na ulicę, cuchnąca bólem i perfumami.

– Przepraszam – mówiłam do muzyków walących w bębny, podczas gdy ocierałam łzy dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Jakiś mężczyzna wymachiwał flagą gęsto obszytą frędzlami. Nagle objął mnie w pasie i porwał do tańca.

– Chodź z nami, ślicznotko!

– Zostawcie mnie! – wrzasnęłam.

Sztywno wyprostowałam plecy. Przypomni ł mi się pierwszy raz, gdy tamten lekarz próbował wykorzystać mnie w ciemnej uliczce. Traktował mnie jak śmiecia, bo musiałam wydawać się śmieciem. Pijany muzyk złapał mnie za biodra, a potem próbował pocałować – wyrwałam się i rzuciłam do ucieczki pomiędzy bębnami, co i rusz wpadałam na nie i darłam materiał sukienki, tak jak w strzępach była moja dusza. Kluczyłam uliczkami pełnymi włóczęgów i innych typów spod ciemnej gwiazdy, i zaczęłam bać się jak nigdy w życiu. Wypełniała mnie zimna pustka prawdziwej, głębokiej samotności, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Ludzie żwawo kroczyli zaśmieconymi chodnikami, omijając kałuże i strumienie wody spływające z krawężników.

Dotarłam do rodzinnego domu z nadzieją, że wszystko okaże się kłamstwem, i załomotałam do drzwi. Nikt mi nie otworzył, ale drzwi znienacka ustąpiły i dosłownie wpadłam do domu, gdzie przez tyle lat dorastałam w niedostatku. Na czworakach, jak w dzieciństwie, kiedy szukałam mamy, poruszałam się po ciemnych pokojach, bezskutecznie skomląc: „Maaamo? Mamusiu!”. Raz po raz wpadałam na krzesła i w końcu usiadłam na jednym z nich. Ciągle czułam na nim ciepło tyłu minionych zim. Samotności, jaka panuje w domu po śmierci, nie da się zmierzyć ani opisać. Mój stół stał na swoim miejscu, tuż pod oknem, skąd zwykłyśmy obserwować uliczne tłumy i gdzie jadałyśmy posiłki od Fresnaultów. Przyciągnęłam siedzisko pod okno, starałam się nie patrzeć na koc, którym mama przykrywała sobie nogi, i przez następne kilka godzin powoli zamarałam

w dawno wygasłym ognisku domowym.

Odwróciłam głowę, żeby nie widzieć fotografii na kominku, kiedyś wesołym, jakby zawsze były święta, teraz czarnym i pustym jak wejście do jaskini. Na stojących na gzymsie zdjęciach uwieczniono całą naszą czwórkę, z jasnymi twarzami i włosami zaczesanymi do tyłu. Mama specjalnie na tę okazję pożyczyła zdobioną koronką bluzkę i przyczepiła do niej broszkę, również pożyczoną od żony fotografa, a ta z zazdrością przyglądała się naszemu szczęściu. Wyszczypała nasze pulchne policzki, żeby wydobyć radość powoli odpływającą z naszych twarzy – nie da się długo pokrywać jej pożyczoną biżuterią – i wycalowała. Po chwili oślepił nas błysk flesza. Moja lalka siedziała na parapecie, tuż obok wiklinowego koszyczka z igłami i nićmi.

Dom zdawał się żyć, wciąż jeszcze dało się odczuć ciepło ciał osób, które dopiero co wyszły. A dźwięk obcych kroków, niegdyś zapowiadający wizytę gości, teraz przywodził na myśl intruzów, w tym spokojnym budynku, który nie był już domem. Trująca cisza wypełniała powietrze samotnością. Przykleiłam twarz do zimnej szyby i w ciepłym oddechu odbił się zarys mojego oblicza. Oderwałam wzrok od ulicy i starłam ślad pozostawiony na oknie. „Maaamo! Mamusiu?”, pytałam znowu, choć wiedziałam, że nie usłyszę odpowiedzi.

– Mamo...

Zza drzwi wystawały tasiemki jej fartucha. Wisiał na haczyku – zawsze go tam zostawiała, kiedy wychodziła uściskać nas na powitanie. Przejrzałam się w jej lustrze, żeby obetrzeć łzy, i zobaczyłam pustkę malującą się w oczach. Wytarłam twarz fartuchem i zrobiło mi się jeszcze gorzej: zapach matki wypełnił mnie, przeniknął do szpiku kości. Dałabym wszystko, żeby móc ją przytulić.

Te niewielkie, przytulne pomieszczenia były moim domem. Tam dom twój, gdzie twoja matka. Zdruzgotana usiadłam na jej solidnym łóżku z drewna i metalu, które stało na środku, choć jednocześnie niemal dotykało drzwi malutkiego, ascetycznego pokoiku. Z niewyjaśnionych przyczyn panował w nim mniej dotkliwy chłód niż w całym przejmująco zimnym domu. Czasem spałyśmy razem, żeby nie zamarznąć w nocy, przed wyjściem spod kołdry rozcierałyśmy sobie wzajemnie zgrabiące dłonie, żeby zdołać się choć ubrać. Z ulicy wpadł wąski promyk światła i oświetlił jej stronę łóżka, jakby zmuszając mnie, żebym tam spojrzała.

Zobaczyłam ją, jak leży, tak jak zawsze, gdy zasypiała pierwsza.

Patrzyłam z zapartym tchem.

Po raz kolejny zadałam sobie pytanie, jak mogłam zachować się tak podle tamtej nocy, kiedy uciekłam. Rzuciłam się na wełnianą narzutę, a łóżko zatrzeszczało. Czułam się opuszczona. Skończyłam pięć lat, potem siedem, dwanaście, czternaście, piętnaście, i za każdym razem widziałam ją, jak schyla się, by mnie przytulić. Co by ze mną było bez niej? Co gorsza: co ze mną będzie bez niej?

Odpowiedziało mi tylko skrzypienie łóżka, do wtóru z moim bolesnym szlochem.

Kiedy nie miałam już siły łkać, wyszłam, zamknęłam za sobą drzwi i zanurzyłam się w labiryncie ulic – moim nowym domu.

Popatrzyłam na ciemną fasadę budynku, w którym przez tyle lat mieszkałam, i ujrzałam w oknie matkę, jak wtedy, gdy bladym świtem wychodziłam do szkoły, a pod pachą niosłam książkę i świeżo zastrugany ołówek. Zdawało mi się, że widzę jej dłoń przyciśniętą do szyby, podniosłam swoją i dotknęłam jej, w absurdalnej próbie pożegnania czy może prośby o wybaczenie. Ból ściśniętego gardła promieniował aż do policzków.

Zapłakałam.

Kiedy dotarłam do końca ulicy, jakiś mężczyzna obejrzał się za mną z pogardliwym wyrazem twarzy i nagle, w środku nocy, zawołał mnie po imieniu.

– Alice...

Ze strachem słuchałam, jak kilkakrotnie powtarza szeptem moje imię, wyraźnie ze mnie drwiąc. Był środek nocy i dość ciemno, w świetle odległej latarni musiałam wyglądać jak zbłąkany duch. Przycisnęłam rękę do piersi jak tarczę i przeszłam na drugą stronę ulicy, żeby zejść z drogi nadchodzącej bestii.

– Proszę, proszę, mała Alice.

Poznałam głos Kislinga, zataczał się pijany. Uczucie samotności sprawiło jednak, że bałam się już tylko samej siebie.

– Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj o tej porze...

Wyraz twarzy musiał mnie zdradzić, bo podszedł bliżej.

– Zawsze byłaś nocnym markiem.

Uszczypnął mnie w tyłek i przyciągnął do siebie, do płaszcza i ciała gorącego od rumu wypitego w jakimś barze. Ja zaś byłam zimna, odrętwiała, pozbawiona możliwości wyrażania uczuć. Kisling zawiesił głos i objął mnie mocniej, żeby nie spaść ze śliskiego od lodu krawężnika. Ja objęłam go, żeby nie spaść w przepaść.

Nie musiał nic mówić, żeby zaciągnąć mnie do siebie. Zawsze zastanawiałam się, jak to robi.

– To niedaleko – stwierdził. – Zagrzejesz się trochę.

Najwyraźniej nawet nie pamiętał, że gościłam już u niego. Nie potrzebował też instrukcji, jak wydostać się z tej plątaniny wąskich uliczek, bo to on okrył mnie płaszczem i sprawił, że jak wąż zmieniałam skórę. W niewielu miejscach znajdujemy cel naszej drogi, ale z wielu miejsc uciekamy. Jego szorstkie ręce, poplamione farbą i śmierdzące tytoniem i rumem, podziały na mnie jak ostroga – uciekałam, a starą skórę zostawiłam w rynsztoku.

Niewątpliwie zdał sobie sprawę z mojej bezbronności i prowadził mnie, przyciśniętą z całej siły do siebie, żeby ochronić mnie przed chłodem nocy, a jednocześnie więził mnie jak motyla w szklanym słoju.

Jego pracownia nie mieściła się już przy rue Campagne Première, od tej pory minęło dużo czasu. Teraz zadekował się pod numerem 3 przy rue Joseph Bara, a zgodnie z tym, co powiedziała mi ostatnio Kiki, również Modigliani przychodził tam malować, aż do śmierci.

– Przepraszam – próbowałam powstrzymać jego natrętne dłonie gmerające wśród moich ubrań.

Kisling złapał mnie za nadgarstek i zmusił, żebym go rozebrała.

– To nie pierwszy raz, Alice. Przyszłaś tu, żebym cię namalował. Pamiętam, że lubisz być oglądana, pozujesz tak wyzywająco... Mam ci przypomnieć? Pogódź się z rzeczywistością: to jest twój świat. Zapomnij o salonach i wróć do nas.

– Boję się ciebie, Moïse – odparłam. – Wypuść mnie, proszę. Jestem załamana.

– Nie jesteś już dzieckiem. Jesteśmy sami.

Kisling pokręcił głową.

– Ale jesteś blada! Napij się trochę rumu – wziął otwartą butelkę spośród leżących na stole pędzli i zbliżył mi ją do ust. – No, weź łyk.

On był zdolny do wszystkiego, a ja tej nocy czułam się zagubiona i tak pusta jak nigdy wcześniej. Moje ciało opakowywało pustkę. Zaczęliśmy gwałtownie się kochać, Kisling buchał agresją jak wtedy, kiedy rzucał się na mnie tuż przed zamknięciem pracowni. Kurczowo złapałam się stołu, żeby nie upaść. Jego spocone dłonie błędziły po moim ciele w pijanym, namiętnym szaleństwie, a ja, choć z początku spięta, dałam się ponieść jego zapałowi. Na samą myśl, że go podniecam, dostawałam gęsiej skórki. Nie musiałam nic mówić, jęki rozkoszy nie pozostawiały złudzeń – nikt nie potrafił dogodzić mi tak jak Moïse. Miotaliśmy się rozpaczliwie, jak szaleńcy.

– Ubiorę się już – powiedziałam. – Chcę iść do domu.

Jego twarz skrzywiła się w grymasie.

– Chcę cię namalować.

Zaskoczył mnie, ale o tej porze, kiedy słońce wschodziło już nad dachami Paryża, nie robiło większej różnicy, czy zostanę, czy pójdę.

– W porządku... – wymamrotałam.

– Zostań tak, jak jesteś.

– Tak?

– Dokładnie tak – odparł.

Dałam z siebie tak wiele, że teraz nie mogłam ruszyć nawet palcem. Pozostałam więc nieruchoma na sofie, jakby ktoś mnie tam porzucił. Wpatrywał się we mnie obłąkanym wzrokiem, jego zaszklone spojrzenie przypominało oczy drapieżnego gada, pewnego, że schwytał ofiarę.

– Zabierz to prześcieradło – instruował. – Nie ruszaj nóg, niech zostaną, jak są,

rozłożone. Jesteś przepiękna, nie ma na świecie malarza, który zdołałby w pełni oddać twoją urodę.

– To też mam zdjąć? – zapytałam.

Kising potrząsnął głową. Pochylił się do przodu i cicho odparł:

– Wszystko mi jedno.

Mówiąc „to”, miałam na myśli szmaragdowy naszyjnik podarowany mi przez Ęrna tamtej nocy, kiedy byłam szczęśliwa. Nie potrafiłam zdjąć go z szyi. Wyrwał mi się nerwowy szloch – Moïse wziął go za namiętne westchnienie – i odetchnęłam głęboko, żeby nie wymiotować z przerażenia, które powoli wypełniało mi żyły.

ROZDZIAŁ 32

To była niezwykle ciężka zima, może nawet najcięższa zima mojego życia – wyznaczyła wyraźną granicę pomiędzy tym, jak żyłam wcześniej, i jak żyć miałam od tej pory. Nigdy nie ufałam samej sobie, ale teraz obawiałam się, że nie jestem też godna zaufania innych. To wydawało mi się najgorsze. Następnego ranka postanowiłam zagłębić się w uliczki starej dzielnicy w poszukiwaniu swoich korzeni, śladu, jaki został po mnie na tych chodnikach i w budynkach. Czulałam się na siłach, żeby ponownie odwiedzić dom. Włóczyłam się bez celu, udając, że szukam konkretnego numeru, tylko po to, by zatrzymywać się przy każdej bramie według własnego widzimisię i wdychać zapach straganów z warzywami, owocami, serami, drewnem opałowym, kwiatami... Z zamyślenia wyrwało mnie dopiero zderzenie z jakąś dziewczynką – biegiem wypadła z mojej bramy i przypomniała mi o dawnych dobrych czasach, gdy wiedziałam, że nic złego nie może mnie spotkać, bo w domu siedzi mama.

Mała uśmiechnęła się do mnie, jakby czytała mi w myślach. „Dzień dobry”, powiedziała grzecznie, wygładziła sukienkę i minęła mnie w przejściu.

– Dzień dobry – odparłam, nagle pogrążona w niewypowiedzianym smutku.

Za dziewczynką szła matka i prosiła, żeby ta porządnie zapięła palto. „Tak, mammo, dobrze, mammo...”, odpowiadała, biegając pomiędzy stoiskami.

– Słuchaj się mamy – wymamrotałam, choć wiedziałam, że nie mogły mnie słyszeć. W oczach mieszkańców musiałam wyglądać na obcą przybłędę.

Zebrałam wszystkie rzeczy po matce z małej szafy stojącej w nogach łóżka, jak pozbawiona uczuć maszyna, starając się nie dać ponieść emocjom, jakie budził we mnie każdy przedmiot. Postanowiłam podarować Fresnaultom część naszego skromnego dobytku i zamknęłam drzwi na klucz. Zanim wyszłam, oparłam się jeszcze o ścianę i wybuchnęłam dziecinnym płaczem, który nie przyniósł żadnej ulgi. Chciałabym, żeby to wszystko okazało się snem, ale byłam tylko ja i moje poczucie winy. Płacz pozwalał mi przynajmniej zagłuszyć martwą ciszę panującą w domu. Nie wiedziałam, gdzie podziąć wzrok. Skupiłam go w końcu na dłoniach, tak podobnych do jej dłoni. Kiedy już się wypłakałam, wzięłam się w garść i zesłam po schodach, bezszelestnie, by nie zwrócić na siebie uwagi sąsiadów. Dobiegła końca pewna epoka. Dla mnie i dla mamy. Pożegnałam się ze światem, gdzie przed wyjściem z domu dostawałam kubek ciepłej kawy z mlekiem, pocałunek w czoło, radę „zapnij się porządnie, Alice” i mocny uścisk, z którego zawsze chciałam się jak najprędzej wyrwać na ulicę, a teraz marzyłam, żeby nigdy, przenigdy się nie kończył. Kiedy przychodzi zmierzch, zawsze marzymy o dniu. Zawsze chciałam tylko dorosnąć

i dorosnąć. Po co?

W drodze powrotnej myślałam o niej. Wspominałam dzień, kiedy zatrzymałam się przed naleśnikarnią, gdzie właśnie rozgrzewano patelnie, i bardzo chciałam zjeść na śniadanie jednego z cukrem. Byłam jeszcze małą dziewczynką i kiedy próbowałam pokazać mamie, na co mam ochotę, podniosłam rękę tak nieszczęśliwie, że dotknęłam palcami gorącego metalu. Zachcianka doprowadziła do niewyobrażalnego bólu. W tamtej chwili nawet nie zdawałam sobie sprawy z ogromu miłości matki, która natychmiast wetknęła sobie moją poparzoną dłoń do ust, żeby własną śliną uśmierzyć ból i pozwolić ranom się zabiżnić.

Jak teraz zamierzałam uśmierzyć dojmujący ból po stracie? Nigdy nie wrócić na dawną ulicę ani do rodzinnego domu.

ROZDZIAŁ 33

Kilka tygodni później Kiki oznajmiła mi, że Ęrno wraca z Nowego Jorku. Nie wiem, jak to robiła, ale zawsze o wszystkim dowiadywała się pierwsza. Wiadomość przekazała mi w Le Dôme – opróżniła właśnie torebkę i nakładała na usta kolejną warstwę czerwonej szminki.

– To jak uczymy powrót twojego ukochanego? – zapytała, przeglądając się w lusterku. – Gdyby nie twój wyraz twarzy, zaproponowałabym zorganizowanie jakiejś niespodzianki razem z Thorą i Treize, ale tak... Jesteś zupełnie pozbawiona życia!

– Masz rację.

– Pewnie, że mam rację. – Kiki uniosła brew. – Zawsze cię ratuję.

– To prawda.

– Tak, moja droga. Thora ma świetny gust, a teraz ty też postanowiłaś zostać damą, więc jej towarzystwo najbardziej ci odpowiada. Ja w końcu zawsze doradzam ci zbyt mocno wydekoltowane stroje.

Kiki spojrzała na mnie, protekcyjnie pokiwała głową i szybko zamrużyła powiekami, jak motyl zrywający się do lotu. Jakaś część mnie chciała znów być jak ona, autentycznie szalona.

Nad Paryżem rozpościerało się czyste, błękitne, bezchmurne niebo. Zapowiadało powrót Ęrna, zawsze tak schludnego, że aż lśnił, pachnącego perfumami i mydłem. Poczułam ulgę, kiedy uświadomiłam sobie, że choć ja zmieniłam skórę, wszystko inne pozostało niezmienione: Kiki, gwarny klub, niebo, ulice, niebo... Nagle, nie wiedzieć skąd, zjawily się moje przyjaciółki, pewnie Kiki je zawiadomiła. Dziewczyny żyły szczęściem i dla szczęścia.

– No dobra, dziewczyny. – Kiki zdawała się wiedzieć równie dobrze jak ja, że potrzebowałam ożywienia, zagłuszenia bólu białymi pogaduszkami. – Musimy zrobić wszystko, żeby nasza kochana Alice zaczęła przypominać panią Hessel. Piękną, elegancką i kulturalną żonę pana Ęrna Hessela.

Zgodnie przytaknęły, dzięki zamówionemu przez Kiki rumowi wprawione w radosny nastrój zabawy, którym jak zawsze przesiąknięty był lokal na Montparnassie.

– Musimy ubrać ją jak przystało na czeladniczkę domu mody Chanel.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł – bezskutecznie próbowałam wyrazić własną opinię.

– Coco! Z przyjemnością pomoże ci wybrać strój na przyjazd ukochanego, przecież są

tak blisko.

– Coco Chanel i twój narzeczony są blisko? – zapytała zaskoczona Treize. Zawsze o wszystkim dowiadywała się ostatnia.

– Oczywiście – odparła Kiki.

– Tak czy inaczej, zróbmy rundkę po drugim brzegu i na pewno znajdziemy coś ciekawego – zaproponowała Thora, rozochocona kolejnym kieliszkiem.

– Dziś wolalabym się skupić na tym, żeby wyglądać w miarę porządnie. Jestem pięknie ubrana – tłumaczyłam. – Nie chcę stroić się jak na bal, bądźcie rozsądne.

Kiki znów uniosła wysoko brew.

– Wystarczy tylko, żebyście poprawiły mi trochę nastrój – ciągnęłam.

– Faktycznie, nie wyglądasz na najszcześliwszą.

Znowu otworzyła torebkę, wysypała część zawartości na stół i zaczęła malować mi policzki, żeby nadać im nieco koloru.

– Kolor to życie, prawda, Treize?

Nie zwracałam uwagi na jej zabiegi kosmetyczne, poddałam się energicznym dłoniom Kiki.

– Kolor to życie – powtórzyłam.

– Mam taką nadzieję, w końcu przepuściłam ostatnią wypłatę na dwa ciuchy u Carine.

Rozważna Thora Dardel, żona Nilsa, zdolna i urocza, zawsze zdawała mi się kwintesencją rozsądnego, spokojnego szczęścia.

– Och, Thoro! – wykrzyknęła podekscytowana Kiki. – Na tobie zawsze wszystko świetnie leży. Ale nie słyszałam o tej Corine.

– Carine – poprawiła ją Thora.

– Ładne są? – zapytała, sięgając po szminkę.

– Przepiękne.

– Więc tylko to się liczy – oświadczyła.

Kiki poruszała się raczej w świecie artystów niż mody, ale dzięki temu wiedziała wszystko o kolorach, i nie tylko. Mawiała, że życie to najpiękniejszy obraz, i miała rację. Piękno jako wolność – to było jej motto życiowe.

– Powinnaś odpocząć, Alice – poradziła mi Treize i rozejrzała się po twarzach pozostałych w poszukiwaniu poparcia. – Dla Ęrna i dla siebie.

– Zostanę z wami.

– Nie, nie, nie – zaproponowała Kiki. – Treize ma rację. Idź i przygotuj się na nowe życie. Dziś wszystko się zaczyna, prawda?

Nie mogłam się powstrzymać i obrzuciłam ją wściekłym spojrzeniem. Wiedziała, co czułam, i nie musiała na siłę upiększać rzeczywistości. Mogła sobie odpuścić ten

entuzjazm.

Kiedy chciałam zostawić na stole pieniądze za moją część rachunku, Thora zaprotestowała i szerokim gestem wskazała puste szklanki.

– My stawiamy.

Podszedł kelner i Thora pilnowała, żebym za nic nie zapłaciła. Uprzejmie skinęłam głową i wyszłam z restauracji. Postanowiłam pieszo wrócić do domu.

Niebo nad Paryżem zaczynało zabarwiać się czerwienią, żywym odcieniem, który paradoksalnie zwiastuje nadejście zimna. Sylwetka miasta malowała się jak obraz o poszarpanych konturach dachów. Samochód Ęrna przyjechał przed godziną. Dotknęłam wciąż jeszcze ciepłej maski. Ukryłam twarz w dłoniach, żeby odzyskać równowagę i spokój ducha, utracone podczas wizyty w domu mamy. Drzwi się otworzyły. Usłyszałam głoŝne szuranie waliz ciągniętych po ziemi. Bagażnik zatrzasnął się z hukiem. Poprzedzał mnie mój własny niepokój, jakbym uciekła od samej siebie.

Przez otwarte drzwi weszłam do salonu. Na stole dostrzegłam liczne paczki i zawiniątka – domyślałam się, że to prezenty dla mnie.

– Najpierw mnie pocałuj, potem możesz je otworzyć.

– Ęrno! – odwróciłam się w stronę przedpokoju.

– Widziałem, jak na nie patrzyłaś... – Wskazał na pakunki ozdobione czerwonymi kokardami.

– Mogę? – zapytałam mimowolnie.

– A co ze mną? – zapytał. Zmęczona wielotygodniową podróżą twarz rozjaśniła się na mój widok.

Zastygłam w bezruchu i Ęrno wykorzystał sytuację, żeby mocno mnie objąć. Jego uścisk i sposób, w jaki gładził mój kark, kiedy mnie całował, były tak znajome. Bawiłam się wstążką opasującą jeden z prezentów i w końcu kokarda się rozwiązała.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział.

– Kiki mnie rano pomalowała.

– Jak się miewają dziewczęta? – zapytał.

– Świetnie. Sam wiesz... – dodałam, żeby nie okazać apatii. – Ty bawiłeś w Nowym Jorku, ja musiałam bawić się z nimi.

– Na pewno miło spędziłaś ten czas.

Westchnęłam.

– Oczywiście. Wiesz, jaka jestem.

Usiedliśmy na kanapie i Ęrno podał mi jedną z paczek. Z nerwów i poczucia winy mimowolnie zsunęłam buty.

– To wszystko dla mnie? – zapytałam.

– Chciałem sprawić ci przyjemność. Nie powinienem był opuszczać cię tuż przed tym, kiedy mamy związać się na całe życie...

– Otworzę je.

– Wydaje mi się, że już odgadłaś zawartość – żartobliwie zauważył Ęrno, patrząc na moje bosc stopy na dywanie. – To...

– Buty? Powiedz, że tak!

– Mam nadzieję, że trafiłem z rozmiarem... – Sam odwijał papier z prezentu. – To jedna z przyczyn, dla których cię kocham, masz przepiękne stopy.

– Źartujesz?

– Pewnie, gŁuptasie. Kupiłem je w sklepie tuż przy Grand Central, Leopold zabrał mnie na zakupy, wiesz, jaki jest. Sam odwiedził kilku krawców, zachciało mu się przejąć styl nowojorski.

– Nowy Jork przypomina Paryż?

– Niezbyt. Mają tam obsesję na punkcie nieba, wszystko musi być jak najwyższe. To idealne miejsce dla interesów, ale jednocześnie wyczerpujące. – Znowu mnie pocałował. – I jak? Podobają ci się?

– Mmm... Są wspaniałe. Spójrz.

Wstałam.

– Cudowne. Wszystkie dziewczyny będą mi zazdrościć, kiedy dowiedzą się, że przywiozłeś mi je prosto z Nowego Jorku.

– W takim razie – wskazał na pozostałe pudła – będziesz miała wiele powodów do przechwałek, bo masz w czym wybierać.

– Chyba nie mówisz poważnie? Więcej butów?

– Tak. Chcesz otworzyć?

– Proszę, proszę... – powtarzałam jak dziecko w Boże Narodzenie. – Pozwól mi zobaczyć, co jeszcze przywiozłeś.

Tym razem to ja rzuciłam mu się na szyję, wdzięczna za jego hojność. Pocałowałam go. Pachniał jak zawsze świeżo, wykąpany i wyperfumowany. Pieszczotliwie ugryzłam go w płatek ucha i przypomniałam sobie smak jego skóry. Z jego reakcji wyczytałam, że bardzo się za mną stęsknił.

– To żebyś wiedziała, że o tobie nie zapomniałem – powiedział. – Nie myśl też, że to jedyna niespodzianka. Nieustannie o tobie myślałem i wydałem pewne dyspozycje.

Przeszłam przez pokój w moich nowych butach i podeszłam do stołu. Uznałam, że mówi o ślubie. Odwróciłam się plecami i zaczęłam przekładać opakowania po prezentach, żeby ukryć zmieszanie. Pomiędzy dachami widać już było czerwone wieczorne niebo i w niektórych budynkach zapalano światła.

– Pani Hessel *in spe* – powiedział, smakując poszczególne słowa, jakby jego serce

szeroko się na mnie otwarło. – Najlepszy prezent zostawiłem na koniec.

– Jak to? – zapytałam krótko.

Wstał i odpowiedział:

– Myślę, że masz na nogach obuwie najbardziej odpowiednie do miejsca, w które Cię teraz zabiorę...

Z ulicy dobiegł dźwięk zapalnego silnika, jakby mieli z szoferem umówiony sygnał. „Chodźmy”, powiedział z uśmiechem.

Podaliśmy mu dłoń i pozwoliłam prowadzić się do niespodzianki, nie zadając żadnych pytań, jakbym już była panią Hessel. Samochód czekał na nas przed domem. Wsiadliśmy i daliśmy się powieźć na drugi koniec Paryża.

– Wiesz, dokąd jechać? – upewnił się Ęrno porozumiewawczym tonem.

– Oczywiście, proszę pana – odparł szofer.

W atmosferze napięcia i silnych emocji zmierzaliśmy do celu obranego przez mojego narzeczonego. Zupełnie zapomniałam o zdradzie, kiedy mocno złapałam go za rękę, jak tamtej nocy z Coco Chanel, po wyjściu z Maxima. W głowie słyszałam radosne trele ptaków i ze szczęścia nie mogłam wydusić słowa ani odwzajemnić czułych pieszczot Ęrna.

– Proszę pana? – lakonicznie zapytał szofer, gdy jechaliśmy przez jakiś most.

– Dalej już wiesz – odparł, jakbyśmy dotarli już na miejsce.

Zaledwie pół godziny po tym, jak założyłam nowe buty, samochód zatrzymał się na rue Pont Louis-Philippe. Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadłam na chodnik, którym płynął wartki strumień wody. Uważałam, żeby nie zamoczyć stóp.

– Alice... – powiedział tym swoim głębokim głosem, wyciągnął rękę i wskazał na fasadę.

To tu. Dziewczyna w niebieskim fartuchu uśmiechała się zza szyby, otworzyła drzwi i zaprosiła nas do środka. Wesóło zadzwonił dzwonek nad wejściem, a ja czułam, że moje serce gwałtownie pompuje krew, jak wodę żywo płynącą rynsztokiem i szukającą ujścia.

– Tyle mówiłaś o swoim marzeniu, Alice – wyszeptał mi do ucha. – Oto ono.

Pożerałam wzrokiem wszystkie przedmioty na wystawie i każdy z osobna, a oczy zasły mi łzami. W głębi dojrzałam swoje imię i nazwisko, wypisane czerwonymi literami: „Alice HUMBERT, tkaniny z Wogezów”. Ęrno uśmiechał się z zadowoleniem, a ja aż drżałam z radości i nie wiem nawet, co powiedziałam w tamtej chwili. Kilkakrotnie szturchnął mnie w ramię, żeby wywołać jakąkolwiek moją reakcję, bo zamarłam, sparaliżowana silnymi emocjami i nagłym przejmującym uczuciem zimna. Stałam przed moim własnym butikiem. Malutkim sklepem bławatnym, który we wpadającym z zewnątrz świetle wyglądał jak wielobarwny kalejdoskop zapraszający mnie do środka.

– I co uważasz? – zapytał. Odwrócił się od drzwi z ręką na złotej kłamce.

– Nic – odparłam z uśmiechem.

Weszliśmy do sklepu.

Przywykłam do życia zrywami, niespokojnego miotania się, raz motywowana ambicją, kiedy indziej – nieśmiałością i próbą niezwracania na siebie uwagi. Teraz zobaczyłam swoje odbicie w stosach kolorowych materiałów pokrywających całe ściany sklepu. Ile godzin spędzę tutaj, śniąc na jawie, szczęśliwa, w otoczeniu wszystkich tych pięknych tkanin... Ten sklep, pachnący drewnem i świeżą farbą, był moim miejscem na ziemi, marzeniem matki podczas mroźnych, bezsennych nocy, niedościgłym celem, do którego w końcu zaczęłam dążyć i teraz udało mi się go osiągnąć. Co robić, kiedy w spadku dostajemy jedynie marzenie? To dlatego na dobre kilka minut znieruchomiałam i zamilkłam, wpatrując się w otaczające mnie kolory jak w fatamorganę. Ciągłe jeszcze drżały mi ręce, kiedy podeszłam do bel materiału. Co mogłam powiedzieć? „Kocham cię”. Wyrzuciłam to z siebie i, stojąc na środku sklepu w moich nowych butach na obcasie, oddałam mu się całym sercem pośród różnobarwnych tkanin. Moje słowa odbiły się echem w ciszy sklepu.

Uśmiechnął się.

– Przecież dobrze o tym wiesz.

– Jeszcze tego ranka czułam się martwa – powiedziałam. – Teraz myślę, że będę najszcześniejszą kobietą na świecie.

– A do tego masz sklep, o jakim zawsze śniłaś!

– Nie, Ęrno, wybacz mi, ale nadal śnię.

– Obudzić cię?

Przeniosłam wzrok na jego twarz. Uśmiechał się ze spokojną pewnością siebie.

– Pierwszy raz w życiu wcale nie chcę obudzić się ze snu. Niech tak zostanie.

Ostatnie słowa uwięzły mi w ściśniętym nagle gardle.

– Co się znów dzieje?

– Nic. Chce mi się płakać.

– Mam tylko nadzieję, że ze szczęścia!

– Oczywiście!

– Zawsze, gdy będziesz przy mnie, każdej spędzonej wspólnie nocy, za każdym razem, gdy spytasz, czy cię kocham, odpowiem „tak”. Zawsze, gdy będziesz czekała na mój powrót, odliczała godziny, dni, tygodnie... Będę tuż-tuż. Chcę wypełniać twoje myśli, bo stałaś się jedynym celem mojego życia. Ty. To ty ponosisz odpowiedzialność za to wszystko, ja tylko spełniam twoje pragnienie...

– Nie wiem, co powiedzieć.

– O tym marzyłaś, prawda?

– Tak. – Przygryzłam wargę.

– Nie musisz więc już nic dodawać – odparł z uśmiechem. – Chcesz wrócić do domu?

– Jesteś ze mnie dumny? – zapytałam niepewnie, kiedy jego słowa wybrzmiały już

w sklepie.

Położył sobie ręce na piersi i westchnął. Pomiędzy jego dłońmi było uczciwe serce człowieka, który sam przed sobą przysiągł kochać mnie do końca życia, bez zastrzeżeń, bez wyjątków, choć wiedział, że moje serce bije innym rytmem.

– Kiedy mnie poznałeś, rozbierałam się przed innymi. – Nie potrafiłam powstrzymać emocji, które rozlały się rumieńcem na moich policzkach. – Teraz chcę ubierać wszystkie paryżanki.

Przyjrzał się mojej twarzy i zrozumiał malujący się na niej wyraz. Dotarło do niego, że wciąż wstydziałam się tamtych dni.

– Nie będę twierdził, że zupełnie zapomniałem o tamtych czasach, kochana Alice, ale zbyt mocno cię kocham, żeby sobie to wyobrażać. Nie zniósłbym, gdybyś znów zaczęła pozować nago.

Skinęłam głową, jakbym chciała pocałować go, żeby zaczął myśleć o czym innym.

– Nie?

– Nigdy – odparłam drżącymi ustami. – Przez wzgląd na ciebie i na mnie.

– Tylko ty i ja.

– Tylko ty i ja... – powtórzyłam.

Na dźwięk zamykanych drzwi sklepu dziewczyna, która krzątała się po warsztacie na piętrze, zeszła, pogasiła wszystkie światła, pożegnała się z nami i poszła w swoją stronę, my zaś wsiedliśmy do samochodu.

– Jak się teraz czujesz?

– Muszę wrócić tu jutro i upewnić się, czy sklep nadal stoi.

Erno zaczął się śmiać i mocno ujął moją dłoń leżącą na jego udzie.

– Niestety, panienko, sklep należy do pani i jutro będzie czekał w tym samym miejscu na panią decyzję – odparł żartobliwie, żeby skłonić mnie do uśmiechu.

– Przestań, Erno, nie żartuj sobie ze mnie.

– No to zostanemy w sklepie na całą noc. Głuptasie, przecież do jutra nie zmieni się jakimś cudem w kawiarnię.

– Żebyś się nie zdziwił! Mogłabym zostać tu aż do otwarcia.

– W to nie wątpię. – Odetchnął głęboko i zmienił temat. – Może pojedziemy spotkać się z Leopoldem? Miał wyjść gdzieś ze znajomymi, są chyba w Le Dôme. To noc spełniających się marzeń, niech trwa jak najdłużej.

– Pewnie jesteś zmęczony...

– Może trochę, ale przy tobie nie wierzę w zmęczenie.

– W takim razie chodźmy. Szkoda nocy.

Erno powiedział szoferowi, gdzie ma nas zawieźć, i mocno przytulił mnie do piersi.

Paryż tryskał radością – kiedy marzymy o szczęściu, miasto wydaje się ładniejsze, nawet my sami czujemy się piękniejsi. W tamtej chwili wszystko było idealne. W nocy jak w zwierciadle odbijały się moje pragnienia i kiedy patrzyłam na miasto zza szyby samochodu, zdawało mi się nierzeczywiste, choć nie czułam już beztroski, ale obcość. Przede wszystkim zaś znów zaczęłam zapominać o sobie samej. Największe szczęście czułam wtedy, kiedy przestawałam być sobą.

Wody Sekwany zdawały mi się wyjątkowo ciemne, kiedy jednym z mostów jechaliśmy w stronę Montparnasse'u. Takie szczegóły przypominały mi, że każda podróż prowadzi do jakiegoś celu. Wyrzesałam przez okno w poszukiwaniu zwykłych srebrnych błysków, woda jednak była czarna jak smoła.

- O czym myślisz? – zapytał Ęrno i przysunął się bliżej.
- O niczym, po prostu wyglądam przez okno.
- Nie ma księżyca, widzisz?
- Nie zauważyłam... – skłamałam. – Chyba rzeczywiście nie ma.
- Zobaczymy. – Schylił się do okna. Długo mu się przyglądałam.
- Faktycznie – ciągnął. – Noc jest dużo bardziej gęsta niż zwykle.

Z niepokojem przypominałam sobie inne bezksiężycowe noce. W dzielnicy, gdzie się wychowałam, stała tylko jedna latarnia. Kiedy dzień dobiegał kresu, ciemność wypełniała zakamarki wilgotnych zaułków. Nagle doznałam olśnienia, w pół drogi, w chwili, gdy spojrzałam w niebo, przypomniały mi się wszystkie noce, kiedy potrzebowałam mamy, a ona wracała późno z porodówki, obładowana brudną bielizną, śpiesząc do domu pod ciemnym niebem bez księżyca, typ, który obmacywał mnie na ulicy, wykorzystując nieuwagę przechodniów, długie godziny oczekiwania przy dogasającym kominku, z Fresnaultami, śmierć ojca tuż przed końcem wojny... To wszystko wydarzyło się w bezksiężycowe noce. Jakbym dostała obuchem w głowę. Ogarnął mnie strach, poczułam przejmującą pustkę i nie miałam siły na zabawę. Wtuliłam się w Ęrna i udawałam senność, ale on, podekscytowany, nawet nie zauważył mojego niepokoju. Nieobecny księżyc nie dawał mi spokoju, prześladował mnie przez całą drogę do lokalu.

- Naprawdę jesteś zmęczona?
- Miałam długi dzień...
- Tęskniłaś za mną?

Znów zagapiłam się na chwilę w niebo, po czym odparłam:

- Oczywiście, Ęrno, jak możesz nawet o to pytać!
- Jakoś przycichłaś...
- Sam bądź cicho – odpowiedziałam i przybrałam weselszy wyraz twarzy. – Pochłonał mnie widok ciemnego nieba. Jestem tu, przy tobie, nie widzisz?
- Rzeczywiście – wyszeptał. – I chciałbym znów cię poczuć.

Pocałowaliśmy się, wzajemnie zapewniając, że jesteśmy tam razem, szczęśliwi, opętani bezksiężycową nocą. Szofer oznajmił:

– Dojechaliśmy, proszę państwa.

Ërno poprawił kamizelkę i klapy marynarki, wysiadł z samochodu i otworzył mi drzwi. Przez wielkie okna widać było wypełnione kłębamii dymu i pary wewnątrz Le Dôme, a także rytmiczne ruchy ramion, jakby wszyscy tańczyli do tej samej melodii. Kurczowo uchwyciłam się Ërna i weszliśmy do środka. Nie zdążyliśmy nawet z nikim się przywitać – wszyscy rzucili się do nas biegiem, pijani rumem i cuchnący tytoniem, na czele z mocno wstawionymi Kiki i Manem, którzy zamówili nam kolejkę. Zbliżaliśmy się do opanowanej przez naszych znajomych części restauracji, z ustawionymi w okrąg stolikami i krzesłami, a Hessel witał się po kolei z każdym i opowiadał, że podróż okazała się niezwykle opłacalna, interesy poszły świetnie i teraz czekały go lata pokaźnych zysków z dywidend. Ja razem z Treize podeszłam do krzesel ustawionych pod oknem – jakaś pijana kobieta chuchała na szybę i rysowała serca na zaparowanym szkle, ku uciesze stojącej nieopodal grupki marynarzy. Nagle zorientowałam się, że to Marie, przyjaciółka Fujity. Przywitałam się z Kurtem, z Marcelem, z Jeanem. Wszyscy byli ożywieni i przekazywali sobie butelki rumu i dziewczyny. Kiki zaintonowała nagle piosenkę w tercecie z bliźniakami-akrobatami z cyrku Medrano, tańcząc przy tym na stole jak szalona, z sukienką zadartą wysoko powyżej kolan – dobrze wiedzieliśmy, czym to groziło.

– Może pójdziemy do Bal Bullier – zawołała z wysokości stołu. – Wszyscy chętnie byśmy się zabawili, w końcu wrócili nasi przyjaciele, Ërno i Alice, wkrótce państwo Hessel!

– Co wy na to? – zapytał Pascin, zachęcony entuzjazmem Kiki.

– W The Jockey są jacyś znajomi – zauważyła Treize. – Możemy do nich dołączyć.

– Świetnie!

– Wszyscy artyści się zebrali, dziś otwarcie nowej wystawy w galerii Moïsego.

– No to chodźmy!

– Już?

– Noc nie trwa wiecznie. Na co chcesz czekać, na świt?

Staralam się trzymać Ërna, kiedy całą zgrają wychodziliśmy żądni dalszej zabawy, ale on wyjaśniał Jeanowi jakieś kwestie finansowe. Wyglądał na wyraźnie szczęśliwego, pełnego wigoru – podbiłam serce najbardziej pewnego siebie mężczyzny na świecie. Głęboko odetchnęłam zimnym powietrzem bezksiężycowej nocy i dałam się wziąć dziewczynom pod ramię, szłyśmy dalej razem, złączone nierozzerwalną przyjaźnią.

Kiedy całą gromadą wparowaliśmy do pracowni, udawałam, że nie znam tego miejsca. Gwarny tłum artystów i ich znajomych wypełniał salę i nie wiedzieć kiedy wernisaż zamienił się w zaimprovizowane przyjęcie. Większość gości, gotowych spróbować w życiu wszystkiego, przybyła do galerii z własną butelką pod pachą, wystarczyło więc

tylko włączyć muzykę, żeby rozpełtało się szaleństwo. Próbowałam odszukać wzrokiem Ęrna, ale w tym tłumie było to niemożliwe. Kiedy jednak robiłam przegląd twarzy wszystkich zgromadzonych, natknęłam się na jedną, której tak bardzo chciałam uniknąć: Moïsego Kislinga. Z krótkowłosą modelką u boku gibał się w obłąkanym tańcu wśród morza głów. Zobaczył mnie i zaczął iść w moją stronę. Przeszedł mnie dreszcz.

– Nie napijesz się ze mną? – zapytał podniecony.

– Przepraszam, nie mam czasu. Nie przyszedłam tu sama.

– Miałem na myśli co innego...

– Ja nie.

– Tylko ty z obecnych tu osób potrafisz wyprowadzić mnie z równowagi – powiedział, opuszczając jednocześnie dłoń w kierunku spodni.

– Proszę, Moïse, przestań.

– Miałem nadzieję, że kiedyś jeszcze wrócisz do domu.

– Ja nie. Zostaw mnie, muszę poszukać Ęrna.

– Tak jak wy wszystkie lubisz silną rękę, co?

– Puść mnie.

– To nie ja się rozbieram.

– I co mi z tego przyszło?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Potrafisz świetnie wykorzystać słabość: najpierw gdy potrzebowałam pieniędzy, a ostatnio kiedy byłam zdruzgotana.

– O ile mnie pamięć nie myli, to ty szukałaś wtedy schronienia.

– Tamtej nocy nie byłam sobą! Byłam martwa!

– Sprawiałaś wrażenie całkiem żywej.

– Błagam cię, Moïse. Znalazłam szczęście u boku wspaniałego mężczyzny, chcę wymazać przeszłość, sprawić, by zniknęła nawet z moich koszmarów, nie zgadzam się z niczym, co sobą reprezentujesz, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! Rozumiesz?

– Ja za to chcę wszystko – odparł i pociągnął solidny łyk z butelki rumu podanej przez znajomych. – Chcesz?

Przytknął mi flaszkę do ust.

– Nie!

– Alice, musimy pewne sprawy doprowadzić do końca...

– Co masz na myśli?

– Tamto... – wskazał jedną ze ścian.

„Tamto” to byłam ja. Na ścianie wisiał prawie dokończony obraz przedstawiający nagą

kobietę o smutnym spojrzeniu i szmaragdowym naszyjniku. Łzy napłynęły mi do oczu i nawet nie mogłam się na niego zdenerwować.

– Masz pojęcie, co właśnie zrobiłeś? Jesteś z siebie dumny?

Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego Ęrno zniknął z galerii. To niemożliwe, żeby zostawił mnie samą w środku tej bezksiężycowej nocy. Straciłam go. Straciłam go na zawsze. Nagle poczułam się strasznie samotna, lęk i niepokój narastały. Spokojnym krokiem podeszłam do drzwi, nieśpiesznie – bo nikt już na mnie nie czekał – lawirowałam pomiędzy roztańczonymi pijakami, aż wyszłam na ulicę.

Ęrno Hessel właśnie wsiadał do samochodu. Popatrzył na mnie niewzruszony, jakby już mnie nie znał. Zamarłam bez ruchu o cztery metry od niego, tak sztywna i zmartwiała jak moja matka po drugiej stronie ulicy. Zignorował mnie tak, jak ja wtedy zlekceważyłam ją.

– Mówiłem ci, że nie jestem playboyem. Dlaczego to zrobiłaś? – powiedział w końcu.

– Odchodzisz, prawda? – zapytałam drżącym głosem.

– Może lepiej by było, gdybym nigdy nie wrócił.

Warkot silnika oznajmił koniec wszystkiego: nie zostałam zaproszona w tę podróż, a moje życie w tej samej chwili zaczynało się i kończyć.

– Ęrno... Wybacz mi.

– Przestań, Alice, nie trzeba.

Zza poły marynarki wyciągnął chusteczkę i podał mi ją, żebym miała czym otrzeć łzy.

– Możesz ją zatrzymać.

Mocno ścisnęłam ją w dłoni.

– Zatrzymaj też naszyjnik i swój sklep w Paryżu. Ja... – Zatrzasnął drzwiczki i otworzył okno. – Ja zachowam wspomnienia. Może nie ma ich wiele, ale wystarczą.

Latarnie oświetlały ulicę ciemną jak niekończący się tunel. Podeszłam do okna. Niestety, w szybie odbijało się przyjęcie i prawie nie dostrzegałam już jego twarzy. Przywarłam dłonią do zimnego szkła i z ruchu warg odczytałam jego ostatnie słowa: „Żegnaj, Alice”.

Samochód zniknął u wylotu ulicy – skręcił w aleję, gdzie kiedyś stałam i szukałam pracy. Nagromadzony ból uderzył mnie jak obuchem i poczułam się nagle pusta, pozbawiona życia. Podniosłam wzrok w stronę nieba, szukałam choć jednej gwiazdy, która rozświetliłaby mroki mojej duszy, dała mi jakiś znak. Ale nawet ciemność w moim sercu nie mogła równać się z tą, jaka rozlała się tej nocy na niebie.

– Alice! Bawimy się! – zawołała Kiki. – Chodź do środka, na zewnątrz jest strasznie zimno!

– Strasznie zimno... – wymamrotałam, niezdolna ukryć ból. – Strasznie zimno.

ROZDZIAŁ 34

– Musisz zaleczyć rany.

Laurent patrzył na mnie, jakbym nie mogła zrozumieć od lat zakorzenionego bólu.

– Nigdy nie dogadywaliśmy się z ojcem, Tereso. Nigdy.

– Ale w ten sposób nie zwrócisz matce szczęścia, którego nie zaznała.

Tym razem to Laurent wzruszył ramionami. Zauważyłam jednak, że jego dłonie – tak napięte na każde wspomnienie Mathieu Ardissona – rozluźniły się.

– Ubierz się – powiedział. – Zaczyna się robić zimno.

ROZDZIAŁ 35

Kochany Ęrnie!

Mijały kolejne dni, tygodnie, a ja zbierałam siły do napisania tego listu. Nie zrozum mnie źle: nie próbuję się usprawiedliwiać, przepraszać za zerwane zaręczyny, prosić o jakąkolwiek odpowiedź czy wybaczenie. Piszę do Ciebie, bo chcę z całego serca życzyć Ci szczęścia i podziękować za wszystkie spędzone wspólnie dni. Wciąż chodzę w butach od Ciebie... Dowiedziałam się od Kiki, że w Nowym Jorku nawiązałeś wiele znajomości i wkrótce dosłownie zasypały Cię propozycje współpracy zza oceanu. Podejrzewam, że sam w końcu zamieszkas w Ameryce. Pamiętam, jaki zachwyty malował się na Twojej twarzy po powrocie – jak na dłoni było widać, że to Twoje miejsce na ziemi. Wyczytałam to z Twoich oczu, wiedziałeś, że musisz tam wrócić.

Sklep ma się dobrze, młodsze rodzeństwo mi pomaga – a już myślałam, że ich też straciłam... Udało mi się umieścić reklamy w żurnalach i teraz nie ma dnia, żebym nie dostała jakiegoś zlecenia. Na piętrze umieściłam mały warsztat. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to wszystko zorganizowałam... To było wielkie, wyczerpujące przedsięwzięcie, ale smak zwycięstwa nie może się z niczym równać. Całymi dniami staram się zachować porządek w materiałach i dążę do jak najlepszego wykonania zaprojektowanych przeze mnie wykrojów, żeby Twój dar stał się najwspanialszym miejscem w Paryżu. Wiem, że – mimo wszystko – jesteś ze mnie dumny.

Zazwyczaj zostaję tu na noc, zaadaptowałam nawet piwnicę na małą sypialnię. Z łóżka nie widzę nieba – wiesz, jak lubiłam wypatrywać przez okno księżycy w pełni – ale kiedy wszystko się uspokaja i mogę zamknąć sklep, wychodzę na most z nadzieją, że srebrne światło rozjaśni mi twarz. Ten sam księżyc widzisz w Nowym Jorku. Udało mi się być na swój sposób szczęśliwą. I tego życzę też Tobie: gdziekolwiek jesteś, bądź bezgranicznie szczęśliwy.

Chciałabym opowiedzieć Ci jeszcze tysiąc rzeczy, ale czuję, że nie mam prawa zajmować Ci choć minuty życia więcej. Tak czy inaczej, miałeś rację: to było moje marzenie.

Alice

ROZDZIAŁ 36

Podczas uroczystego otwarcia sklepu piwnica pozostawała zamknięta. To jedyny sekret przed zaproszonymi gośćmi, jaki chciałam zachować. Przesunęłam nawet jedną z lad, żeby częściowo ukryć klapę w podłodze i uniknąć pytań. Wtajemniczyłam tylko Hélène. To ona pewnego popołudnia namówiła mnie do obcięcia włosów – miałam wyglądać „bardziej francusko i obłądnie” – i wzięła na siebie zaproszenie wszystkich właścicieli sąsiednich sklepików, zakładów i innych lokali z naszej ulicy, a także znajomych i przyjaciół, z którymi w czasie przedłużających się prac remontowych siadywałyśmy przy kawie, obiedzie i dyskusjach o polityce na schodach przy Chez Julien. Zdjęła okulary, pomalowała się i uperfumowała „na wszelki wypadek”, jak sama powiedziała. „Nigdy nie wiadomo”.

– Na tej ulicy prawie nic się nie dzieje, nie myśl sobie.

Zdziwiła mnie taka uwaga z jej strony.

– Najważniejsze rzeczy w moim życiu... To według ciebie mało?

– Masz rację, Tereso – przyznała autorytatywnie. Podzielała moją wizję.

– Mój sklep, moje życie, moja wolność... – wyliczałam, ożywiona nową perspektywą.

Hélène nie była zaskoczona. Uniosła brwi i powiedziała cicho:

– Posłuchaj mnie uważnie. Wszystko pięknie, ale potrzebujesz też silnej woli, determinacji. Nie pozwolę – dobitnie wymawiała każde słowo – żeby ten sklep znów został zaniedbany.

– Może zabrzmiało to trochę hipisiarsko, ale to mój jedyny cel w życiu – odparłam z ulgą.

– To wszystko, o czym mówiłaś?

– Moja wolność. Ten sklep. Ja. Robienie tego, na co mam ochotę. – Nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

Podtrzymałam jej spojrzenie i po chwili na naszych twarzach zagościł uśmiech.

– W takim razie nalej mi wina. To rozkaz – powiedziała.

Była samotną matką i koleżanki jej córki zmieniły kameralne przyjęcie w największe wydarzenie w okolicy: drzwi stały otworem, wręczałyśmy gościom drobne upominki zawinięte w celofan, a pod ladą ukryłyśmy czerwone wino i wznosiłyśmy kolejne toasty z przyjaciółmi i z zupełnie nieznanymi. Grała muzyka, a przy wejściu ustawiono pachnące kwiaty. Hélène pełniła wraz ze mną rolę gospodyni aż do chwili, gdy – lekko wstawiona – oświadczyła „to twój interes” (czyli mój) i prawie straciła równowagę.

– Życie... – zaczęła, wspierając się o wystawę.

– I przeznaczenie – dodałam, ukradkiem zerkając w stronę piwnicznych drzwiczek. –

Przeznaczenie.

– Piję więc za to przeznaczenie.

– Nie wątpię.

Kątem oka dojrzałam, że kilku gości przygląda się oprawionym fotografiom wiszącym na ścianie. Choć nikt jej nie znał, wyglądało na to, że nie przemknie niezauważona. Mój uśmiech odbił się w szybie.

Wkrótce zaczęłam rozmawiać ze wszystkimi gośćmi – pomogło wino, a także zapach, jaki włożyłam w remont sklepu. Wystarczyło mi rozejrzeć się dookoła i już wiedziałam, że odnowiłam nie tylko te stare ściany, wśród których kryły się duchy, ale też siebie samą. Odświeżenie każdej drewnianej belki oznaczało wyprostowanie mojego życia, naprawienie błędów przeszłości, korektę obranego kursu, wybranie ostatecznej drogi rekompensaty za wszystkie te puste, jałowe lata. Przez lata w moim życiu nic się nie działo.

– Jak nazwałaś sklep? Zupełnie mi to umknęło.

Wyszliśmy na ulicę. Hélène spojrzała na mnie bez słowa, a po chwili spytała:

– „Moja miłość”?

– Nie mów, że...

– Tak... Laurent?

Zamilkłyśmy na chwilę, z uśmiechem na twarzach. Poznałabym melodię dobiegającą z wnętrza mojego sklepu w Paryżu, nawet gdybym znajdowała się tysiące kilometrów stąd. *La question*. To ta piosenka wyrwała mnie z letargu, kiedy w Madrycie kupiłam stary drewniany szyld, wtedy jeszcze zupełnie pozbawiony znaczenia. Miałam zagubiony wzrok osoby, która osiąga to, czego chce. Tamtego popołudnia, w ciągu zaledwie kilku sekund, przeczulałam zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i nieodpartą potrzebę zmiany swojego życia. W gardle urosła mi gęstwa taka sama jak wtedy. Hélène zauważyła, że z najwyższym trudem powstrzymuję łzy.

Świetnie wiedziałam, co powie.

– Nie wiem, czy pamiętasz, jak tu przyjechałaś – mówiła powoli. – Przed sklepem stanęła wtedy szara kobieta. Może pełna nadziei i z wizją, ale szara.

– Dziękuję za szczerość...

– Wiem, że nie opowiedziałaś mi wszystkiego, zawsze tylko zaczynasz mówić o tych zdjęciach i swoich obrazach, ale mamy chyba dużo czasu, prawda?

Mówiła tak z kieliszkiem wina w dłoni i z tym nieustraszoną, dorosłym spojrzeniem osoby obdarzonej niezwykłą intuicją i zdolną odgadnąć nawet czyjś znak zodiaku. Patrzyła na mnie radosna, zarażona moim rodzącym się szczęściem.

– W środku jest impreza. Twoje przyjęcie. Wracajmy.

Popchnęła mnie lekko w stronę sklepu i powiedziała:

– Wejdz... O tej porze w Paryżu zazwyczaj robi się chłodno.

Chłód.

– Mam jak się ogrzać – odparłam.

Spojrzała na mnie porozumiewawczo.

– Widzę.

Laurent zaparkował motocykl na chodniku, zdjął kask i uśmiechnął się, jakbym była jego przeznaczeniem.

ROZDZIAŁ 37

Po przyjęciu Laurent szczerzej otulił mnie zielonym płaszczem i poszliśmy spacerkiem w kierunku domu jego ojca. To był jeden z tych momentów w życiu, kiedy czujemy szczęście, choć nic szczególnego się nie wydarzyło. Jak mogę to wytłumaczyć? Zabrałam z domu zdjęcia Alice Humbert, żeby przekazać je Ardissonowi jako mój wkład w przygotowywaną wystawę o kobietach Paryża. Na co mi one? A on przeżywał niezwykle silne emocje za każdym razem, gdy brał je do ręki. Widziałam, jak drżą mu dłonie gładzące twarze modelek, jak gdyby część jego życia zatrzymała się w latach dwudziestych. Szczęśliwych latach dwudziestych. Fascynujące. Ja szukałam szczęścia w kolorach, a teraz musiałam wyobrazić je sobie w czerni i bieli. Chciałam zadzwonić do starego malarza i powiedzieć mu, że zaczęłam rozcierać kontury, odróżniać różne warianty błękitu nieba, kolorów tkanin, szalików i bibelotów w moim nowym sklepie, odcienie życia, mojego życia, że wreszcie sięgnęłam po nową, czystą kartkę i zaczęłam od zera...

– Byłaś ubrana na zielono tej nocy, kiedy poznałem cię w Madrycie? – zapytał nagle Laurent, przyglądając mi się, jakby próbował sobie przypomnieć.

– Miałam na sobie niebieską sukienkę, pamiętasz? – odparłam i uśmiechnęłam się melancholijnie. – To nie Casablanca.

– Niebieską... – Zamyślił się. – Błękit kobaltowy. Faktycznie, w kolorze tła na jednym z moich obrazów.

– Tak mi wtedy powiedziałaś – westchnęłam.

Przez chwilę milczał.

– Do twarzy ci w tym kolorze, bardzo ładnie wyglądasz.

– Już o tym zapomniałam.

Kobiety na moich zdjęciach promieniały szczęściem w kolorach tak żywych, jak ich gesty i pozy. Kapelusze, dekolty, buty, powiewające apaszki, uśmiechy, śmiech... A wszystko to, o dziwo, w czerni i bieli. Wybrałam trzy fotografie, oprawiłam i powiesiłam w sklepie, dla dekoracji, ale też w hołdzie tej niewątpliwie szczęśliwej kobiecie. Wiele o mnie mówiły – wybrałam je, bo zdawały się podsumowywać moje życie, dawne i obecne. Jedno ze zdjęć przedstawiało kobietę, jaką kiedyś byłam: Alice siedziała przy kawiarnianym stoliku ze wzrokiem wbitym w filiżankę, a w tle rozmywała się nieostro uchwycona ulica. Drugie opowiadało o kobiecie, jaką chciałam być: naga Alice na sofie śmieje się radośnie do trzech przyjaciółek w równie swobodnych pozach. I trzecie: Alice obejmująca mężczyznę, którego twarzy nie widać, bo stoi tyłem. Ona całuje

ranę na jego szyi, on ma na sobie strój wieczorowy.

Po długim, bo trwającym aż godzinę spacerze, zadzwoniliśmy do drzwi mieszkania Ardissona. Siwowłosa kobieta ciągnąca kubły ze śmieciami uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie.

– Pan Ardisson chyba nie najlepiej się czuje. Wczoraj jak co rano wyszedł się przejść, ale nie dotarł nawet do rogu ulicy. Dziś się nie pojawił.

– I co teraz? – nerwowo zapytał Laurent.

– Dał mi dla was klucz, żebyście mogli wejść.

Przez głowę przebiegła mi nagle pewna myśl.

– Dlaczego nie zadzwonił? Skoro źle się czuje, powinien był do mnie zadzwonić.

– Może jest po prostu zmęczony – próbowałam go uspokoić. – Wejdzmy.

– Martwię się o niego.

Mimo wszystko zdołałam przywołać na twarz uśmiech. Zdawałam sobie sprawę, że czuje instynktowną miłość do ojca, nawet jeśli próbował ukryć ją pod maską nienawiści. Byli do siebie tak podobni, że od lat wędrowali równoległymi drogami i nie przecięły się ani ich kroki, ani spojrzenia. Jedno wiedziałam na pewno: to wspaniali mężczyźni, którzy wkładali serce we wszystko, czego się podejmowali, bez ograniczeń czy zahamowań. Kiedy otwieraliśmy drzwi, mocno ścisnęłam go za rękę. Odwzajemnił ten gest, choć dłonie miał śliskie od potu. Zaraz też oderwał się ode mnie i zanurzył w labirynt nieznanego sobie pomieszczeń, nawołując ojca.

– Tato! Tato! – krzyczał Laurent już od progu przeszklonego salonu, dawnej pracowni.

– Musimy... – Chciałam go uspokoić, ale nie dał mi skończyć i znów wzywał ojca łamiącym się głosem na granicy szlochu.

– Tato!

Jego głos odbijał się echem w pokoju, gdzie poznałam tego człowieka, w tamto popołudnie, kiedy nerwowo rozłożyłam zdjęcia na stole. Nigdy się nie modliłam, ale w tamtej chwili ciszy i pustego echa zaczęłam się modlić, żeby jego ojciec żył. Wróciły nagle wszystkie lęki samotnej dziewczynki, której jedyną ochroną przed koszmarami było zagryzanie z całych sił brzegu prześcieradła.

– Tato! – powtórzył i tym razem mocno złapał mnie za rękę. Zbladł jak ściana.

Laurent krzyknął tak głośno, że aż poczułam jego ból. Ruszyłam w stronę sypialni, jakbym chciała go przed czymś powstrzymać albo uchronić. Zapadła głucha cisza. Pamięć podsunęła mi obraz nieustraszonej twarzy ciotki Brígidy nad trumną z ciałem mojej matki, w tym złowrogim zwierciadle życia i śmierci. Bliźniaczka czuwająca nad bliźniaczką. Nie chciałam już więcej bólu w życiu i pchnęłam drzwi do pokoju pana Ardissona.

– Mathieu...

Laurent został na zewnątrz, bezwolny i zdrętwiały, niezdolny pokonać muru nieufności

i resentymentów, zmaterializowanego teraz w formie drzwi do sypialni.

Podeszłam do łóżka i pogłaskałam go po twarzy. Strach pomieszany z czułością sprawił, że zaschło mi w gardle i z trudem wyszeptałam:

– Proszę pana...

Otworzył oczy i spojrzał na mnie dobronudnie, choć wzrok miał zmęczony, bezbarwny, a twarz bladą i zasną.

– Jestem tutaj...

W tej chwili do pokoju wszedł jego syn, ciężko oddychając.

– Tato... Dlaczego się nie odzywałeś?

Zamilkł i obdarzył go pełnym miłości spojrzeniem. Zrozumiałam, że lata dobrowolnej rozłąki nie mogły zatrzeć ich bliskości. Jakże często miłość przywdziewa maskę nienawiści...

– Chyba mu się pogorszyło. Powinniśmy zabrać go do szpitala. Spójrz na jego twarz.

Ja jednak spojrzałam na inną twarz. Twarz Laurenta. Rozpoznałam siebie w tej utracie kontroli, mieszance miłości i bólu, nienawiści i niezgody, galimatiasie czułości, jaki nastąpił po latach milczącego konfliktu.

– Poszukam płaszcza i zadzwonię po karetkę. – Chciałam zostawić ich samych.

Utkwiony we mnie wzrok siwowłosego mężczyzny wyrażał jednocześnie pożegnanie i wdzięczność za wszystko, co dla niego zrobiłam. Odwróciłam oczy, bo zaczęły wypełniać się łzami, a nie chciałam okazać słabości.

– Tereso... – wyszeptał starzec z westchnieniem, próbując powstrzymać moją ucieczkę. – Tereso!

Zawróciłam od drzwi.

– Tamta szafa... Otwórz pudełko znajdujące się w pierwszej szufladzie od góry.

Laurent zburzył mur nieporozumień, splatając dłoń z dłonią ojca, jakby wśród tych splecionych palców znalazły się też te należące do matki, a teraz patrzył na nas z konsternacją.

Jak wtedy, gdy jako dziewczynka myszkowałam po szafach i komodach rezydencji, w której nie zaznałam szczęścia, tak teraz otworzyłam lustrzane drzwi mebla stojącego w nogach łóżka Mathieu Ardissona w poszukiwaniu niespodzianki. Teraz jednak nie czułam już – jak w dzieciństwie – obecności ciotki Brígidy za plecami. Ciekawość sprawiła, że przeszłość i terażniejszość połączyły się w jedno, bez lęku, choć znów poszukiwałam odpowiedzi. Życie to skomplikowany splot przeróżnych okoliczności, ale czasem da się je rozplątać. Uklękłam przed szafą i wyciągnęłam szufladę – cały ciężar wylądował mi na kolanach. Bielizna pościelowa z haftowanymi inicjałami, świeża i wykrochmalona, jak w domu; prześcieradła i poszwy z podniszczoną koronką. Kiedy schyliłam się, żeby dokładniej zbadać zawartość szuflady, w nozdrza uderzyła mnie intensywna woń lawendy.

Wsunęłam ręce pomiędzy stopy pościeli i znalazłam kartonowe pudełko.

– Już? – Słaby głos dobiegł od strony łóżka.

– Chodzi o pudełko? – zapytałam i ostrożnie wydobyłam znalezisko spomiędzy prześcieradeł.

– Tak.

Na twarzy Mathieu zagościł smutny uśmiech.

– Pani najlepiej będzie wiedziała, co to, droga Tereso.

Otworzyłam pudełko, ale zamknęłam oczy.

– Teraz należy do pani, tak jak kiedyś należało do nich.

Z wrażenia zerwałam się na równe nogi: zieleń szmaragdów była identyczna z tą na portrecie w muzeum. Ardisson leżał i czekał na moją reakcję. Nie mogłam wydusić z siebie słowa.

– Moja żona założyła je tylko raz, kiedy była najpiękniejsza w całym swoim życiu. W dniu naszego ślubu. Jej babcia Alice wręczyła go jej, wzruszona naszą miłością. „Daję ci szczęście”, powiedziała. A ja... – spojrzał na szlochającego syna – przerwałem ten łańcuch miłości... Droga Tereso, błagam, niech pani będzie szczęśliwa. Żądam tego od pani. Naszyjnik należy do rodziny. Rodziny, która miotła się w poszukiwaniu miłości.

Ponownie popatrzył na syna i mówił dalej:

– Obiecujecie, że będziecie szczęśliwi, tak jak ja przez tyle lat z twoją matką. Poświęciłem życie wszystkim tym czarno-białym kobietom, bo to jedyny sposób na zadośćuczynienie mojej żonie. Opiekuję się nimi, przywracam im urodę i należną pozycję.

Laurent wybuchnął płaczem.

– Alice Humbert, pani Alice, igrała z losem. Czasem potrzebna jest chwila szaleństwa.

Laurent wpatrywał się we mnie uważnie. Odpowiedziałam mu mrugnięciem, a jednocześnie nerwowo ścisnęłam w rękach pudełko. Stary, zniszczony karton w chiński wzorek przez dziesięciolecia krył cudowną, jedyną w swoim rodzaju szmaragdową kolbę.

– Należy do pani. To przedmioty nas wybierają, pamięta pani?

Zaczęło kręcić mi się w głowie.

Mathieu uśmiechnął się z melancholią.

– To dla pani – powtórzył.

W myślach instynktownie wróciłam przed obraz w muzeum sztuki współczesnej; to naszyjnik Alice przywiódł mnie do Paryża. Zadrzałam. W głowie mi się kotłowało: szyld z antykwariatu, sucha bugenwilla, grająca piosenka, adres pracowni, fotografie Alice Humbert pod podłogą sklepu, przyjęcia w Le Dôme, uśmiechy nagich dziewcząt na zdjęciach, malarze, tańce, obiad w La Tour d'Argent, przypadki i zbiegi okoliczności, ciemna piwnica, jasne spojrzenie Alice, fotografia. Ostatnia fotografia. Oczywiście. Ostatnia fotografia.

Na myśl o tamtym zdjęciu poczułam motyle w brzuchu. Jak mogłam nie zdawać sobie sprawy? Najpiękniejsze i najbardziej osobiste zdjęcie ze wszystkich, intuicja kazała mi powiesić je na ścianie sklepu: młoda Alice Humbert, ubrana na biało, łączy się w uścisku z nieznanym, całuje jego szyję, czubkami palców gładzi niemal niewidoczną bliznę, a wszystko to w czerni i bieli na podniszczonym papierze. Wyszła za męża.

Po policzkach spłynęły mi łzy.

– Nigdy nie odpowiedziałem na jedno z pani pytań, droga Tereso – powiedział, wsparty na ramionach syna. – Tak, Alice Humbert była szczęśliwa. I chciała, żeby dotyczyło to wszystkich kobiet z jej rodziny. Wielokrotnie mnie pani o to pytała. Odnalazła je. Bezgranicznie szczęśliwa. Znalazła szczęście.

ROZDZIAŁ 38

Pośmiertna wystawa Mathieu Ardissona w paryskim ratuszu odniosła spektakularny sukces. Kobiety Paryża od początku ubiegłego wieku zebrano pod wspólnym szyldem opatrzonym pięknym tytułem: „Czarno-białe szczęście”.

Laurent wprowadził się do mnie na poddasze przy Pont Louis-Philippe, bo czułam się tam samotna. W przyływie dobrego humoru zebrał wszystkich znajomych do pomocy w zaimprovizowanej przeprowadzce swoich mebli, które dość losowo rozmieściliśmy między moimi rzeczami. Od tej pory zaczęłam cenić chaos i beztroskę. Niegdyś Paryż był jednym wielkim przyjęciem i teraz znów zaczynał nim być: może to nie szalone lata dwudzieste, ale dla nas – tak. On przerobił mieszkanie ojca na pracownię, gdzie mógł oddawać się temu, co sprawiało mu największą radość – malowaniu, ja zaś znalazłam szczęście w moim sklepie z upominkami. Przebyłam długą drogę od czasów zaprojektowanego przez ciotkę Brígidę dzieciństwa, kiedy zabraniała mi improwizować, brudzić się, śpiewać, śmiać do łez, biegać na bosaka, chodzić nago... Zebrałam wszystkie ścinki materiału, od dziecka przechowywane w walizce, wszystkie skrawki sukienek dające mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa, i uszyłam z nich patchworkową narzutę dla mnie i Laurenta na zimne dni. Stworzona w ten sposób mapa kolorów wiele mówiła o mnie i o tym, co trzeba zniszczyć, aby znów być w jednym kawałku.

Paryż obudził się do życia jednego z tych wiosennych dni pełnych słońca – światło zdawało się wypełniać każdy najmniejszy zakamarek starego miasta. Przespacerowaliśmy się do nabrzeża wyspy, gdzie Sekwana zaczyna gwałtownym nurtem płynąć w stronę morza pomiędzy dwoma brzegami. Przygotowałam dla nas coś do jedzenia, a po drodze kupiliśmy butelkę czerwonego wina – idealna pogoda na piknik.

„Obiecuj, że już nigdy nie odejdziesz bez ostrzeżenia”, poprosiłam i zatonąłam w jego objęciach. Poczułam, że wreszcie odczytałam zły urok, że cały niepotrzebny balast spoczął na najgłębszym dnie rzeki, że wyleczyłam się wreszcie z lęku przed zaczynaniem od nowa. Uwolniona od bagażu i pozbawiona niepokojów, do których tak przywykłam, poczułam się nagle malutka i, jakby w każdej chwili do pokoju miała wejść mama, zagryzłam kołnierz bluzki... „Nie bój się”, usłyszałam jej głos wśród huku płynącej rzeki.

– Zimno ci? – zapytał Laurent i mocniej mnie objął.

– Powiedz, że znów mi nie umrzesz – odparłam bez sensu.

Uśmiechnął się i mnie pocałował.

W romantycznym odruchu zapisał nasze imiona na korku od butelki i rzucił go daleko do wody.

– Nie utonie – powiedział i odwrócił się w moją stronę. – Prawdziwa miłość nigdy nie zatonie.

Wody Sekwany zalśniły złoto, a kolorowe fasady na obu brzegach zmieniały barwy w grze światła i lustrzanych odbić. W tej właśnie chwili przypomniał mi się stary malarz. Znalazłam telefon w torbie, wybrałam numer i czekałam, aż usłyszę jego głos. Po kilku sygnałach obawiałam się już najgorszego, a niebo mieniło się wszystkimi odcieniami błękitu, czerwieni i złota, nieskończoną gamą tonów wykraczającą poza zwykły niebieski. Jak śpiewa Ricardo Arjona, chmury współtworzą pejzaż.

Włączyła się poczta głosowa. Uśmiechnęłam się na myśl, że mój obrazek jest już gotowy, że zaczęłam od nowa na czystej kartce, i z pełnym przekonaniem, bez cienia wahania czy wątpliwości, jakbym znów stała w oszklonej pracowni pełnej olejnych obrazów, powiedziałam: „Panie profesorze, odnalazłam kolor”.

Kiedy wstawaliśmy, żeby wrócić do domu, skraj mojej sukienki zaczepił o jeden z kamieni nabrzeża. Laurent wyszarpnął ją zdecydowanym ruchem i materiał się rozdarł. Mały, zardzewiały gwoździć, niemal niewidoczny wśród omszałych kamieni, przytrzymał kawałek tkaniny wielkości tych zbieranych przeze mnie od dziecka w walizce. Schyliłam się i uwolniłam oderwany skrawek, a świeży wiatr wiejący w dół rzeki poniosł go w świat jakby w poszukiwaniu Alice...

Wszystkie miejsca opisane w tej książce istnieją naprawdę, ze sklepem włącznie. „Mi Amor” (moja miłość) mieści się pod numerem 10 przy rue Pont Louis-Philippe w Paryżu. Odwiedzałem go wielokrotnie i zawsze na myśl o Alice Humbert przechodzi mnie dreszcz. Ale to nie wszystko. Kiedy skończyłem pisać tę powieść, zrobiłem to co Teresa: wrzuciłem do wody korek z Twoim imieniem, aby miłość nie zatonała...

BIBLIOGRAFIA

Bouvet Vincent, Durozoi Gérard, *Paris Between the Wars. Art, Style and Glamour in the Crazy Years*, Thames & Hudson, Londyn 2010.

Charles-Roux Edmonde, *Le temps Chanel*, Chene /Grasset, Paryż 1979.

Denuelle Sabine, *La parisienne dans l'Art*, Citadelles et Mazenod, Paryż 2011.

Klüver Billy, Martin Julie, *Kiki's Paris: Artists and Lovers 1900–1930*, Harry N. Abrams, Nowy Jork 1989.

Krase Andreas, *París. Eugène Atget*, Taschen, Kolonia 2008.

Vv. Aa., *Man Ray. Despreocupado pero no indiferente*, La Fábrica, Madryt 2009.

Zola Émile, *Brzuch Paryża*, PIW, Warszawa 1957.

PRZYPISY

[1] Nie wiem, kim jesteś, nie wiem, kim chcesz być, wciąż chcę cię poznać, a twoja cisza zakłóca moją ciszę...

[2] Tak relacjonowała tę historię Thora Dardel (przyp. aut.).

[3] Dobra jest!